



INDEKS



W numerze m.in.:

Berlińska
Buchowski
Głowacki
Gutorow
Janicki
Kłata
Marcinkiewicz
Molenda
Moryto
Nicieja
Pichurski
Rusinek
Podsiadło
Wierciński
Wyczółkowska
Zagajewski

– Cześć Agnieszka! – tak przywitał się z Agnieszką Osiecką Janusz Głowacki, gość Złotej Serii Wykładów Otwartych, który spotkał się z opolanami 9 maja br.

W pierwszą rocznicę śmierci Jana Pawła II



recytowali wiersze, fragmenty papieskich homilii, m.in. tej o powołaniu Uniwersytetu Opolskiego oraz fragmenty testamentu papieskiego.

W pierwszą rocznicę śmierci papieża Jana Pawła II na Uniwersytecie Opolskim, dokładnie o godz. 21.37 odsłonięto tablicę pamiątkową – ten moment poprzedziły uroczystości, w których wzięły udział tysiące Opolan. Zaczęły się mszą celebrowaną przez księdza arcybiskupa Alfonsa Nossola w kościele akademicko-seminaryjnym przy ulicy Drzymały, po której wielotysięczny pochód ze świecami i pochodniami ruszył ulicami Opola w kierunku placu Kopernika. W pochodzie szli także członkowie senatów akademickich uczelni Opola w togach oraz księża. Na schodach przed Collegium Maius połączone chóry: uniwersytecki i seminaryjny wykonywały pieśni kościelne, a aktorzy opolscy

(bas) Fot. Tadeusz Parcej



Spis treści

Kronika UO	3
W hołdzie Janowi Pawłowi II	11
Prof. Leon Kieres gościem UO	14
Ogród botaniczny w Prószkowie?	16
Skarpa dla uniwersytetu	19
Nagrodzeni studenci	20
Zmarł Stanisław Lem	21
Odeszli: ks. Edward Kucharz	24
Rozmowa z dr Danutą Berlińską	24
Wspomnienie o M. Smoluchowskim	26
„Brzeżany” część III (S. Nicieja)	31
Czaszka Jana Rokity	39
20 lat po wybuchu w Czarnobylu	40

Dodatek literacko-artystyczny I-XXXII

Paweł Marcinkiewicz – wiersz	
Irena Wyczółkowska – wiersze	
Olga Feminek – opowiadanie	
Adam Zagajewski gościem UO	
Jacek Gutorow o poezji Zagajewskiego	
Rozmowa z Jerzym Janickim	
Janusz Głowacki na UO	
Michał Rusinek w Opolu	
Rozmowa z reżyserem Janem Klata	
Maciej Charlicki o Chaplinie	
Międzynarodowy Dzień Poezji w Opolu	
Łukasz Zalewski – wiersz	
Felieton Adama Wiercińskiego	
Joanna Matlachowska - wiersze	
Malarstwo Zygmunta Moryty	
Studnia św. Wojciecha – rzeźby Mariana Molendy i Wita Pichurskiego	
Wystawa „Oddycham przestrzenią”.	

Rodzina Glauerów z Olesna	44
Stacja ochrony ptaków w Prószkowie	46
Wincenty Pol w podróży po Śląsku	47
Początki WSP w Opolu	48
Jubileusz Wydz. Hist.-Pedag	53
I Komunia św. na śląskiej fotografii	56
Konferencja o Ch. Chaplinie	60
Koncerty Opolskiego Chóru Kameralnego	64
Spotkania w Nadrenii Północnej-Westfalii	65
Jeepem do historii	66
Finał olimpiady wiedzy o prawach człowieka	68
Listy i polemiki	70
Z prac Senatu UO	71
O biblioterapii akademickiej	74
Działalność Biblioteki Głównej UO	76
Działalność Wydawnictwa UO	78
Nowości wydawnicze UO	80

Zdjęcie na okładce: Jerzy Mokrzycki

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski,
45-040 Opole, pl. Kopernika 11,
Collegium Maius, pok. 217, tel. 541-60-17,
e-mail: indeks@uni.opole.pl,
www.indeks.uni.opole.pl,
Zespół redakcyjny: Barbara Stankiewicz-
Buchowska (redaktor naczelna),
Beata Zaremba-Lekki.
Zdjęcia: Jerzy Mokrzycki, Tadeusz Parcej,
Skład: Henryk Kobiela
Druk: Drukarnia św. Krzyża

Kronika uniwersytecka

■ **1 marca.** Gościem rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji była Róża Malik, burmistrz Prószkowa. Rozmawiano o możliwości przejęcia przez Uniwersytet Opolski terenów prószkowskiej pomologii.

■ **9 marca.** W Muzeum Ziemi Prudnickiej otwarto wystawę malarstwa Bartłomieja Posackiego i rzeźby Wita Pichurskiego, pracowników Instytutu Sztuki UO.

■ Rektor UO prof. dr. hab. Stanisław Nicieja spotkał się z redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej” Redakcji w Opolu, Leszkiem Frelichem.

■ Odkondurowało się kolejne spotkanie z cyklu „Opolskie Spotkania Ekonomistów”, zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne Oddział w Opolu oraz Wydział Ekonomiczny UO.

■ **15 marca.** Odkondurowało się robocze posiedzenie Rady Wydawniczej UO. Spotkanie prowadziła przewodnicząca Rady prof. dr. hab. Aleksandra Wieczorek z Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej.



9 III 2006. „Opolskie Spotkania Ekonomistów”. Na zdjęciu od lewej: prof. Janusz Słodczyk, prezydent Opola Ryszard Zembaczyński, prof. Zbigniew Mikołajewicz

■ **16–17 marca.** Rektor UO prof. dr. hab. Stanisław Nicieja oraz dr. hab. Teresa Smolińska, prof. UO z Instytutu Filologii Polskiej wzięli udział w spotkaniu Rady Naukowo-Programowej Międzynarodowego Centrum Studiów Śląskich. Gospodarzem spotkania był Uniwersytet Śląski w Opawie.

■ **16–19 marca.** W gmachu głównym Politechniki Wrocławskiej odbyły się XI Wrocławskie Targi Książki Naukowej. Wraz z 55 wydawnictwami z kraju Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego zaprezentowało swoje publikacje. Wystawiliśmy 60 tytułów, w tym nowości.

■ **22–23 marca.** W opolskim „Okrągłaku” odbyły się Targi Edukacyjne. Stoisko Uniwersytetu Opolskiego zorganizował Samorząd Studencki. Na targach obecny był także prorektor UO dr. hab. Marek Masnyk, prof. UO.

■ **23 marca.** Rektor UO prof. dr. Stanisław Nicieja spotkał się z Henrykiem Lakwą, starostą opolskim oraz z wicemarszałek woj. opolskiego Ewą Rurynkiewicz w sprawie przejęcia przez Uniwersytet Opolski terenów dawnej pomologii w Prószkowie.

■ Obradował Senat UO. Więcej na str. 71.



16–17 III 2006. Spotkanie Rady Naukowo-Programowej Międzynarodowego Centrum Studiów Śląskich. Drugi z lewej – prof. Zdenek Jirasek, rektor Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, pierwszy z prawej – prof. Stanisław Nicieja, rektor UO



Stoisko Uniwersytetu Opolskiego na XI Wrocławskich Targach Książki Naukowej

- W Klubie Akademickim otwarta została wystawa prac o tematyce lwowskiej autorstwa Zdzisława Kuhla, prezesa opolskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.
- W Muzeum Śląska Opolskiego odbył się wieczór muzealny, podczas którego dr Arkadiusz Nowak i dr Sylwia Nowak – pracownicy Katedry Botaniki z Uniwersytetu Opolskiego prezentowali swoją najnowszą publikację: „Katalog zielnika roślin naczyniowych Muzeum Śląska Opolskiego”. W wieczorze wzięli udział prof. dr hab. Stanisław Nicieja, rektor UO i prof. dr hab. Jerzy Lis, prorektor UO.
- **24 marca.** Prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja wspólnie z kanclerzem UO Andrzejem Kimlą wizytowali obiekty dydaktyczne Wydziału Przyrodniczo-Technicznego.
- **26 marca.** W gmachu Muzeum Diecezjalnego w Opolu odbyła się przedpremierowa prezentacja filmu „Perły Architektury Kresowej (Buczacz, Jazłowiec, Żółkiew) w reżyserii Jerzego Janickiego. Komentarz i narracja

w filmie autorstwa prof. dra hab. Stanisława Nicieji.

- **27 marca.** W Krakowie, w wieku 85 lat, zmarł jeden z najpopularniejszych i najbardziej cenionych polskich pisarzy Stanisław Lem. Stanisław Lem w 1997 r. otrzymał doktorat honorowy UO. Więcej na str. 21.
- Gościem rektora UO prof. dra hab. Stanisława Nicieji był poseł Leszek Korzeniowski (PO). Rozmowy dotyczyły głównie możli-

wości przejścia przez UO terenów byłej pomologii w Prószkowie. Tego samego dnia rektor UO spotkał się także z posłem Ryszardem Kaliszem (SLD).

- **29 marca.** Odbył się pogrzeb księdza prałata Edwarda Kuchacza, wieloletniego proboszcza Parafii św. Matki Boskiej Bolesnej i św. Wojciecha. Więcej na str. 24.
- Gośćmi rektora UO prof. dra hab. Stanisława Nicieji byli członkowie zespołu UKA, wizytujący w dniach 27–28 marca kierunek „historia”.
- Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja wspólnie z prorektorem UO dr hab. Markiem Masnykiem, prof. UO wręczyli nagrody studentom za wyniki w nauce i pracę na rzecz środowiska w ubiegłym roku akademickim. Więcej na str. 20
- W Villa Academica odbyło się uroczyste spotkanie z okazji 70-rocznicy urodzin profesora Ludwika Kozołuba z Instytutu Nauk Pedagogicznych UO. Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja odczytał specjalny adres od senatorów UO dla Jubilata.



29 III 2006. Od lewej: dr hab. Ludwik Kozołub, prof. UO; prof. dr hab. Stanisław Nicieja, rektor UO; dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO, dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego; dr hab. Zenon Jasiński, prof. UO

■ **30 marca.** Gośćmi rektora UO prof. dra hab. Stanisława Nicieji i prorektora UO prof. dr hab. inż. Krystyny Czaj byli: wicemarszałek województwa opolskiego Józef Kotyś oraz dyrektor Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego Karina Bedrunka.

■ W bibliotece anglistyki, w ramach „Złotej Serii Wykładów Otwartych” odbyło się spotkanie z poetą Adamem Zagajewskim. Więcej na str. IV.

■ **31 marca.** Prorektor UO dr hab. Marek Masnyk, prof. UO otworzył wystawę pt. „Papież Jan Paweł II w naszej pamięci” oraz „Papież Jan Paweł II w zagranicznych podręcznikach do nauczania historii”. Wystawa przygotowana została przez Instytut Historii i Bibliotekę Główną.

■ **2-4 kwietnia.** Na Uniwersytecie Opolskim gościł mec. Hendrik Foth, fundator kaplicy św. Wojciecha w Collegium Maius, sponsor wielu inicjatyw Uniwersytetu Opolskiego. Podczas wizyty w Opolu Hendrik Foth przekazał Uniwersytetowi Opolskiemu czek w wysokości 5 tys. euro, które zostaną przeznaczone na rekonstrukcję studni św. Wojcie-



2 IV 2006. Uroczystość odsłonięcia tablicy papieskiej na dziedzińcu Collegium Maius UO

cha. Mec. Hendrik Foth i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja byli także gośćmi ks. abp. Alfonsa Nossola.

■ **2 kwietnia.** W Opolu odbyły się uroczystości rocznicowe związane z rocznicą śmierci papieża Jana Pawła II. W kościele akademickim przy ul. Drzymały odprawiona została uroczysta msza święta z udziałem ks. abp. Alfonsa Nossola, Wielkiego Kanclerza Uniwersytetu Opolskiego i władz uniwersyteckich. Z kościoła akademickiego na plac Kopernika

przeszedł pochód wiernych z zapalonymi świecami. Na dziedzińcu Collegium Maius odsłonięta została tablica ku czci Jana Pawła II. Więcej na str. 11.

■ **5 kwietnia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja podpisał dokument, na mocy którego miasto przekazało uniwersytetowi tzw. skarpe (teren niezabudowany między Małym Rynkiem a obszarem UO). Więcej na str. 19.

■ Odbyło się posiedzenie Senatu UO.

■ **6 kwietnia.** Odbyło się posiedzenie Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju, której głównym punktem posiedzenia była dyskusja nad założeniami do „Strategii rozwoju UO do 2013 roku”.

■ Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja, prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja oraz prorektor UO prof. dr hab. Jerzy Lis wzięli udział w sesji Rady Miasta Prószkowa, w trakcie której omawiano możliwość przekazania Uniwersytetowi Opolskiemu terenów prószkowskiej pomologii.



3 IV 2006. Przekazanie czeku na rzecz Uniwersytetu Opolskiego. Od lewej: Miłosz Matuszek, prorektor UO prof. Jerzy Lis, rektor UO prof. Stanisław Nicieja, mec. Hendrik Foth, prof. Józef Musielok i Eugen Matuszek



20 IV 2006. Gościem UO był prof. Leon Kieres – na zdjęciu obok prof. Mieczysława Balowskiego. Z lewej: Danuta Szewczyk-Kłós, zastępca dyrektora Biblioteki Głównej UO i rektor UO prof. Stanisław Nicieja

■ **7 kwietnia.** Prorektor UO prof. dr hab. Jerzy Lis wziął udział w kolejnym posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Programów Międzynarodowych, jakie odbyło się w Warszawie. Tematem posiedzenia były sprawy oceny jednostek naukowych i nowe programy ministra edukacji i nauki, a także doświadczenia z uczestnictwa w 6. Programie Ramowym UE i założenia 7. Programu Ramowego UE. Gościem narady był Krzysztof Szubki z Departamentu Bazy Badawczej w Ministerstwie Edukacji i Nauki, który omawiał podstawowe regulacje prawne dotyczące oceny jednostek naukowych.

■ **10 kwietnia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja otworzył w ośrodku konferencyjnym w Kamieniu Śląskim konferencję pt. „Przestrzeń miejska jako struktura kształtowania tożsamości” zorganizowaną przez Instytut Filologii Germańskiej wspólnie z Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej.

■ Gościem prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyny Czaj i prorektora UO prof. dra hab. Jerze-

go Lisa był poseł Ryszard Galla. Rozmowy dotyczyły perspektyw budowy „Dinoparku” w Krasiejowie.

■ Na Uniwersytecie Opolskim przebywał poseł parlamentu europejskiego Stanisław Jałowiecki, który wspólnie z prorektorami UO: prof. dr hab. inż. Krystyną Czają i prof. drem hab. Jerzym Lisem

omawiał możliwości wyjazdów zagranicznych dla studentów.

■ Prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja uczestniczyła w posiedzeniu Miejskiego Komitetu Monitorującego.

■ **11 kwietnia.** W Kolegium Prorektorów Uczelni Wrocławia i Opola wziął udział prorektor UO dr hab. Marek Masnyk, prof. UO

■ **12 kwietnia.** W Sali Plafonowej Collegium Maius odbyło się spotkanie pt. „Uniwersytet Opolski – próba diagnozy” zorganizowane przez dra hab. Bartłomieja Kozere, prof. UO i prof. dra hab. Michała Lisa. Wstęp do dyskusji wygłosili prof. dr hab. Józef Musielok i dr hab. Wiesław Szwał, prof. UO.

■ **19 kwietnia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja, wraz z prof. dr hab. Stanisławem Gajdą i prof. dr hab. Andrzejem Ciurkiem, wzięli udział w uroczystościach jubileuszu 70-lecia urodzin prof. Jacka Fisiaka, doktora h.c. UO, które odbyły się na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu.



24–25 IV 2006. Na zdjęciu od lewej: dr Barbara Despiney (Economic Centre of Sorbone), prof. Sergey Kostarev (Omsk Institute of Russian State University of Trade and Economics), prof. Judith Marquand, Oxford University



Jubileusz Wydziału Historyczno-Pedagogicznego. Uroczysta Rada Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO zakończyła się pamiątkowym zdjęciem na dziedzińcu Collegium Maius UO

- Odbyło się posiedzenie Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju UO.
- **20 kwietnia.** Gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych był prof. Leon Kieres, były prezes Instytutu Pamięci Narodowej, autor publikacji „Polska pamięć. Rozliczenie z przeszłością”. Spotkanie odbyło się w czytelni Biblioteki Głównej Uniwersytetu Opolskiego. Więcej na str. 14.

- Obradował Senat UO. Więcej na str. 73
- Członkowie Uniwersyteckiego Stowarzyszenia na rzecz Ratowania Zabytków Śląska Opolskiego zebrał się na walnym posiedzeniu w Sali Senatu UO.
- **23 kwietnia.** Wydział Historyczno-Pedagogiczny obchodził 10-lecie istnienia. Nie zabrakło koncertów i wystaw, na rynku zorganizowano pokaz ogni. Z przedstawicielami szkół średnich spotkały się władze UO – rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja i dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO.

była w opolskim ratuszu. Więcej o jubileuszu na str. 53.

- **23–26 kwietnia.** Prorektor UO prof. dr hab. Jerzy Lis otworzył



24 IV 2006. Na zdjęciu (od lewej): rektor Uniwersytetu Wileńskiego – oddziału w Kownie prof. Statys Girdziuskas, prorektor UO prof. Jerzy Lis, dziekan Wydz. Ekonomicznego UO prof. Janusz Ślodziak



25 IV 2006. Redaktor Anna Retmianiak z rektorem UO prof. Stanisławem Nicieją

W ramach obchodów tej rocznicy Instytut Sztuki UO zorganizował w Miejskim Ośrodku Kultury w Opolu i w Galerii Młynek wystawę pt. „Odycham przestrzenią” – swoje prace prezentowali pracownicy i studenci Pracowni Rzeźby. Część ekspozycji prezentowała



26 IV 2006. Dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu Krystyna Lenart-Juszczewska i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja podpisali umowę o współpracy

VIII Wiosenną Szkołę Membranową pt. „Membrany, procesy membranowe i ich zastosowanie”, Konferencja została zorganizowana przez Instytut Chemii UO. Wzięło w niej udział około 90 naukowców z Anglii, Belgii, Hiszpanii, Francji, Słowacji i Szwecji i wielu ośrodków z Polski.

- **24–25 kwietnia.** Na Wydziale Ekonomicznym UO odbyła się po raz szósty międzynarodowa konferencja z cyklu „Obecne problemy zrównoważonego rozwoju”. Została ona zorganizowana przez prof. dr. Joosta Platje oraz prof. dr. hab. Janusza Słodczyka. W konferencji wzięli udział naukowcy i studenci z ośmiu krajów. Więcej na str. 81.
- **24 kwietnia.** Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja Uniwersytetu Wileńskiego – oddziału w Kownie. W trakcie tego pobytu podpisano umowę o współpracy pomiędzy Wydziałem Ekonomicznym UO a Wydziałem Nauk Humanistycznych w Kownie.
- Studenckie Radio-Sygnaly nadały urodzinową audycję trwającą tyle godzin, ile lat liczy sobie stacja, czyli 49. Wyemitowane

zostały audycje archiwalne, w Internecie można było śledzić, co działo się w Studiu N1 w DS „Niechciec”. Cały program był realizowany na starym sprzęcie radiowym pochodzącym z Radia Opole, który udało się ekipie Radio-Sygnalów przywrócić w tym roku do stanu używalności.

- **25 kwietnia.** W klubie studenckim „Oleńka” odbył się wernisaż wystawy fotografii otworkowej pt. „FotoPudło”. Prace studentów Instytutu Sztuki Klubu Studenckiego pokazane zostały w klubie studenckim „Oleńka”. Zorganizowano także plenerowy pokaz animacji eksperymentalnej



27 IV 2006. Podpisanie umowy między władzami Uniwersytetu Opolskiego a władzami powiatu opolskiego, na mocy której Uniwersytet Opolski stał się gospodarzem prószkowskiej pomologii

z Pracowni Multimedialnej w Collegium Pedagogicum.

- Prof. dr hab. Stanisław Nicieja, rektor UO wziął udział w dyskusji radiowej w I Programie Polskiego Radia na temat konfrontacji teatralnych, prowadzonej przez red. Annę Retmianiak, która następnie gościła na Uniwersytecie Opolskim.
- **26 kwietnia.** Koło Naukowe Instytutu Psychologii zorganizowało wykład otwarty prof. dr. hab. Rafała Ohme pt. „Psychologia przyszłością reklamy”.
- Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja oraz Krystyna Lenart-Juszczewska, dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego podpisali porozumienie o współpracy w zakresie udostępniania zbiorów zielarskich.
- **27 kwietnia.** W sali Senatu UO odbyła się sesja Rady Powiatu Opolskiego, której przewodniczył Stefan Warzecha. Radni jednogłośnie zdecydowali o przekazaniu 12 hektarów terenu dawnej prószkowskiej pomologii oraz o dzierżawieniu przez Uniwersytet Opolski znajdujących się tam budynków. Uniwersytet Opolski zobowiązał się do utworzenia na tym terenie ogrodu botanicznego. Więcej na str. 16.



9 V 2006. Gościem UO był Janusz Głowacki. Na zdjęciu – z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją

- Wielki Kanclerz Wydziału Teologicznego ks. abp Alfons Nossol otrzymał w Berlinie Nagrodę Ministra Spraw Zagranicznych RFN. W uroczystości wziął udział polski minister spraw zagranicznych Stefan Meller.
- **4 maja.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieją spotkał się z Janem Nowarą i Markiem Mikulskim w sprawie zaadaptowania podziemnego bunkra pod Collegium Maius na klub akademicki.
- **7–8 maja.** Prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja uczestniczyła w spotkaniu Uniwersyteckiej Komisji Finansowej, którego gospodarzem był Uniwersytet Adama Mickiewicza. Spotkanie odbyło się w Collegium Polonicum w Słubicach, a zasadniczym tematem był problem kosztowności studiów.
- **7–14 maja.** Gośćmi naszych studentów byli studenci ośrodków

akademickich z Trier (Niemcy) – było to spotkanie w ramach programu „Spotkanie kultur”, który współfinansował Deutsch-Polnisches Jugendwerk z siedzibą w Poczdamie. Niemieccy studenci wspólnie ze studentami Uniwersytetu Opolskiego realizowali w Opolu dwa projekty – spektakl teatralno-muzyczny „Bez słów” oraz, we współpracy z działającą na uczelni rozgłośnią radiową Radio-Sygnaly, projekt „Euro-Sygnaly”. W trakcie pobytu w Polsce niemieccy studenci, którym towarzyszyła opiekunka Martine Charles-Reuch, zwiedzili Kraków, w Opolu gościli m.in. w Muzeum Diecezjalnym. 13 maja na dziedzińcu Collegium Maius UO zaprezentowali, wspólnie z naszymi studentami, spektakl „Bez słów”. Więcej na str. 52.

- **9 maja.** W Auli Błękitnej Collegium Maius, w ramach „Złotej Serii Wykładów Otwartych” odbyło się spotkanie z polskim dramaturgiem, prozaikiem i scenarzystą Januszem Głowackim. Więcej na str. IX.
- Na Uniwersytecie Opolskim gościli naukowcy z uniwersytetu im. M. Miecznikowa z Odessy: prof. Wiaczesław Kusznik – dziekan Wydziału Historycznego, Olena Smintina, Wadim Chmarski, Fiedor Samojłow, Irina Niemcienko.

Gości przyjął prorektor UO dr hab. Marek Masnyk.

- **10 maja.** Prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja wzięła udział w spotkaniu dotyczącym tegorocznego naboru wniosków projektowych w ramach „Regionalnych strategii innowacyjnych i transferu wiedzy ZPORR”. Spotkanie zostało zorganizowane przez Departament Koordynacji Programów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego.
- **10-11 maja.** „Blżej kultur – Bałkany” – cykl imprez pod takim tytułem zorganizowali wspólnie studenci kół naukowych Uniwersytetu Opolskiego (kulturoznawców, sławistów, filmoznawców oraz Koła Naukowego Wiedzy o Tańcu) wspólnie z samorządem studentckim i Miejskim Ośrodkiem Kultury w Opolu. W programie imprez znalazły się m.in.: projekcja spektaklu Teatru TV – „Ameryka – część II”, filmu „Ziemia niczyja”, wystawa ikon. W MOK-u prelekcję na temat wielokulturowości południowych Słowian wygłosił dr Zdravko Stomatoski, a swoje fotografie z Bałkanów prezentował Sławomir Mielnik. Dwudniowe spotkanie z kulturą bałkańską zakończył koncert grupy *Balkan Serdah*.
- **11 maja.** Pod przewodnictwem wicemarszałek woj. opolskiego



12 V 2006. Minister Zbigniew Wassermann był gościem studentów i pracowników Instytutu Historii UO



17 V 2006. Dr Władysław Pluta i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja

Ewy Rurynkiewicz w Collegium Maius UO obradowała Rada Sportu Województwa Opolskiego.

- **12 maja.** Minister Zbigniew Wassermann, koordynator służb specjalnych, był gościem studentów i pracowników Instytutu Historii UO.
- **14–18 maja.** Trwały „Piastonia-lia”. Opolscy studenci bawili się podczas wielu imprez: tradycyjnie przez miasto przeszedł pochód opolskich żaków, odbyła się impreza teatralna pod hasłem „Nie tylko piwo”. Wystąpiło kilka grup teatralnych. Tańczono salsę, tańce łacińskie oraz serbskie, nie zabrakło koncertów rockowych.
- **16–17 maja.** Wydział Ekonomiczny UO i Komisja Nauk Rolniczych PAN Oddział w Katowicach zorganizowali w Kamieniu Śląskim konferencję pt. „Wieś i rolnictwo w procesie zmian”. Uczestnikami spotkania byli m.in.: prof. dr hab. Stanisława Sokołowska, prof. dr hab. Krystyna Hanusik i prof. dr hab. Urszula Łangowska-Szcześniak z Uniwersytetu Opolskiego, mgr Agnieszka Poczta z Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, prof.
- dr hab. Krystian Heffner i prof. dr hab. Andrzej Rosner z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, prof. dr hab. Maria Anna Szumiec z Zakładu Ichtiologii i Gospodarki Rybackiej w Gołyszach PAN.
- **17 maja.** Gośćmi rektora UO prof. Stanisław S. Nicieji byli: dr Władysław Pluta, ordynator oddziału kardiologii Woj. Centrum Medycznego w Opolu oraz Krzysztof Bodanko, przyjaciel Agnieszki Osieckiej.
- **17 maja.** W Sali Plafonowej Collegium Maius UO odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „Uniwersytet (czy) opolski? Opole (czy) uniwersyteckie?”, zorganizowane przez prof. prof. Bartłomieja Kozereę i Michała Lisa. W dyskusji wzięli udział m.in. dr Adrian Gleń, mgr Kamil Minkner i mgr Katarzyna Molek-Kozakowska.
- Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z ks. Markiem Trzeciakiem, nowym proboszczem kościoła „Na Górcie” oraz prezesem Zieleni Miejskiej Adamem Walewanderem. Omawiano sprawę uporządkowania przykościelnego cmentarzyka, planowano też utworzenie tam lapidarium.
- **22 maja.** We wrocławskim MPiK-u odbyła się promocja polskiego wydania książki Martina Hollendra *O politycznym i ideologicznym zawłaszczaniu twórczości Josepha von Eichendorfa* – w przekładzie zbiorowym pod redakcją prof. dr hab. Marka Zybury. W zespole, który pracował nad przekładem z języka niemieckiego są m.in. dr Daniel Pietrek i dr Mirosława Zielińska z Instytutu Germanistyki UO, a także doktorantka Wydziału Filologicznego UO Katarzyna Postrzednik.
- **23–24 maja.** Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego, Instytut Masaryka Akademii Nauk Republiki Czeskiej zorganizowali konferencję naukową nt. „Idea państwa w myśli politycznej przywódców Czeskich i Polских w XIX i XX wieku”.
- **24 maja.** Gościem „Złotej Serii Wykładów Otwartych” był Daniel Passent – pisarz, publicysta, dziennikarz.
- **25 maja.** Odbyło się seminarium naukowe ekonomistów z Uniwersytetu Opolskiego i Niemiec pt. „Polityka regionalna w okresie transformacji – cele, problemy doświadczenia”.



24 V 2006. Daniel Passent był gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych

Tablica papieska na dziedzińcu Collegium Maius

Uniwersytet Opolski – Janowi Pawłowi II

Przekonanie, że na Uniwersytecie Opolskim będzie godne miejsce poświęcone papieżowi Janowi Pawłowi II, istniało od roku 1994, czyli od momentu powstania w Opolu uniwersytetu. Bez osobistej decyzji papieskiej nie doszłoby wówczas do połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i stworzenia w Opolu pierwszej w Polsce świeckiej uczelni z wydziałem teologicznym.

Jako historyk zajmujący się od lat dziejami akademickiego Opola przejrzałem dziesiątki dokumentów archiwalnych, które ukazywały trudny proces dojścia do decyzji papieskiej. W Polsce, która przechodziła w tym czasie ogromną transformację polityczną, społeczną, kulturową i gospodarczą, toczyły się burzliwe dyskusje. Jedną z nich koncentrowała się wokół zagadnienia, jak mają wyglądać w nowej rzeczywistości demokratycznej polskie uniwersytety i jakie miejsce w nich powinna zająć teologia.

Pojawiły się wtedy dwie tendencje. Według jednej, obok uniwersytetów świeckich powinny istnieć równolegle uniwersytety katolickie. Klasycznym przykładem był tutaj przypadek Lublina, gdzie istniały dwa uniwersytety: świecki – Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej i wyznaniowy – Katolicki Uniwersytet Lubelski. W Krakowie, obok Uniwersytetu Jagiellońskiego, istniała Papieska Akademia Teologiczna (PAT), która była niegdyś Wydziałem Teologicznym UJ. Podobnie było w Warszawie, we Wrocławiu i innych miastach uniwersyteckich, gdzie istniały stare,

renomowane akademie teologiczne i seminaria duchowne. Czy należało stworzyć na uniwersytetach wydziały teologiczne w wyniku fuzji, czy też – odwołując się do przykładu lubelskiego – przekształcić niektóre uczelnie katolickie w uniwersytety?

Najbardziej w ten proces zaangażowane było środowisko warszawskie. Tam od początku zakładano, że teologia nie wróci na świecki uniwersytet – powstanie natomiast odrębna katolicka uczelnia o nazwie Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. I tak się – w 1999 roku – stało. Podobnie było w Krakowie, gdzie nie występowały mocne tendencje, aby PAT wszedł w strukturę Uniwersytetu Jagiellońskiego jako wydział teologiczny.

W Episkopacie Polski przeważały opinie, aby nie wchodzić z teologią w uniwersytety państwowe.

Będący w mniejszości zwolennicy innych rozwiązań, wśród których był ordynariusz diecezji opolskiej arcybiskup ks. prof. Alfons Nossol, wnieśli tę sprawę przed oblicze papieża Jana Pawła II. Tu głównym referentem, opowiadającym się za koncepcją, aby teologia weszła w struktury uniwersytetu, był ks. prof. Alfons Nossol. Ojciec Święty po długim namyśle zdecydował się wydać sąd arbitralny, który brzmiał: uniwersytety polskie powinny wrócić do starej formuły i tradycji średniowiecznej, kiedy to wydział teologiczny był częścią integralną wszechnic. Tak było w Bolonii, Padwie, na paryskiej Sorbonie, a w Polsce na uniwersytetach: Jagiellońskim, Wileńskim i Lwowskim.

Ta decyzja papieska była dla Opola przełomowa w zabiegach o stworzenie na Śląsku Opolskim uniwersytetu. Jestem przekonany,



Uczestnicy procesji przeszli ulicami Opola spod kościoła seminaryjnego na plac Kopernika



Tablicę odsłonił ks. abp Alfons Nossol i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja

że gdyby wówczas papież nie opowiedział się za powrotem teologii na uniwersytety, w Opolu jeszcze długo, a może i wcale nie byłoby szans na powstanie uniwersytetu. Środowisko akademickie w naszym mieście było poróżnione i niezdolne do integracji. Wyższa Szkoła Inżynierska nie chciała połączenia z WSP, marzyła jej się politechnika, podobnie Instytut Śląski, którego kierownictwo też nie chciało myśleć o jakiegokolwiek fuzji z WSP. Przy tak daleko posuniętej dezintegracji wszelkie pomysły, aby WSP przekształcić w uniwersytet, wydawały się śmiesznymi mrzonkami.

I w tej dość beznadziejnej sytuacji oferta, która wypłynęła z opolskiej kurii – już po decyzji papieskiej – aby połączyć WSP z miejscową filią KUL-u była rozstrzygająca i dla Opola zbawienna.

W 1994 roku powstał więc w Opolu pierwszy w III RP uniwersytet z wydziałem teologicznym. Papież Jan Paweł II interesował się nim szczególnie, bo po części był

to swoisty eksperyment w nowej polskiej rzeczywistości. Od jego powodzenia zależało, czy wydziały teologiczne pojawią się na innych polskich uniwersytetach.

Opolski eksperyment sprawdził się w sposób nadzwyczajny i dał impuls do powstania po pięciu latach wydziałów teologicznych na innych polskich uniwersytetach, m.in. na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, Uniwersytecie Gdańskim, Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.

Miałem okazję pięciokrotnie spotkać się z Ojcem Świętym i za każdym razem, gdy przedstawiałem się, iż jestem z Uniwersytetu Opolskiego, padało nie-

odmiennie pytanie: „Jak się czuje na uniwersytecie teologia?”. Wiem również od innych kolegów profesorów, a zwłaszcza od księdza arcybiskupa Alfonsa Nossola, iż papież rzeczywiście szczególnie interesował się naszym uniwersytem i traktował go wyjątkowo. Nie wahał się przez chwilę, aby przyjąć godność doktora honoris causa i tym samym wyrazić akces bycia członkiem opolskiej wspólnoty uniwersyteckiej.

Wiedzieliśmy więc w Opolu, że papież jako współtwórca naszego uniwersytetu powinien być przez nas szczególnie uszanowany. Zastanawialiśmy się – jak? I już w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych postanowiliśmy, że będzie to specjalna tablica pamiątkowa umieszczona

w najpiękniejszym miejscu uniwersytetu – na dziedzińcu Collegium Maius. Podczas remontu gmachu, na jednej ze ścian od strony dziedzińca, zostawiliśmy przeznaczoną na ten cel specjalną blendę.

2 kwietnia 2005 roku, gdy z Watykanu przyszła przejmująca wiadomość o śmierci Jana Pawła II, stojąc przed Salą Senatu wspólnie z ówczesnym rektorem prof. Józefem Musielokiem i patrząc na dziedziniec Collegium Maius, powiedziałem: „Zróbmy to dokładnie za rok. Odsłońmy tę tablicę 2 kwietnia 2006 roku o godzinie 21.37”.

Od tego momentu trwały przygotowania. Projekt opracowania tablicy zlecono **prof. Marianowi Molendzie** – wybitnemu opolskiemu rzeźbiarzowi, twórcy m.in. pomników Osieckiej i Grotowskiego. Postanowił on stworzyć płaskorzeźbę z brązu, która przedstawia papieża w stroju pontyfikalnym na tle bazyliki św. Piotra w Rzymie – z jednej strony, a z drugiej – Collegium Maius UO. Płaskorzeźbę, która została wykonana w znanym renomowanym warsztacie odlewniczym **Wiktora**



Halupczoka, umieszczono na dużej błyszczącej marmurowej płycie w kolorze beżowym. Na płycie umieszczono napis: „Papieżowi Janowi Pawłowi II, doktorowi honoris causa i współtwórcy Uniwersytetu Opolskiego, w pierwszą rocznicę śmierci 2 kwietnia 2006 roku, godzina 21.37. Wspólnota uniwersytecka”. Tablicę wykonał **Jarosław Czczyl**, właściciel pracowni rzeźbiarskiej w Burgrabicach koło Nysy, a koszty jej realizacji sfinansowała **BOT Elektrownia Opole**.

Aby podnieść dostojność opisanej tablicy, Uniwersyteckie Stowarzyszenie na rzecz Ratowania Zabytków Śląska Opolskiego postanowiło ozdobić to miejsce dwoma, wyjątkowej wartości artystycznej barokowymi pomnikami, przedstawiającymi Matkę Boską i św. Jana. Rzeźby te, liczące około 350 lat, niesamowicie zniszczone, zostały zakupione przez stowarzyszenie od właściciela mieszkającego w Kamieńcu Ząbkowickim, na którego posesji leżały od ponad sześćdziesięciu lat.

Do warsztatów uniwersyteckich zostały przywiezione w listopadzie 2005 roku. Prace renowacyjne przeprowadzili **Rafał i Gizbert Rzeźniczowie**. Przynajmniej usunęli z figur grubą warstwę błota i mchu, następnie poddali procesowi odsolenia piaskowic, z którego były wykonane figury i przystąpili do wypełniania ubytków, a następnie zaimpregnowali rzeźby, by ochronić je przed zmieniającymi się warunkami atmosferycznymi.

Po renowacji i pieczołowitym doborze cokołów, obie rzeźby okazały się wyjątkowo urokliwe i rzeczywistości dodały splendoru miejscu, w którym umieszczono tablicę papieską.

Tymi wszystkimi pracami bardzo interesowała się prasa opolska, zamieszczając liczne relacje z różnych etapów budowy, których autorami byli: **Beata Łabutin, Waldemar Bryś, Sylwester Koral, Krzysztof Ogiolda i Artur Janowski**.

Odsłonięcie tablicy poprzedziły wielkie uroczystości, w których

wzięły udział tysiące Opolan. Zaczęły się mszą celebrowaną przez księdza arcybiskupa Alfonsa Nosola w kościele akademicko-seminaryjnym przy ulicy Drzymały. W kazaniu ks. arcybiskup zwrócił uwagę na elementy pozytywistyczne w nauce Jana Pawła II: – *Żeby niebo było otwarte nad ziemią, nie możemy złożyć rąk i czekać na cud, bo Bóg nie ma czasu na to, co my możemy zmieniać sami. Dlatego pracujmy nad poprawianiem tego świata i nie czekajmy, że ktoś za nas to uczyni. Nasz Ojciec Święty był nastawiony pro live. Uhumanistycznił wizję papieża. Dzięki niemu stało się ono dotykalne i uchwytnie.*

W czasie mszy przed ołtarzem wystawiony był obraz profesora Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie **Detleva Fotha** – dar dla Uniwersytetu Opolskiego, przedstawiający Jana Pawła II w geście błogosławieństwa. Po mszy brat artysty, doktor honoris causa naszego Uniwersytetu, mecenas **Hendrik Foth** przekazał ten obraz rektorowi UO. Dziękując za dar, rektor stwierdził, iż obraz ten, bardzo nowoczesny w formie, powstały na jednej z najświetniejszych akademii sztuk pięknych w Europie, ukazuje oblicze papieża, na którym jednocześnie widać cierpienie i radość, zadumę i figlarność, młodość i starość. To

jest siła tego obrazu, gdzie artyście udało się ukazać zmieniającą się, w związku z przemijaniem czasu, twarz papieża.

Po wyjściu z kościoła wielotysięczny pochód ze świecami i pochodniami ruszył ulicami: Plebiscytową, Ozimską, Reymonta na plac Kopernika. W pochodzie podążali członkowie senatów akademickich uczelni Opola w togach oraz liczne duchowieństwo. Młodzież niosła wielki transparent z napisem: „Szukałeś nas, my znaleźliśmy Ciebie”.

Około godziny 21.00 pochód przybył pod Uniwersytet Opolski. Na frontonie Collegium Maius wisiał potężny baner przedstawiający Jana Pawła II w geście błogosławieństwa. Na dziedzińcu Collegium Maius umieszczono przygotowaną przez „Gazetę Wyborczą” imponującą wystawę fotograficzną przedstawiającą opolan i Opole w dniu pogrzebu Jana Pawła II w 2005 roku. Na schodach przed Collegium Maius połączone chóry uniwersyteckie i seminaryjne wykonywały pieśni kościelne, a aktorzy opolscy recytowali wiersze, fragmenty papieskich homilii, m.in. tej o powołaniu Uniwersytetu Opolskiego oraz fragmenty testamentu papieskiego. Słowa wiążące całość tego niezwykłego spektaklu na wolnym powietrzu wygłaszał ksiądz **dr**



Na placu Kopernika zebrały się tłumy

Piotr Tarliński – dyrektor Opolskiej Rozgłośni Radia Plus. Całość uroczystości na żywo, poza Radiem Plus, transmitowała Rozgłośnia Polskiego Radia w Opolu.

Gdy wybiła godzina śmierci papieża, 21.37. tysiące ludzi zgromadzonych na placu Kopernika wzniosło do góry palące się świece – symbol pamięci o zmarłym. Po kilku minutach ciszy przemówił ks. abp Alfons Nossol, inicjując modlitwę o rychłą beatyfikację Jana Pawła II, po czym głos zabrał rektor UO, który powiedział: „Ojciec Święty Jan Paweł II zapisał w dziejach ludzkości i historii Polski czyny wyjątkowe, które przyniosły mu niezwykły autorytet, szacunek, uznanie i miłość milionów ludzi. O Jego wielkim pontyfikacie napisano już tysiące książek, wydano setki albumów, nakręcono dziesiątki

filmów dokumentalnych i fabularnych, i pamięć o Nim będzie trwać przez wieki i pokolenia. Takie indywidualności zdarzają się rzadko w dziejach ludzkości. Jan Paweł II wpisał się też bardzo wyraziście w dzieje naszego miasta, **bo uczynił go miastem uniwersyteckim i zmienił jego oblicze**. Zdecydował się przyjmując członkostwo naszej społeczności i zostać doktorem honoris causa Alma Mater Opoliensis. Otaczał ten uniwersytet specjalną troską i modlitwą. Pamiętał o nas i przyjmował nas na wielu audiencjach. Delegację Uniwersytetu Opolskiego pozdrowił z okna swej watykańskiej rezydencji. Za wszystko, co uczynił dla nas, dla uniwersytetu, dla miasta Opola, będziemy Mu wdzięczni po wsze czasy. A skromna tablica, którą tu na uniwersytecie za chwilę odsłonimy, będzie wyrażać tę naszą

wdzięczność i pamięć”.

Po tym wystąpieniu członkowie senatów przeszli korytarzem na dziedziniec Collegium Maius, gdzie nastąpiło odsłonięcie tablicy i poświęcenie jej przez ks. abpa Alfonsa Nossola. Po czym trębacz odegrał hejnał opolski.

Do późnych godzin nocnych opolanie przechodzili przez dziedziniec Collegium Maius, zostawiając na schodach pod tablicą papieską zapalone świece. Trwało to przez trzy kolejne dni.

Tablica i stojące przed nią dwie barokowe figury wrosły już bardzo mocno w pejzaż naszego miasta.

Stanisław Sławomir Nicieja

**Fot. Tadeusz Parcej,
Jerzy Mokrzycki**

GOŚĆ UO

Prawda jest jedna

20 kwietnia br. na Uniwersytecie Opolskim gościł Leon Kieres, były prezes Instytutu Pamięci Narodowej w latach 2000–2005

– *W 2000 roku skończyło się nagłe moje życie prywatne* – powiedział prof. Leon Kieres, gość Złotej Serii Wykładów Otwartych. – *W czerwcu 2000 roku wybrany zostałem prezesem Instytutu Pamięci Narodowej. Stwarzałem tę instytucję od podstaw, dla jej dobrego funkcjonowania zdobywałem budynki, walczyłem z cięciami budżetowymi i naciskami politycznymi. Udało mi się zgromadzić 95 kilometrów dokumentów służb specjalnych. IPN był tworzony w warunkach, które nigdy nie były dla instytutu sprzyjające.*

Profesor Kieres wyraźnie zmagał się z przypisaną mu winą za ujawnienie sprawy dominikanina ojca Konrada Hejmy. Z rozgoryczeniem przyznał, że nie zamierza podczas



Gość Złotej Serii Wykładów Otwartych prof. Leon Kieres (z lewej) i prof. Adam Suchoński

spotkania w Opolu mówić na temat tej sprawy. – *Granica, by mówić o nierzetelności i nieuczciwości niektórych ludzi, jest już bardzo blisko, ale w Opolu jej nie przekroczyć.*

Leon Kieres mówił więc głównie o sprawach mocno historycznych. Między innymi o Felicji G., nauczycielce z Opola, która w latach pięćdziesiątych oskarżona została o ujawnianie wydarzeń w Katyniu oraz o szkalowanie Józefa Stalina. W 1956 roku została skazana na cztery lata więzienia, potem długo jeszcze, zarówno ona, jak i jej rodzina miała kłopoty: – *Na wniosek rodziny Felicji G. badałem sprawę wnikliwie i okazało się, że denuncjatorem był sąsiad Felicji G.*

Leon Kieres opowiedział także o innej analizowanej przez IPN sprawie – handlowaniu szczątkami ludzkimi przez hitlerowców. – *Natrąfiliśmy m.in. na dokumenty, w których znalazły się makabryczne cenniki za czaszki ludzkie. Choć była to zamierzona sprawa, wróciliśmy do niej, by przywrócić godność ofiarom.*

Dwie z ważniejszych spraw, jakie za kadencji Leona Kieresa ujrzały światło dzienne, dotyczyły wydarzeń w Jedwabnem i Nieszawie. – *W Jedwabnem Polacy zamordowali Żydów, w Nieszawie, tuż po wojnie, dziesięciu Niemców zostało pewnej nocy zamordowanych przez swoich sąsiadów – Polaków. Ci Niemcy to byli bardzo porządni ludzie, podczas wojny pomagali Polakom ze wsi, chronili ich. Przed wybuchem wojny mieszkali w Nieszawie i chcieli w niej pozostać także po wojnie. Wydarzenia w Nieszawie zostały nazwane przez pozostałych mieszkańców miejscowości po imieniu – mordem. Natomiast atmosfera w Jedwabnem była i nadal jest mało*

potępiająca dla zbrodniarzy.

Kieres przyznał, że doświadczył wielu nieprzyjemności za to, że zajmował się kontrowersyjnymi sprawami. – *W jednym z polskich miast ustawiono kilka szubienic „dla zdrajców Polski”, jedna z nich przeznaczona była dla mnie. Wielokrotnie za swoją działalność doświadczałem niesprawiedliwych ocen. Jednak powinnością prezesa IPN jest ściganie zbrodniarzy i nazywanie ich zbrodniarzami, nawet jeśli już nie żyją. To trzeba zrobić dla ofiar. Zamordowani w Jedwabnem Żydzi byli obywatelami Polski. Mielśmy o tej zbrodni zapomnieć?*

Podczas spotkania na Uniwersytecie Opolskim prof. Leon Kieres oświadczył również: – *Nie jestem człowiekiem odważnym, mam dylematy moralne, czy poprzez ujawnienie jakiejś sprawy nie skrzywdzę rodzin zbrodniarzy. Jednak przywracanie godności ofiar i ocalanie prawdy historycznej było podstawowym zadaniem IPN. Dla mnie jako katolika i to nawet ortodoksyjnego prawda jest jedna. Nie uznaję półprawd.*

Beata Zaremba

Rys. Leszek Oldak



Studiuj z pasją!

W odpowiedzi na zbliżający się w szkołach wyższych niż demograficzny Studenckie Forum BCC w Opolu zaproponowało kampanię wizerunkową dla Uniwersytetu Opolskiego. Plakat (projekt – Instytut Sztuki) skierowany jest do przyszłych oraz obecnych studentów Uniwersytetu Opolskiego.

Studenci UO chcą pokazać, że studiowanie w naszym mieście może być ciekawe i efektywne. Banery reklamujące Uniwersytet Opolski pojawiły się na budynkach UO – gmachu Wydziału Ekonomii i na budynku głównym przy ul. Oleskiej. W innych rozwieszono 80 plakatów.

Studenckie Forum BCC prowadzi także badania wśród opolskich studentów pozwalające określić, czego młodzi ludzie oczekują od przyszłej Alma Mater oraz jakie są ich aspiracje i marzenia. Forum chce także odpowiedzieć, jak można spędzić czas korzystając z dobrodziejstw uniwersyteckiego miasta. **BEZ**



Uniwersytecki ogród botaniczny

27 kwietnia br. w Sali Senatu Uniwersytetu Opolskiego odbyła się sesja Rady Powiatu Opolskiego, której przewodniczył Stefan Warzecha. Radni jednogłośnie zdecydowali o darmowym przekazaniu 12 hektarów terenu dawnej prószkowskiej pomologii oraz o dzierżawieniu przez uczelnię znajdujących się tam budynków. Uniwersytet Opolski zobowiązał się do urządzenia na otrzymanym terenie ogrodu botanicznego i utworzenia muzeum przyrodniczego.

Kłopoty i kompromisy

– Opolszczyzna to jedyny region, który nie miał własnego ogrodu botanicznego – mówi dr Arkadiusz Nowak, pracownik Katedry Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego, przed kilku laty wojewódzki konserwator przyrody. – W 1998 roku jeszcze jako wojewódzki konserwator przyrody próbowałem się rozeznaczyć, gdzie taki ogród mógłby powstać. Pojawiały się różne pomysły, że powinien powstać na wyspie Bolko, w kamieniołomach Opola, w Dąbrowie Niemodlińskiej, w Bierkowicach. W 1999 roku na wyspie Bolko powstały nawet załączki ogrodu botanicznego pod patronatem wojewody opolskiego. Jednak cały czas byłem przekonany, że gospodarzem ogrodu botanicznego powinna być placówka naukowa. Jako konserwator przyrody wybrałem się więc na rozmowy na Uniwersytet Opolski, jednak wówczas

dla będącego niemal na starcie Wydziału Przyrodniczo-Technicznego nie był to dobry moment na inwestowanie w ogród botaniczny.

W 2001 r. dr Arkadiusz Nowak zaczął rozmawiać o idei ogrodu botanicznego z rektorem UO **prof. Stanisławem S. Nicieją**, został jego pełnomocnikiem ds. ochrony środowiska, by w konsekwencji zająć się sprawami ogrodu botanicznego. Powstał wtedy pomysł, by zorganizować go w Prószkowie, czyli w miejscu obrosłym tradycją ogrodniczą. Droga od idei do realizacji nie była jednak krótka. Dr Nowak przypomina:

– Dyrekcja Technikum Ogrodniczego wiązała inne plany z posiadanym terenem – miało tam powstać centrum sportu i rekreacji. Pomyśleliśmy, że można pójść na kompromis i połączyć naszą koncepcję z koncepcją dyrekcji szkoły. Boisko – dlaczego nie? Ale ogród botaniczny także powinien powstać – argumentowaliśmy.



Budynek starej szkoły pomologicznej

Jak mówi dr Nowak, problemem był także fakt, podnoszony przez dyrekcję szkoły, że przez sad, który wszedłby w obszar ogrodu botanicznego, wiedzie droga ewakuacyjna: – W tej kwestii także doszliśmy do kompromisu.

Na początku tego roku na Uniwersytecie Opolskim gościła **Róża Malik**, burmistrz Prószkowa, przychylna powstaniu ogrodu botanicznego w Prószkowie.

Nie tylko rabatki

6 kwietnia br. odbyła się w Prószkowie sesja Rady Miasta poświęcona przekazaniu Uniwersytetowi Opolskiemu terenów dawnego ogrodu botanicznego, w której uczestniczyli m.in.: **prof. dr hab. Stanisław Nicieja**, rektor UO, **prof. dr hab. Jerzy Lis**, prorektor UO oraz **prof. dr hab. Wiesław Włoch**, **dr Paweł Kojs**, **dr Arkadiusz Nowak** – botanicy z UO. Prof. Nicieja przypomniał historię prószkowskiej szkoły i zapewnił, że uczelnia chce odtworzyć dawną świetność prószkowskiego ogrodu botanicznego. – *Będzie to miejsce o walorach rekreacyjnych i naukowych jednocześnie, bo na terenie ogrodu mieścić się będą nowoczesne laboratoria, w których prowadzone będą badania nad roślinami.* Prof. Nicieja mówił również o konieczności rekonstruowania obiektów o walorach historycznych, do jakich należy zaliczyć prószkowską pomologię.

Prof. Wiesław Włoch, botanik UO, założyciel oraz dyrektor Śląskiego Ogrodu Botanicznego w Katowicach przypomniał, że ogrody botaniczne pełnią ważną funkcję naukową – są miejscem ochrony roślin zanikających, w ogrodach botanicznych pracuje się nad sposobami rozmnażania nowych gatunków roślin, służą one także rolnictwu, leśnictwu, rekreacji, dydaktyce. Prof. Włoch przypomniał, że na świecie istnieje około 2000 ogrodów botanicznych, w Polsce przy wielu uniwersytetach tworzone są ogrody botaniczne. – *Prószkowski ogród*

botaniczny może być prawdziwym cackiem, ogród ten posiada duży potencjał, jak zauważył prof. Jerzy Puchalski, przewodniczący Rady Ogrodów Botanicznych w Polsce, który przyjechał do Prószkowa na nasze zaproszenie.

Podczas dyskusji prószkowscy radni pytali o szczegółowe plany dotyczące ogrodu botanicznego.

– *O szczegółach możemy mówić dopiero wtedy, gdy będziemy mieli już jakiś konkret. Opracowanie szczegółowej koncepcji wymaga ogromnej pracy. Na pewno nie będą tu same rabatki* – mówił Arkadiusz Nowak.

Pierwszy kwiatek za rok

Arkadiusz Nowak podkreśla, że na razie można mówić jedynie o planach związanych z zagospodarowaniem terenu. – *Przedrzeć trzeba będzie się przez szereg proceduralnych problemów. W budynkach mieszczą lokatorzy, trzeba będzie dla nich znaleźć mieszkanie. Pierwszy kwiatek zasadzony zostanie pewnie dopiero przyszłą wiosną* – mówi dr Arkadiusz Nowak. Dr Nowak ma nadzieję, że w gromadzeniu roślinności pomogą inne ogrody botaniczne. Powinny znaleźć się także środki unijne na odtworzenie ogrodu. A i pewnie społeczeństwo Opolszczyzny być może zechce wspomóc prószkowski ogród ciekawymi sadzonkami z własnych ogródków.

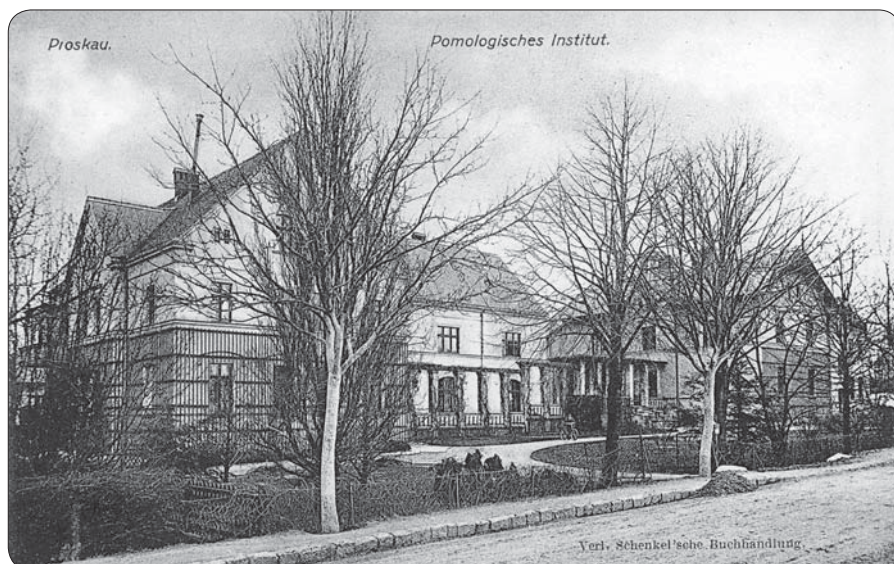
Pomysł utworzenia ogrodu botanicznego, zarządzanego przez Uniwersytet Opolski na miejscu dawnej prószkowskiej Królewskiej Akademii Rolniczej znajduje bowiem wielu entuzjastów nie tylko wśród naukowców i urzędników. Na adres „Indeksu” nadszedł list podpisany przez absolwentów prószkowskiej szkoły: Janinę Laszkiewicz z Bierdzan, Zdzisława Borawskiego i Filomenę Zienkiewicz z Opola oraz Janinę Drogowską, Andrzeja Drogowskiego, Małgorzatę Kolasę i Stanisława Kolasę z Turawy. Dawni absolwenci prószkowskiej szkoły napisali w nim: „Nie pora teraz roztrząsać przyczyny upadku świetnej kiedyś szkoły. Zapewne już w innej postaci, ale „Pomologia” znowu może stać się naszą dumą. Mamy w Opolu młody i jakże prężny uniwersytet. Przekształcenie terenu byłego Zespołu Szkół Ogrodniczych w ogród botaniczny pod protektoratem Uniwersytetu Opolskiego to wielka szansa dla promocji naszego województwa”.

– *Obecny ogród zasługuje na to, by przywrócić mu dawną świetność. A i z dziewiętnastowiecznych budynków stanowiących część ogrodu botanicznego można zrobić prawdziwe cacka, będzie to z pewnością miejsce często odwiedzane przez mieszkańców Opolszczyzny* – puentuje dr Nowak.

Jak było

W 1847 r. zaczęła działać w Prószkowie Królewska Akademia Rolnicza, a jej siedzibą był zamek. Akademia przemianowana została później na Wyższą Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego. W 1868 r. powstała nowa uczelnia – Królewski Instytut Pomologiczny. Inicjatorem powstania instytutu był Łukasz z Reutingen. Funkcję pierwszego dyrektora pełnił radca ekonomiczny Gustaw Stoll, któremu instytut zawdzięcza powiększenie starych i budowę nowych obiektów dydaktycznych, a także poszerzenia gospodarstwa o szkółki i pola. W 1871 r. zbudowano internat dla uczniów i mieszkania dla pracowników uczelni oraz pomieszczenia gospodarcze do przetwarzania owoców. W 1876 r. powstał wodociąg nawadniający sad, a w 1878 r. wybudowano nowe ciepłarnie i chłodnie. Założono od podstaw nowy park, który służyć miał jako obiekt dydaktyczny. W 1915 r. nazwę instytutu zmieniono na Królewską Szkołę Sadowniczo-Ogrodową. W 1924 r. przekształcono uczelnię na Niższą Roczną Szkołę Ogrodniczą (istniała do 1944 r.). Zarówno w Wyższej Szkole Rolniczej, jak i Instytucie Pomologicznym, kształciło się wielu Niemców, Austriaków, Szwedów, Rosjan i Polaków. Od 1934 r. na terenie szkoły odbywały się corocznie Jesienne Wystawy Ogrodnicze. Od 1947 r. powstało Państwowe Koedukacyjne Liceum Ogrodnicze, potem Technikum Ogrodnicze, a po wybudowaniu nowych znacznie obszerniejszych pomieszczeń szkoły i internatu w 1969 roku powstał Zespół Szkół Ogrodniczych im. Józefa Warszawicza (wybitny podróżnik, który odkrył, opisał i przywiózł do Europy nowe gatunki roślin).

Na terenie Królewskiego Instytutu Pomologicznego do 1895 r. posadzono ok. 500 odmian jabłoni, 300 odmian grusz, 70 odmian czereśni, 45 odmian wiśni, 80 odmian śliw, 23 odmiany brzoskwiń, 9 odmian moreli, 27 odmian porzeczek, 75 odmian agrestu, 70 odmian truskawek, 22 odmiany winorośli, 70 odmian orzechów



Królewski Instytut Pomologiczny na przedwojennej pocztówce

laskowych. Posadzono 177 rodzajów roślin parkowych liściastych, w tym około 900 gatunków. Posadzono także 30 rodzajów roślin iglastych, w tym 110 gatunków. Liczba odmian w obrębie wymienionych gatunków iglastych i liściastych sięgnęła w 1895 roku kilku tysięcy. Park w Prószkowie jest najstarszym w Polsce parkiem o charakterze dendrologicznym. W Polsce parków dendrologicznych było i jest niewiele – do ważniejszych należy park dendrologiczny w Medyce, park w Kórniku, w Przelewicach, w Rogowie pod Warszawą.

W województwie opolskim wiele ciekawych roślin posiada park w Mosznej i w Lipnie koło Niemodlina. W Prószkowie rosły drzewa i krzewy z całej Europy, Chin i Japonii (miłorząb japoński, metasekwoja, jałowiec chiński), Indii, Mandzurii, Syberii, Kaukazu (świerk kaukaski, jodła kaukaska), Ameryki Północnej (daglezja, sekwoja, drzewo mamutowe) i Południowej oraz Afryki. Z roślin, które w okresie zakładania parku posadzono, pozostało już niewiele. Część została wycięta, część wyginęła na skutek ostrych zim i silnych zawieruch. Jedna z większych wichur miała miejsce 21 lutego 1967 r. – wyrwanych zostało z korzeniami około 70 drzew.

Beata Zaremba

Dane dotyczące historii prószkowskiej pomologii pochodzą z opracowania Zenobiusza Mierzejewskiego.

Prof. dr hab. Wiesław Włoch

będzie brał udział w rekonstruowaniu Ogrodu Botanicznego w Prószkowie. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (ukończył studia w 1972 r.). Dyrektor Śląskiego Ogrodu Botanicznego w Katowicach. Przez 30 lat był pracownikiem Katedry Biofizyki i Biologii Komórki na Uniwersytecie Śląskim. Opracował m.in. wniosek o powstanie Arboretum Bramy Morawskiej, przez dziesięć lat zabiegał o utworzenie Śląskiego Ogrodu Botanicznego w Katowicach. Współpracuje z Centrum Zachowania Różnorodności Biologicznej PAN.

Od 2005 roku pracownik Uniwersytetu Opolskiego. Prof. Włoch widzi duże możliwości naukowe w kadrze Wydziału Przyrodniczo-Technicznego, wysoko ocenia poziom nauczania na tym wydziale. Uważa, że studenci opolskiej biologii mają duży potencjał intelektualny.

Hobby: fotografowanie przyrody, wędrowki po górach.

Skarpa – dla uniwersytetu

Prezydent Opola **Ryszard Zemba-
czyński** zdecydował o przekazaniu
Uniwersytetowi Opolskiemu terenu
rozpościerającego się u stóp Colle-
gium Maius (tuż przy schodach wio-
dących do kościoła „Na Górcie”), na
którym obecnie znajduje się skwer
z ławkami. Podarowany teren liczy
15 arów i stanowi wartość 276 tys.
złotych. Prezydent mógł podjąć de-
cyzję o darmowym przekazaniu go
uniwersytetowi, ponieważ jego war-
tość nie przekraczała miliona złotych.
Oficjalne przekazanie skarpy odbyło
się 9 maja br.

Uniwersytet będzie starał się za-
gospodarować skarpe jak najszybciej.
W planach: budowa schodów wio-
dących z Małego Rynku na wzgórze
uniwersyteckie oraz budowa herba-



Szkola dla panien z dobrych domów mieszcząca się w budynku na „skarpie”

ciarni lub księgarenki. Latem z głośników popłynie
muzyka Vivaldiego nawiązująca do tematyki stojących
już na wzgórzu rzeźb „Czterech Pór Roku”.

Przed wojną na „skarpie” znajdowały się dwa bu-
dynki; w jednym z nich mieściła się szkoła dla panien
z dobrych domów, w drugim – kaplica.

BEZ



Kaplica znajdująca się w przedwojennym, nieistnieją-
cym już budynku na „skarpie”



Szesnastu wspaniałych

Paweł Bojanowski, Artur Dumnicki, Tomasz Ignac, Aneta Kolasińska, Szymon Korzekwa, Halina Król, Grzegorz Kwiatkowski, Magdalena Luniak, Agnieszka Macedowska, Joanna Muszyńska, Jacek Piątkowski, Mirosław Rajkowski, Radosław Walczak, Łukasz Zalewski, Piotr Zamelski i Przemysław Zdybek – to nazwiska studentów UO nagrodzonych za dobre wyniki w nauce i działalność na rzecz środowiska akademickiego. Są wśród nich animatorzy kultury, młodzi naukowcy i działacze samorządu studenckiego.

Uroczyste spotkanie władz Uniwersytetu Opolskiego z wyróżnionymi studentami odbyło się 30 marca br. w Sali Plafonowej Collegium Maius UO.



Nagrodzeni studenci z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją i prorektorem prof. Markiem Masnykiem

(bas)

Latający uniwersytet

Uniwersytet Latający działa już od trzech lat – jego wykładowcy spotykają się z młodzieżą szkół ponadpodstawowych w całym województwie. W tym roku wykłady zorganizowano w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu – inaugurował je, 15 marca br., spotkaniem z uczniami Zespołu Szkół im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej **prof. dr hab. Stanisław Gajda**. Swoją wykład poświęcił ewolucji języka polskiego, przy okazji apelując do młodzieży o nienadużywanie żargonu i wulgaryzmów. Zwrócił też uwagę na ogromną rolę mediów w kształtowaniu kultury języka.

27 kwietnia br. wykład w ramach Uniwersytetu Latającego wygłosił **dr Adrian Gleń**, który przeprowadził analizę wybranych utworów poetyckich współczesnej literatury polskiej.

(bas)

Zagraniczne staże i projekty

Biuro ds. Badań Naukowych i Współpracy z Zagranicą informuje, że na stronie internetowej biura znajdują się informacje o możliwościach współpracy z zagranicą, odbycia zagranicznego stażu, finansowania projektów badawczych, a także inne ważne i ciekawe informacje.

Nasza strona to:

<http://www.uni.opole.pl/page.php?id=wspolzagr>

Na stronie **Aktualne informacje** znajdują się informacje, których „termin ważności” upływa w najbliższym czasie.

Wśród nich są:

- oferta lektoratów języka polskiego za granicą,
- informacje o konkursie o Nagrodę Kartezjusza,
- informacje o możliwości studiowania na zagranicznych jednostkach,
- ogłoszenia o stypendiach i grantach Fundacji Fulbright’a
- a także informacje o interesujących wydarzeniach krajowych, m.in. o kursie „Challenges of sustainable development”.

Artur Ślimak

Odszedł Stanisław Lem

doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego

27 marca 2006 roku w Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, po długiej chorobie, zmarł **Stanisław Lem**, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich, myśliciel, eseista, filozof, futurysta, wizjoner, który wyniósł powieść fantastyczno-naukową na światowe wyżyny, wielki lwowianin i przyjaciel naszej uczelni.

Gdy w 1997 roku w wyniku powodzi tysiąclecia Biblioteka Główna UO straciła 150 tysięcy woluminów, Stanisław Lem był jednym z pierwszych, który przekazał naszej społeczności kilkaset swoich książek, by pomóc w odtworzeniu księgozbioru.

Zwracając uwagę na wyjątkowe walory twórczości i jej znaczenie w kulturze polskiej i światowej, Uniwersytet Opolski przyznał Stanisławowi Lemowi tytuł doktora honoris causa. Byliśmy jedną z pięciu europejskich uczelni, które obdarzyły Go tym najwyższym akademickim wyróżnieniem. Pierwszą była Politechnika Wrocławska, która uczyniła to w roku 1981, drugą był nasz uniwersytet – w roku 1997, wyprzedzając o kilka miesięcy Uniwersytet Jagielloński. W 1998 roku Lem został doktorem honorowym Uniwersytetu Medycznego we Lwowie – swoim mieście rodzinnym, a w 2003 roku godność tę przyznał Mu Uniwersytet w Bielefeld w Niemczech.

Wręczenie tego ostatniego doktoratu miało szczególną oprawę, utrzymaną w duchu niegdysiejszych Lemowskich wizji futurologicznych, które obecnie się sprawdzają. A mianowicie, dzięki telemostowi, który jeszcze niedawno był rzeczą nie do wyobrażenia, a dziś jest czymś oczywistym, zgromadzeni w auli krakowskiego Collegium Maius mogli być razem ze studentami

na wskroś nowoczesnego Uniwersytetu w Bielefeld. Lem, który ze względu na stan zdrowia od wielu lat nie opuszczał Krakowa, otoczony rodziną i gośćmi, przebywał w najsłynniejszej auli najstarszego polskiego uniwersytetu, podczas gdy widzowie uroczystości, będąc 900 kilometrów dalej, w Bielefeld, byli razem z nim. Rektor uczelni niemieckiej był w Krakowie, osobiście wręczał Lemowi dyplom, a społeczność Uniwersytetu w Bielefeld miała wrażenie, jakby to się działo w jednej z auli w ich uczelni – tuż obok nich. Oto fenomen postępu technicznego, w którym uczestniczy ludzkość. Czy można było bardziej oryginalnie uczcić fenomen wizjonera Lema?

Nasz uniwersytet przyznawał Lemowi doktorat przed dziewięciu lat i na luksus uruchomienia telemostu nie mogliśmy sobie pozwolić. Uroczystość odbyła się 8 grudnia 1997 roku w Sali Portretowej Urzędu Miasta Krakowa przy placu Wszyst-

kich Świętych. Uczestniczyli w niej oprócz członków Senatu naszego uniwersytetu rodzina i przyjaciele Stanisława Lema, m.in. żona **Barbara**, przyjaciel pisarza **prof. Jan Błoński** z UJ, wybitny znawca jego twórczości **prof. Jerzy Jarzębski** – również z UJ, władze miasta Krakowa z przewodniczącym Rady **Stanisławem Handzlikiem** i prezydentem Krakowa **Jerzym Lasotą**.

W imieniu naszego uniwersytetu laudację wygłosił **prof. Wiesław Łukaszewski**, w tym czasie dyrektor Instytutu Psychologii UO, który tak scharakteryzował Lema: *Mistrz słowa i słowotwórstwa, niedościgniony erudyta, sumienie epoki elektroniki, prześmiewca, wzór pracowitości, fenomen energetyczny, prorok, wielki uczony...* Stanisław Lem to człowiek, który przed laty prorokował uzależnienie człowieka od elektroniki i bezradność ludzkości w obliczu jej destrukcji. Dyplom, którego treść po łacinie odczytał ówczesny dziekan Wydziału Teologicznego **ks. prof.**



W trakcie uroczystości wręczenia Stanisławowi Lemowi tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego. Na zdjęciu od lewej: Stanisław Lem, prof. Wiesław Łukaszewski, dr Wanda Matwiejczuk



Prof. Zdzisław Piasecki, ówczesny dziekan Wydziału Filologicznego UO, składa gratulacje doktorowi h.c. UO Stanisławowi Lemowi. Na zdjęciu (w głębi) jest także prof. Janusz Słodczyk i prof. Wiesław Łukaszewski

Helmut Sobeczko, wręczył rektor UO **prof. Stanisław Nicieja**.

Odbierając wyróżnienie, Stanisław Lem powiedział m.in.: *Jestem dzieckiem lwowskim i ze względu na osobę rektora Nicieji oraz jego wkład we wskrzeszenie pamięci o Lwowie, a zwłaszcza o Cmentarzu Orłąt Lwowskich, bardzo się cieszę z tego tytułu.*

Uroczystość, której głównym koordynatorem był ówczesny prodziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii UO **dr Dymitr Slezion**, zakończyła się w godzinach popołudniowych wspólnym obiadem w słynnej krakowskiej restauracji „U Wierzynka”.

Klara Boczkala

W związku ze śmiercią Stanisława Lema, doktora honoris causa naszego uniwersytetu, przypominamy jego tekst opublikowany we wrocławskiej „Odrze” w lutym 1999 roku, w którym wybitny pisarz wspomina swoją lwowską młodość. Publikujemy też fraszkę, którą wpisał do sztambucha rektora Stanisława Nicieji w krakowskiej restauracji „U Wierzynka” 8 grudnia 1997 roku.

„Odra”, nr 2, 1999 r.

Rozważania sylwiczne LXXVI

I. Ciężko mi pisać o Lwowie. Przyszedłem na świat w tym mieście i przeżyłem w nim dwadzieścia pięć lat. Los chciał, że jedne z ostatnich moich lwowskich wspomnień łączą się z Cmentarzem Łyczakowskim,

a przede wszystkim z Cmentarzem Orłąt. Lwów był już wtedy sowiecki, ja studiowałem medycynę, a ponieważ korpus tego fakultetu mieścił się na ulicy Piekarskiej, było stamtąd bardzo blisko do cmentarza, właśnie od strony tej części, gdzie się znajdował, jeszcze nietknięty przez nikogo, cmentarz polskich obrońców Lwowa z czasów wojny polsko-ukraińskiej. Był to rok, bodajże, tysiąc dziewięćset czterdziesty, a ja często przebywałem na tym cmentarzu, kiedy przygotowywałem się do kolejnego egzaminu. Dlatego mój stosunek do części owego cmentarza, zwieńczonej kolumnadą, mocno wrył mi się w pamięć i pozostał wyjątkowo osobisty. Działo się to z końcem wiosny, w dniach pogodnych i słonecznych, a bywałem tam tak długo i często, że zapamiętałem znaczną część topografii: z jednej strony pomnik amerykańskich lotników z wrytymi reliefami, z drugiej płaskie płyty z napisami. Na jednym widniały słowa:

*Na wiosny idącej gody
Ciężki ujawszy swój młot
Wykuje jeden dzień młody
I jeden najwyższy lot*

Jeżeli mnie pamięć nie myli na innej płycie grobowej widniał wryty napis: *finis vitae sed non amoris.*



Pamiętkowe zdjęcie – po uroczystości – przed krakowskim „Wierzynkiem”

2. Co się potem z tym cmentarzem działo, jak kolumnadę pogruchołano i jakie były skutki wojny z umarłymi, nie widziałem i nie chciałem wiedzieć. Był to jeden z powodów, dla jakich odrzucałem zawsze propozycje, składane mi w Moskwie, kiedy w niej przebywałem z delegacją ZL, ażeby odwiedzić Lwów. Sądziłem, jak widzę dzisiaj, naiwnie, że ślady tej przeszłości zagoją się. Tymczasem stało się przeciwnie.

3. Profesor Stanisław Niciejka, rektor Uniwersytetu Opolskiego, wydał, z pomocą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, monumentalny album, z którym miałem przyjemność się zapoznać. Tytuł brzmi *Łyczaków – dzielnica za Styksem*. Jest to już kolejna praca tego naukowca poświęcona przede wszystkim całemu Cmentarzowi Łyczakowskiemu, praca poprzedzona obszernym wstępem pióra autora, który opowiada, z jakim upartym mozołem materiały, służące ukazaniu i opisowi tej nekropolii, zbierał przez lat dwadzieścia. Jest to pozycja choćby przez to wyjątkowa, że ukazuje owoce wielkiego trudu, godnego podźwignięcia przez cały zespół badawczy. Kiedy przeglądałem ten album, natykałem się wielokrotnie na nazwiska spoczywających na tym cmentarzu Polaków, z których osobami wiązało się moje lwowskie życie. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że znajduje się tam grób Karola Szajnochy, którego imię i nazwisko nosiło moje gimnazjum na Podwalu Lwowskim. Chociaż Cmentarzowi Orłąt poświęcił Niciejka wcześniejszą pozycję, także w tym wielkim albumie dostrzegłem fotografię zachowanej jeszcze podówczas kolumnady z napisem *mortui sunt ut liberi vivamus*. Wydaje mi się, że na tej niedużej fotografii ów napis jest mało czytelny, ale dla mnie był dobrze widoczny jako zapamiętany: muszę powiedzieć, że owa więź osobista, jaka połączyła mnie z tą nekropolią, nie osłabła. Jak było powiedziane, tyle jesteśmy warci, ile pamiętamy o naszych zmarłych. Jak napisałem niedawno w „Tygodniku Powszechnym”, Lwów jest i



W trakcie bankietu „U Wierzyńka”

pozostanie częścią naszej narodowej pamięci. Szczególnie w czasach tak rozpowszechnionej, tak dającej się we znaki amnezji historycznej, opracowanie profesora Nicieja zasługuje, mam nadzieję, że nie tylko dla mnie, na szczególnie doniosłą i bolesną uwagę. Gdyby autor, podobnie jak ja, urodził się i żył we Lwowie, motywy jego cierpliwej dokumentalnej pracy byłyby dla mnie chyba bardziej oczywiste. Jest to jednak człowiek młody, Opolanin, który nekropolię lwowską swoim wielkokalibrowym dziełem powołał jak gdyby do zmartwychwstania. Na jednym z gmachów akademickich Lwowa (na bibliotece) biegł górą frontonu napis: *hic mortui vivunt et muti loquuntur*. Książka, jakiej poświęciłem te słowa, ma dla mnie wymiar podwójny: osobisty i powszechny. Chciałbym rektorowi Uniwersytetu Opolskiego za ożywienie tamtej zmarłej, i to jak gdyby podwójnie, przeszłości lwowskiej, podziękować.

4. Albumy, poświęcone zobrażowaniu innych nekropolii, nieraz dostają mi się w ręce. Przeglądam je i odkładam. Są dla mnie po prostu obce. Właściwie nie mamy lepszego sposobu zachowania i utrwalania pamięci o zmarłych, prócz budowli stawianych na ich grobach, kaplic, monumentów, alegorycznych posągów wyrzeźbionych w kamieniu – o

ileż trwalszym od rozsypującego się w proch ludzkiego ciała. Wysiłek skoncentrowany na tworzenie takich dzieł, jakimi sztuka nie służy sobie samej, jedynie dla tych jest daremny, których życie nie splotło się w nierozzerwalną więź ze zmarłymi. W naszych czasach ludzie żywi gotowi są prowadzić z nekropoliami wojny, to znaczy po prostu druzgotać je i niszczyć. Tym cenniejszy wydaje mi się trud inwestowany w obronę tego, co jest przedmiotem wszystkich takich nienawistnych działań destrukcyjnych. Jest to jeden z nakazów człowieczeństwa, zwłaszcza w czasach jego erozji.

Stanisław Lem

Kraków, 04 stycznia 1999 r.

W tym jest cała nadzieja
ze namkiem i wesołym
Pozostanie rektorowi
Imię Stanisław Niciejka.

Dr h.c.
Uniwersytetu
Opoleńskiego
Anno 1999

Ks. prałat Edward Kucharz (1931–2006)

24 marca br. zmarł nagle ks. prałat Edward Kucharz, proboszcz kościoła „Na Górcie”, sąsiadującego z Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego. Miał 75 lat. W czerwcu tego roku obchodziłby jubileusz 50-lecia kapłaństwa.

Urodzony 12 stycznia 1931 roku w Stanisławowie, święcenia kapłańskie przyjął 17 czerwca 1956 roku w Opolu. Był wikarym w Luboszycach (1956), Chruszczowie (1957), Bytomiu (1957–1962). Do parafii kościoła „Na Górcie” trafił w 1962 roku, na dwa lata, po czym został przeniesiony do Gierałcic, gdzie był administratorem parafii. W latach 1971–1976 pracował jako proboszcz w parafii Łęże. „Na Górkę” wrócił – już jako proboszcz – 20 października 1976 roku. Był doktorem historii sztuki (studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim podjął w wieku 50 lat, równoległe – studiował konserwację dzieł sztuki na ASP w Krakowie).

Kiedy Uniwersytet Opolski przejął sąsiadujące z kościołem „Na Górcie” budynki po byłym szpitalu wojewódzkim oraz szpitalu dziecięcym, ks. prałat Edward Kucharz był częstym gościem i w remontowanych obiektach, i po ukończeniu prac budowlanych – towarzyszył pracownikom uniwersytetu m.in. podczas remontu kaplicy św. Wojciecha, a także stawiania kolejnych pomników – m.in. figury Chrystusa czy – ostatnio – posągu św. Krzysztofa. Bywał też gościem naszych inauguracyj i innych uroczystości uniwersyteckich.



Ks. Edward Kucharz był częstym gościem sąsiadującego z kościołem „Na Górcie” Collegium Maius. Na zdjęciu – z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją i Ireną Rzeźniczek oraz ekipą stawiającą posąg św. Krzysztofa (październik 2005 r.)

W swoim testamencie, odczytanym podczas pogrzebu przez ks. abp. Alfonsa Nossola, ks. Edward Kucharz napisał: *Pragnę wszystkich przeprosić, jeśli cokolwiek ich uraziłem. Nigdy nie miałem złej woli, jeśli już, to wynikało to ze słabości. Moich konfratrów kapłanów proszę o memento. Staralem się żyć zawsze po kapłańsku, więc aż do przesady unikałem wszystkiego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, że gonię za wartościami materialnymi. Choć Bóg obdarzył mnie talentem malarskim, nigdy nie przedkładałem go nad moją posługę kapłańską.*

Zmarły ksiądz Edward Kucharz został pochowany na placu przy kościele „Na Górcie”, obok grobu Edmunda Osmańczyka. **(bas)**

Nie siedzę za biurkiem

Z Danutą Berlińską, rzecznikiem prasowym Uniwersytetu Opolskiego rozmawia Beata Zaremba

– Jest Pani z wykształcenia socjologiem, z powołania naukowcem związanym z Instytutem Śląskim i Uniwersytetem Opolskim, a od niedawna pełni Pani również funkcję rzecznika prasowego. Jak do tego doszło?

– Bezpośrednim powodem mojej zgody na pełnienie tej funkcji była wypowiedź opolskiego radnego Janusza

Kowalskiego, który w trakcie spotkania z władzami miasta na temat możliwości współpracy z uniwersytetem stwierdził, że Uniwersytet Opolski jest esbecką uczelnią. Byłam oburzona i zdziwiona, jak radny miasta może w bezwzględny sposób atakować instytucję, która odgrywa tak ważną rolę w rozwoju Opola i regionu. Parę miesięcy później Janusz Kowalski nie zawahał się głosić

w programie telewizyjnym niczym nieuzasadnionych twierdzeń, że za trzy lata może nie być uniwersytetu w Opolu, aby udowodnić, że prof. Nicieja nie byłby dobrym kandydatem na prezydenta Opolu. Uważam, że trzeba reagować, bo uniwersytet jest naszym wspólnym dobrem i nie można pozwolić na osłabianie pozycji uczelni przez bezpodstawne ataki.

– **I co zamierza Pani udowodnić prasie?**

– Zależy mi, by dziennikarze zrozumieli, że Uniwersytet Opolski, jest niezłą, rozwijającą się uczelnią. Istotnymi wskaźnikami rozwoju uczelni są: wzrost liczby studentów, wzrost liczby samodzielnych pracowników oraz poszerzanie oferty edukacyjnej i tworzenie nowych kierunków studiów. Od chwili powstania uniwersytetu liczba studentów się podwoiła, liczba samodzielnych pracowników zwiększyła się o ponad 50 proc., powstały nowe kierunki, m.in. takie jak: kulturoznawstwo, filozofia, socjologia, prawo. A zarzut, że na uczelni pracują osoby, które powiązane były ze służbami specjalnymi, można postawić każdej uczelni, każdej instytucji, która działała w PRL. Poza tym na naszym uniwersytecie doszło do znaczącej wymiany kadry, część pracowników odeszła na emeryturę, przyszedli nowi, spośród których wielu ma za sobą staże na zachodnich uniwersytetach.

– **Czy uważa Pani, że na temat Uniwersytetu Opolskiego funkcjonuje jakiś krzywdzący stereotyp?**

– Na szczęście takiego stereotypu nie ma, choć trudno powiedzieć, że nasz uniwersytet ma wysoki prestiż. Nie da się bowiem osiągnąć wysokiej pozycji w krótkim czasie. Jest to kwestia nie lat, lecz pokoleń. Mamy pewne słabości, np. Uniwersytet Opolski w niewielkim stopniu uczestniczy w dużych międzynarodowych projektach badawczych. Czytam też różne krytyczne uwagi na forach dyskusyjnych, w których uczestniczą studenci. Piszą np. że zdarza się, iż nie odbywają się zajęcia, że niektórzy wykładowcy nie stawiają im zbyt dużych wymagań, że w małym stopniu angażuje się studentów do badań, że studenci nie korzystają z wymiany zagranicznej.

– **Przed długi czas dla opolskiego dodatku „Gazety Wyborczej” największą słabością opolskiego uniwersytetu była osoba rektora Nicieji. Co Pani takiego zrobiła dziennikarzom tej gazety, że przestali uderzać w Uniwersytet Opolski i jego rektora?**

– Nic takiego. Po prostu niedawno odbyło się spotkanie redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” w Opolu z rektorem. Efektem tego spotkania była obustronna wola poprawy wzajemnych stosunków – rektor obiecał większą gotowość do współpracy z dziennikarzami, a redaktor naczelny przyjął do wiadomości, że niekiedy język artykułów na temat uniwersytetu był zbyt agresywny.

– **Krytyka została ukrócona...**

– Istnieje wolność prasy, gazety mają prawo krytykować różne instytucje, ich decyzje lub działania. Życzliwa krytyka jest bardzo potrzebna, ponieważ wskazuje na to, co należy zmienić lub poprawić w funkcjonowaniu



Rzecznik prasowy UO dr Danuta Berlińska.
Fot. Roman Hławacz

instytucji, nie pozwala spocząć na laurach. Czym innym jest natomiast atak personalny z powodów politycznych, jak to miało miejsce w przypadku rektora.

– **Jak Pani została przyjęta przez dziennikarzy?**

– Bardzo dobrze. Może dlatego, że znam opolskie środowisko dziennikarskie nie od dziś. Współpracowałam z lokalną prasą, Radiem Opole, działałam w Stowarzyszeniu Rozwoju Telewizji Regionalnej. Dziennikarze ucieszyli się, że będą mieli łatwiejszy dostęp do informacji. Choć szczerze mówiąc, z obiegiem informacji na naszej uczelni bywa różnie. Mam nadzieję, że zostanie powołany dział public relations na uniwersytecie, dzięki czemu usprawni się proces komunikacji na uczelni. Poza tym, wraz z pogłębianiem się nizu demograficznego, oczywista staje się konieczność sprostania konkurencji na rynku usług edukacyjnych i zabieganie o przyszłych studentów. Dział public relations zajmowałby się m.in. analizami demograficznymi i segmentacją potencjalnych kandydatów na studentów, projektowaniem i prowadzeniem akcji promocyjnych, monitoringiem i analizą oczekiwań najważniejszych instytucji z otoczenia społecznego, badaniami opinii, wskazywaniem mocnych i słabych stron uniwersytetu. Nie jest możliwe bowiem wykreowanie pozytywnego wizerunku w mediach tylko dzięki publicity. Bardziej skuteczne jest oddziaływanie specjalistów od public relations na organizację, żeby funkcjonowała zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami i nie dawała powodów do krytyki prasowej psującej wizerunek.

– **Najmocniejsze strony Uniwersytetu Opolskiego, Pani zdaniem...**

– Atrakcyjne położenie uczelni w wielokulturowym regionie. Ten styk kultur: polskiej, śląskiej i niemieckiej przyciąga naukowców z różnych krajów, sprawia, że studiowanie językoznawstwa, socjologii, folklorystyki, kulturoznawstwa, politologii, historii na UO może być fascynujące. Inny nasz atut – mamy dinozaura silesaurusa! Powinniśmy rozwijać opolską paleontologię,

zatrudniać samodzielnych pracowników, prowadzić badania, organizować międzynarodowe konferencje! Możliwości prowadzenia badań nad odkrytymi kośćmi dinozaurów może pozazdrościć nam wiele uniwersytetów na świecie!

– **Jako rzecznik prasowy nie ma Pani swojego gabinetu, nawet własnego biurka, ma Pani za to swój komputer i telefon. To wystarczy?**

– Wystarczy. Nawet gdybym siedziała za biurkiem, to jest mało prawdopodobne, że dziennikarze by przychodzili. Pracują pod silną presją czasu, więc zwykle potrzebują informacji natychmiast, przez telefon. Niezbędne jest natomiast, by korzystać z poczty elektronicznej i za jej pomocą powiadamiać dziennikarzy o ważnych wydarzeniach, udzielać bardziej wyczerpujących informacji oraz korzystać z Internetu jako źródła wiedzy – m.in. o tym, co sądzą o uniwersytecie najzagorzalsi krytycy.

– **Jest Pani mocno zaangażowana w obronę wizerunku uniwersytetu, na internetowych forach dys-**

kusyjnych dzielnie broni Pani Uniwersytet Opolski przed atakami. I choć robi to Pani anonimowo, ukrywając się pod nickiem, to i tak wszyscy już wiedzą, że pod pseudonimem się ukrywa Danuta Berlińska.

– (Śmiech) Niekiedy zdradza mnie sposób argumentacji, bo wychodzi ze mnie socjolog, naukowiec, znawca określonej problematyki. Być może wyróżnia mnie to, że używam merytorycznych argumentów, choć – rzecz jasna – nie zawsze spotykam się z rzeczową repliką.

– **Bardzo identyfikuje się Pani z Opolem i Opolszczyzną. Zależy Pani, by w tym regionie dobrze się działo?**

– Oczywiście tak! Co prawda nie pochodzę z Opola, pojawiłam się tu z powodów, że się tak wyrażę, matrymonialnych, ale polubiłam to miasto i fascynuje mnie nasz region – jego dziedzictwo kulturowe i współcześni mieszkańcy.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Marian Smoluchowski – człowiek wszechstronny

Dokładnie 100 lat temu w niemieckim czasopiśmie naukowym „Annalen der Physik” (najbardziej prestiżowym w owym czasie) ukazała się jedna z najważniejszych prac w historii fizyki pt. „Zur kinetischen Theorie der Brownischen Bewegung und der Suspensionen” („Zarys kinetycznej teorii ruchów Browna i roztworów mętnych”). Autorem artykułu był **Marian Smoluchowski** – 34-letni profesor zwyczajny Uniwersytetu Lwowskiego.

Publikacja została sprowokowana artykułem Alberta Einsteina ogłoszonym w tym samym czasopiśmie w roku 1905. Jak wynika z naukowej korespondencji autora z najwybitniejszymi ówczesnymi fizykami oraz wcześniejszych publikacji, powyższa praca była podsumowaniem badań nad ruchami Browna prowadzonych przez Smoluchowskiego od roku 1900. Wyniki opublikowane w 1906 roku były znane autorowi już trzy lata wcześniej. Zwłoka w publikacji spowodowana była ostrożnością autora oczekującego na dokładniejsze wyniki doświadczalne. Obie prace Einsteina i Smoluchowskiego wzajemnie się uzupełniają (wyjaśniają zjawisko ruchów Browna stanowiące zagadkę od roku 1827) i były decydujące dla fizyków i chemików w sporze o uznanie realnego istnienia atomów.

Dziś nawet dla niespecjalistów jest oczywiste, że otaczający świat nie jest ciągły, lecz składa się z drobin zwanych atomami. Fakt ten jest fundamentem naszej wiedzy o budowie materii – potwierdzanym doświad-

czalnie w każdym laboratorium fizycznym i chemicznym. Potrafimy dziś przeprowadzać eksperymenty na pojedynczych atomach! Stąd jesteśmy tak oswojeni z poglądem na atomistyczną budowę materii. Wielu z nas jest zaskoczonych informacją o zaledwie stuletniej historii uznania realnego istnienia atomów. Co więcej, aż do przełomu XIX i XX wieku koncepcja atomistycznej budowy materii była zwalczana przez prominentnych luminarzy ówczesnej nauki jako metafizyczna mrzonka (mawiano: „czy ktoś widział atomy?”). Do głównych przeciwników atomistów należeli przedstawiciele Szkoły Energistyki reprezentowani przez takie nazwiska jak Ernest Mach i Wilhelm Ostwald. Zwolennicy tej szkoły opierali się na poglądach filozoficznych empiriokrytycyzmu. Empiriokrytycy uznawali tylko fakty wynikające z doświadczeń i uważali hipotezy, wykraczające poza bezpośrednie wnioski z doświadczeń, za spekulacje metafizyczne. Ostwald uznał istnienie atomów w 1908 roku, recenzując znakomitą pracę doświadczalną T. Svedberga, natomiast Mach nie dał się przekonać (mimo opublikowania znakomitych prac doświadczalnych wymienionego powyżej Svedberga oraz J. Perrina, późniejszych laureatów Nagrody Nobla za rok 1926 z chemii i fizyki) aż do śmierci w roku 1916. Główny nurt nauki początku XX wieku nadal kształtowali przeciwnicy koncepcji atomistycznej, stąd wzmiankowana już ostrożność Smoluchowskiego, widoczna również w pracy Einsteina. Einstein w artykule z 1905 roku

wspomina tylko raz i to wyjątkowo lakonicznie o możliwości związku zamieszczonych w jego pracy wyników z rozwiązaniem zagadki zjawiska ruchów Browna, które okazały się najłatwiejszym do zaobserwowania potwierdzeniem koncepcji atomistycznej. Dzisiaj wiemy z analizy wcześniejszej korespondencji Einsteina, że nie tylko wiedział o nierozwiązanym problemie ruchów Browna, ale dyskutował go z przyjaciółmi. Albert Einstein, niestety, rzadko w swoich pracach z 1905 roku zamieszcza cytowania innych autorów pomimo korzystania z ich wyników. (Być może powodem było to, że pracował wtedy w Biurze Patentowym poza środowiskiem akademickim, a był człowiekiem genialnym i bardzo ambitnym). Obecnie wiemy, że Einstein interesował się jedną z wcześniejszych prac Smoluchowskiego, której pewien wpływ na pracę Einsteina z 1905 roku o ruchach Browna udało się dzisiaj wyśledzić. Marian Smoluchowski został poproszony o napisanie artykułu do pamiątkowego tomu dla uczczenia 60-lecia urodzin L. Boltzmann. Owa księga pamiątkowa wraz ze znakomitą, odważną pracą Smoluchowskiego o tytule „O nieregularnościach w rozkładzie cząstek gazu i wpływie ich na entropię i równanie stanu” ukazała się w 1904 roku. W artykule tym jest dowiedzione, że są możliwe obserwacje niejednorodności w gęstości (fluktuacji gęstości) i jak sam autor pisze w liście do rodziców z 1903 roku: *Niestety rzecz ta strasznie abstrakcyjna i trudna... i dalej Dotyczy właśnie ulubionego przedmiotu Boltzmann: teorii gazów i właściwie stanowi częściowo ukrytą polemikę z panującymi, także przez Boltzmanną podtrzymywanymi poglądami.* Trzeba tu podkreślić, że Boltzmann należał do zwolenników teorii atomistycznej i był prekursorem współczesnej fizyki statystycznej uzupełniającej dobrze już rozwiniętą w XIX wieku termodynamikę. Poza tym Boltzmann znał i cenił Smoluchowskiego jako świetnie zapowiadającego się docenta Uniwersytetu Wiedeńskiego i autora prac, które cytował w słynnym dziś dziele „Wykłady o teorii gazów” (drugi tom ukazał się w 1898 roku), ponieważ jako jedno z nielicznych potwierdzały słuszność wyłożonej tam teorii kinetycznej (ówcześnie niezrozumianej). Tym dobitniej świadczy owa praca zamieszczona w tomie poświęconym Boltzmannowi o wielkości i geniuszu Smoluchowskiego. Dzisiejsze najnowsze badania (prof. Johna Stachela, dyrektora Centrum Einsteina na Uniwersytecie Bostońskim i wydawcy wielotomowych pism zebranych Einsteina) historycznych prac Alberta Einsteina pokazują widoczny wpływ powyższej pracy Mariana Smoluchowskiego z 1904 roku na pracę Einsteina o ruchach Browna z 1905 roku. Co więcej, wykazano, że Einstein jako płatny recenzent wybrał przytoczony powyżej tom poświęcony Boltzmannowi, otrzymał go i recenzował z niego trzy inne artykuły dla dodatku do czasopisma „Annalen der Physik”

(poświęconego recenzjom prac). Stąd zapewne czytał pracę Smoluchowskiego również tam zamieszczoną, dlatego odkryty dziś wpływ pracy polskiego fizyka na pracę Einsteina przestaje być zagadką. Powyższe fakty są warte podkreślenia, ponieważ są mało znane. Do dziś spotyka się opracowania historii fizyki (i to wznawiane, np. K. Simonyi – „Kulturgeschichte der Physik”), w których nazwisko oraz osiągnięcia Smoluchowskiego są pomijane. Rozwiązanie zagadki ruchów Browna nie jest jedynym wkładem bohatera tego artykułu dla nauki współczesnej. Choć z pewnością opracowane przez Smoluchowskiego teorie ruchów Browna, opalescencji krytycznej, koloru nieba i fluktuacji dały oparcie dla pierwszych dowodów doświadczalnych prawdziwości atomistycznej budowy materii i zapewniają trwałe miejsce autora w historii fizyki. Najważniejsze jednak, że Smoluchowski i jego osiągnięcia to nie tylko historia nauk przyrodniczych – zajmował się twórczo nie tylko fizyką. Marian Smoluchowski był postacią wielowymiarową i niezwykle wszechstronną. Do dziś jest jednym z najczęściej cytowanych fizyków polskich, mimo że jego ostatnia publikacja ukazała się w 1917 roku. Świadczy to dobitnie o znaczeniu prac Smoluchowskiego dla teraźniejszej nauki. Jego niezwykła osobowość i zainteresowania oraz umiejętności pozanaukowe (alpinizm, narciarstwo, gra na fortepianie, malarstwo) zachęcają do bliższego zapoznania się z życiorysem tego wybitnego człowieka.

Dom rodzinny i młodość

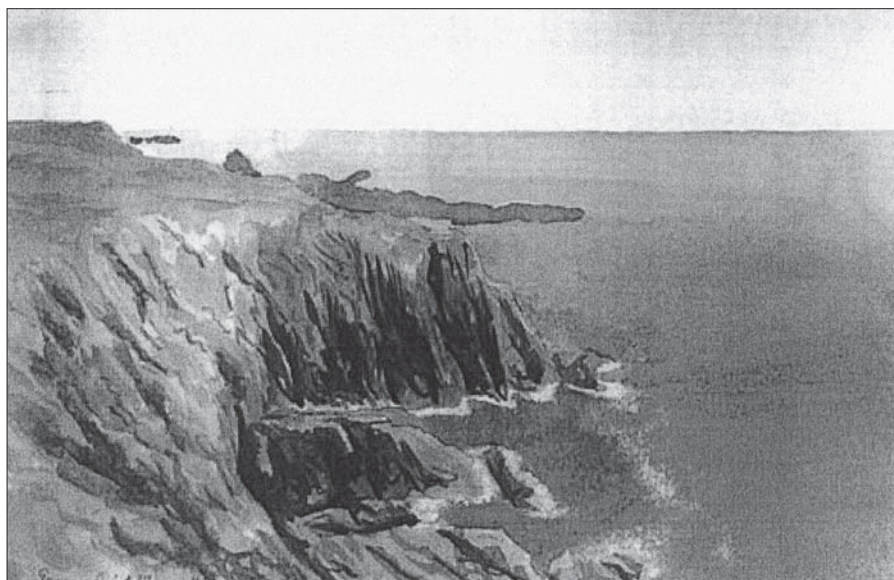
Marian Smoluchowski urodził się w 1872 roku w miejscowości Vor-der-Bruhl pod Wiedniem w rodzinie Wilhelma Smoluchowskiego – doktora praw, wysokiego urzędnika w kancelarii cesarza Franciszka Józefa i Teofili z domu Szczepanowskiej (której brat Stanisław był postacią niepospolitą – przyczynił się w decydującej mierze do rozwoju przemysłu naftowego w Galicji, ale



Prof. Marian Smoluchowski

miał również szerokie zainteresowania literackie). Marian i jego starszy o cztery lata brat Tadeusz ukończyli jedną z najświetniejszych szkół średnich w Europie Środkowej – Collegium Theresianum w Wiedniu. Wiadomo, że na niższym szczeblu nauki szkolnej błyszczał w przedmiotach humanistycznych. Przez jakiś czas pasjonował się astronomią. Pod wpływem nauczyciela fizyki Alojzego Höflera (późniejszego profesora uniwersytetów w Pradze i Wiedniu) zainteresował się fizyką, co w wiele lat później (1915) swemu mistrzowi z Theresianum żartobliwie wypominał, że z jego winy został fizykiem: *dzięki Tobie nauczyłem się czcić fizykę, matematykę i filozofię jako najmiłsze przedmioty*. Braterskie „Ty” w tej wypowiedzi było przywilejem przyznanym najzdolniejszemu i ukochanemu wychowankowi.

Z lat dziecięcych w domu rodzinnym datują się zainteresowania i umiejętności muzyczne Mariana, które trwać będą przez całe życie. Główną rolę odegrały tu zainteresowania i umiejętności matki i jej siostry Beniginy Wolskiej na stałe zamieszkałej w Fiesole niedaleko Florencji. Wakacyjne kilkutygodniowe, niemal coroczne pobyty Mariana u wujostwa we Włoszech były dla niego niezwykłym, pełnym inspiracji wydarzeniem. Bliskość wspaniałej sztuki Florencji i wspólne muzykowanie przy fortepianie rozwijały talenty artystyczne i wrażliwość estetyczną chłopca i młodzieńca, która pozostała na całe życie. W Wiedniu najbliższymi towarzyszami muzykowania była pięknie śpiewająca matka oraz przyjaciel, młody muzyk i kompozytor Guido Peters. Dzięki owemu wychowaniu muzycznemu Marian z przyjemnością i wyrobieniem uczestniczy w wydarzeniach muzycznych. Szczególnie ceni muzykę Wagnera, a zbiegiem lat symfonię Brucknera (w okresie lwowskim miał w domu wszystkie symfonie Brucknera w opracowaniu na fortepian), z kompozytorów polskich najbardziej ceni Karłowicza, natomiast wobec muzyki Chopina jest powściągliwy.



Marian Smoluchowski: Prosner Point, Jersey, 4/8/1908, (akwarela)

Obaj bracia Smoluchowscy każdy rok szkolny kończyli z wyróżnieniem. Marian uzyskał maturę z odznaczeniem w 1890 po dziewięcioletniej nauce. Będąc uczniem szkoły średniej, pobierał dodatkowo prywatne lekcje rachunku różniczkowego i całkowego, geometrii analitycznej i mechaniki teoretycznej. Pozwoliło mu to na zapisanie się od razu na trzeci rok studiów na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Wiedeńskiego, gdzie studiował fizykę w latach 1890–1894. Stopień doktorski uzyskał w 1895 na podstawie pracy: „Badania akustyczne nad sprężystością ciał miękkich”.

Spośród absolwentów Theresianum i kolegów szkolnych Mariana warto wymienić Kazimierza Twardowskiego, również studenta i doktora filozofii Uniwersytetu Wiedeńskiego, a później profesora i twórcę znakomitej Lwowskiej Szkoły Filozoficznej w Uniwersytecie Lwowskim. Za namową właśnie Twardowskiego Smoluchowski przeniósł się w latach następnych do Lwowa.

Dzięki wsparciu finansowemu rodziców 23-letni doktor Smoluchowski wyjeżdża do Paryża i pracuje tam w latach 1895/96 w laboratorium G. Lippmanna, gdzie zajmuje się sprawdzeniem prawa Clausiusa mówiącego o zależności natężenia promieniowania cieplnego od ośrodka, w którym zanurzone jest ciało promieniujące. Następnie w latach 1896/97 przebywa w laboratorium lorda Kelvina w Glasgow, uczestniczy w doświadczeniach nad przewodnictwem elektrycznym ciał zjonizowanych pod wpływem naświetlania promieniami Röntgena. W następnym roku pracuje w Berlinie w laboratorium E. Warburga, gdzie bada przewodnictwo cieplne w gazach rozrzedzonych. We wszystkich ośrodkach pozostawia wspomnienie wyjątkowo uzdolnionego zarówno teoretyka jak i eksperymentatora. Nawiązane kontakty będą procentowały przez jego całe naukowe życie. Wyniki badań uzyskane u Warburga opublikowane w artykule „O przewodnictwie cieplnym

gazów rozrzedzonych” (1898) stanowiły jeden z wyjątkowo nielicznych w owym czasie dowodów słuszności kinetycznej teorii gazów i okazały się najważniejsze dla dalszej kariery.

Po powrocie do Wiednia Smoluchowski habilituje się w 1899 roku i Uniwersytet Wiedeński przyznaje mu *veniam legendi*, prawo wykładania. Radość młodego docenta podziela zarówno rodzina jak i otoczenie uniwersyteckie. Nadzieje naukowe wiążą z osobą Smoluchowskiego nie tylko dawni jego profesorowie, ale jak już wspominałem na wstępie, również Ludwig Boltzmann, wielki prekursor teorii kinetycznej gazów.

Marian Smoluchowski od najmłodszych lat odznacza się znakomitą kondycją fizyczną i z domu

rodzinnego oprócz zamięłowania do sztuk pięknych wynosi po ojcu i starszym bracie zainteresowanie wycieczkami górskimi. We wczesnej młodości bywa w Tatrach i mając 13 lat wraz z bratem Tadeuszem, przechodzi przez Zawrat i Polski Grzebień. W późniejszych latach wyprawy stają się coraz bardziej zaawansowane. Lata największej sprawności braci Smoluchowskich przypadają na koniec odkrywczego alpinizmu i taternictwa. W latach 1890-93 Tadeusz i Marian wraz z towarzyszami (zazwyczaj dwoma lub trzema) przebyli 24 nowe drogi skalne, z czego 16 było jednocześnie pierwszymi wejściami szczytowymi. W 1894 Marian wyrusza w Alpy zachodnie. Wchodzi wraz z H. Lorenzem na Zinalrothorn (4223 m) i Monte Rosa (4637 m) oraz jako pierwszy Polak na Matterhorn. Wspinania się w Alpach również w następnych latach, aż do roku 1909. Osiągnięcia wspinaczkowe braci Smoluchowskich należą niewątpliwie do historii alpinizmu.

Nowe obowiązki w Uniwersytecie Lwowskim i małżeństwo z Zofią Baraniecką (córką profesora matematyki Uniwersytetu Jagiellońskiego) przerywają wyprawy alpinistyczne. W okresie pracy we Lwowie i potem w Krakowie Marian uprawia narciarstwo wysokogórskie w Tatrach i Karpatach. Autor słynnych „Zasad taternictwa” Z. Klemensiewicz tak oto charakteryzuje Mariana Smoluchowskiego: *Jako taternik przedstawiał typ wspaniały, wytworny i zrównoważony. [...] Jako towarzysz Smoluchowski był ideałem.*

Okres lwowski (1901–1913)

Uniwersytet Lwowski był uczelnią prowincjonalną na przełomie wieków XIX i XX. Dopiero w okresie dwudziestolecia międzywojennego stał się znanym w świecie ośrodkiem matematyki, logiki matematycznej oraz filozofii.

Nim pojawiła się możliwość objęcia katedry we Lwowie Smoluchowskiemu ofiarowano katedrę w Bombaju, którą jednak odrzucił ze względu na znaczną odległość od najważniejszych ośrodków badawczych w Europie. Jak wspominałem na wstępie, o przeniesienie Mariana Smoluchowskiego do Uniwersytetu Lwowskiego zabiegał Kazimierz Twardowski, który znał zalety naukowe i osobowościowe młodego docenta jeszcze z okresu nauki w wiedeńskim Theresianum. Smoluchowski wahał się z



Nie wiem, nawet wątpię, czy jest jakiś drugi świat. Jeżeli jest, to trwać będzie zawsze moja myśl o Tobie – z listu Smoluchowskiego do żony z 9 stycznia 1915 r. Fotografia ślubna Zofii i Mariana Smoluchowskich, 1901

przyjęciem propozycji, gdyż uważał uniwersytet we Lwowie za źle wyposażony i zbyt oddalony od wszelkiego życia naukowego, a samo miasto za „obrzydliwą dziurę”. Jednak po wymianie korespondencji z Twardowskim dał się przekonać obietnicą rychłej profesury w Uniwersytecie Lwowskim. Smoluchowski rozpoczyna pracę we Lwowie w 1901 roku. W niespełna rok po przybyciu otrzymuje nominację na stanowisko profesora nadzwyczajnego. Dwa lata później jest już profesorem zwyczajnym. Poza znakomitymi wynikami naukowymi daje się poznać jako świetny wykładowca i pedagog. Wprowadza innowację do systemu studiów (wówczas na większości uniwersytetów nieznaną) w postaci ćwiczeń do wykładu. Podstawowym walorem wykładów Smoluchowskiego było zachowanie przejrzystości przy możliwie wyczerpującym ujęciu tematu. Wykładów Smoluchowskiego słuchali również studenci innych kierunków np. uczniowie profesora Twardowskiego, spo-

śród których warto wymienić Kazimierza Ajdukiewicza – późniejszego mistrza analizy filozoficznej.

W pracy naukowej Smoluchowski odczuwał brak środowiska naukowego we Lwowie porównywalnego z Wiedniem czy innymi ośrodkami, w których przebywał wcześniej. Utrzymywał jednak ożywione kontakty naukowe i współpracę z najwybitniejszymi fizykami, takimi jak np.: A. Einstein, T. Svedberg, J. Perrin, lord Kelvin i innymi. Owe kontakty ułatwia mu znakomita znajomość wielu języków obcych, np. jeden z duńskich uczonych jest mile zaskoczony, kiedy dowiaduje się, że Smoluchowski czytał jego artykuły wydane po duńsku. Pracował intensywnie, przeciętnie publikując pięć prac rocznie w języku niemieckim, francuskim, angielskim i polskim. Właśnie w tym okresie powstają wspomniane już teorie fluktuacji gęstości, ruchów Browna, opalescencji krytycznej oraz ważne prace poświęcone termodynamice. Należy poza tym wspomnieć, że Smoluchowski publikuje również artykuły naukowe z innych dziedzin np.: o atmosferze Ziemi i planet, kilka prac z dziedziny aerodynamiki, o zjawisku elektroosmozy. Cieszyły się one dużym zainteresowaniem i uznaniem u współczesnych. Aktywność intelektualną uczonego najlepiej charakteryzuje wypowiedź żony Mariana, Zofii Smoluchowskiej:

– Zaliczał siebie do „romantyków”, a więc do tego typu badaczy żądnych rozwiązania wielu tajemnic rów-

nocześnie, nieznajdujących nigdy spokoju. Te cechy charakterystyczne jego ducha wyjaśniają fakt, że dzie więćdziesiąt kilka jego prac ogłoszonych drukiem odnosi się do bardzo wielkiej liczby dziedzin.

Okres krakowski (1913-1917)

W 1913 roku zaproponowano Smoluchowskiemu objęcie Katedry Fizyki Doświadczalnej i Zakładu Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo że Smoluchowski był teoretykiem, miał wystarczające kwalifikacje do kierowania Katedrą Fizyki Doświadczalnej. W młodości był autorem lub współautorem kilku świetnych prac doświadczalnych wykonanych w znanych laboratoriach europejskich. Smoluchowski uznał, że przeniesienie do Krakowa ułatwi mu kontakty naukowe w Europie Zachodniej, toteż propozycję przyjął. Pobyt w Krakowie, mimo trudności związanych z pierwszą wojną światową, zaowocował niezwykle ważnymi pracami: nad wzajemnymi relacjami teorii kinetycznej i termodynamiki, o ruchach Browna pod działaniem sił zewnętrznych – gdzie wyprowadza równanie zwane dziś równaniem Smoluchowskiego oraz opracowaniem teorii koagulacji. Niezwykle aktywnie zajmuje się również problemami edukacji. W tym okresie powstają główne części obszernego dzieła dydaktycznego Smoluchowskiego (nad którym pracował przez kilka lat) zatytułowanego „Poradnik dla samouków”. Tytuł jest nieco mylący, chyba że zgodnie ze wzmianką w „Poradniku” każdego studiującego fizykę uznamy za samouka. W liście do żony z 9 stycznia 1915 roku po wykonaniu korekty dzieła napisał: *Wydaje mi się jakby w tym tkwiła cząstka mojego ja.* W części poświęconej nauczaniu elementarnemu określa podstawowe cele dydaktyczne: na pierwszym miejscu wyrobienie zdolności spostrzegania, a na tej podstawie zdolności „samodzielnego logicznego wnioskowania”. Uważa, że osiągnięcie powyższych celów jest możliwe jedynie przy nauce opartej na obserwacji i doświadczeniach. Gwałtownie występuje przeciwko przyswajaniu wiadomości z fizyki „za pośrednictwem bibuły drukowanej”. Mówi o nauczycielu, że jeśli ma uczyć „dogmatycznie, czysto książkowo” to lepiej, aby wcale nie uczył. Smoluchowski był zwykle powściągliwy, jednak tym razem z oburzeniem pisze o systemie nauczania, który „ogłupia” i „zabija wrodzone zdolności”. Dopiero na trzecim miejscu wymienia zaznajomienie ucznia z podstawowymi prawami przyrody. Pamięciowe wiadomości cenil mało. Świadczy o tym powiedzenie Smoluchowskiego: *Fizyk nie to, żeby wiedział, lecz żeby wiedział, gdzie szukać.* Podczas odczytu na Zjeździe Nauczycielstwa Polskiego w maju 1917 roku przedstawił walory tzw. nauk ścisłych, podkreślając, że chodzi nie tylko o ich użyteczność, ale że od wszech czasów były one *odtrutką przeciw ślepej wierze w autorytety, przeciwko niewolniczej służalczości umysłów... Prowadzą one walkę z błagą i frazesem – chorobami, które toczą nasze społeczeństwo i zniekształcają nasz język literacki...* Trudno nie zauważyć w tych analizach z teorii

nauczania celnych uwag aktualnych współcześnie.

W roku 1916 wygłasza w Getyndze trzy wykłady, które do dziś stanowią znakomite wprowadzenie do zagadnień ruchów Browna i fluktuacji molekularnych. W tym samym roku otrzymuje propozycję przeniesienia się do Wiednia, wyraża po pewnych wahaniach zgodę, ale sprawa upada ze względów narodowościowych. Podobną propozycję otrzymuje z Uniwersytetu Warszawskiego. W tej sytuacji Uniwersytet Jagielloński ofiarowuje Smoluchowskiemu (pragnąc go zatrzymać) godność rektora. Niestety w sierpniu 1917 roku Smoluchowski zapada na dyzenterię i 5 września 1917 roku umiera w wieku zaledwie 45 lat.

Wspomnienia pośmiertne napisali fizycy tej miary co Albert Einstein i Arnold Sommerfeld. W późniejszych latach dwóch współpracujących przez wiele lat ze Smoluchowskim uczonych otrzymało Nagrody Nobla (R. Zsigmondy w 1925 oraz T. Svedberg – 1926).

Napisane pod koniec życia prace Mariana Smoluchowskiego wyprzedziły epokę. Równania Smoluchowskiego, wypracowane przez niego podstawy teoretyczne i metody rachunkowe stały się fundamentem fizyki statystycznej, a w szczególności jej ważnej dziś gałęzi zwanej teorią procesów stochastycznych rozwijanej zarówno przez fizyków jak i matematyków. Zastosowania równań Smoluchowskiego rozciągają się od fizyki (zarówno układów makroskopowych jak i subatomowych) i chemii do biologii i nauk technicznych. Wykorzystywane są do opisu procesów koagulacji i sedimentacji zarówno w pracach teoretycznych jak i zastosowaniach. Przykładowe zastosowania praktyczne modeli Smoluchowskiego są następujące: tworzenie się osadów w silnikach lotniczych, przemysłowe oczyszczanie wody, koagulacja mleka, powstawanie barier żelowych, agregacja granulocytów, adhezja leukocytów, wzrost nanorurek i wiele innych.

Marian Smoluchowski jako genialny uczony dokonał rzeczy wielkich. Niemniej przede wszystkim był człowiekiem wszechstronnym i „wielowymiarowym”. W swym krótkim, zaledwie 45-letnim życiu znalazł czas, aby być szczęśliwym mężem i ojcem dwojga dzieci, grać na fortepianie i uczestniczyć w wydarzeniach muzycznych, interesować się sztuką, malować akwarele, jeździć na nartach oraz wejść do grona wybitnych wspinaczy wysokogórskich.

Marian Niemiec
Instytut Fizyki UO

Literatura

- A. Einstein, J. Stachel (red.) – „Pięć prac, które zmieniły oblicze fizyki”, Wydawnictwa UW 2005.
- A. Strzałkowski (red.) – „Marian Smoluchowski – od teorii atomistycznej do fizyki współczesnej”, PAU Kraków 2003.
- A. Teske – „Marian Smoluchowski – życie i dzieło”, Warszawa 1955.
- S. Chandrasekhar, M. Kac, R. Smoluchowski – „Marian Smoluchowski – His Life and Scientific Work”, Warszawa 2000.
- Pisma Mariana Smoluchowskiego – dostępne w Internecie na stronie <http://matwbn.icm.edu.pl>

Fragment przygotowywanej książki Stanisława S. Nicieji *Wyprawy na kresy*

Brzeżany

Z wszystkich nędz – najstraszniejsze ludzkie zapomnienie
Juliusz Słowacki *Mazepa*, akt IV

Część III: Gimnazjum

Słynne brzeżańskie gimnazjum, które zostało przeniesione ze Zbaraża przez księżną Lubomirską w 1805 r., miało początkowo siedzibę w ratuszu. W latach 1805–1867 językiem wykładowym był tu język niemiecki. W 1867 roku w wyniku autonomii galicyjskiej nastąpiło spolszczenie szkół i językiem wykładowym stał się język polski. Nadobowiązkowym był język ruski, czyli ukraiński¹. Ciekawostką jest to, iż spolszczenie gimnazjum nastąpiło, gdy jego dyrektorem był Ukraińiec Antoni Sołtykewycz. Wśród nauczycieli był m.in. znakomity polonista Franciszek Próchnicki – wybitny działacz oświatowy, później dyrektor gimnazjów lwowskich.

Po pierwszej wojnie światowej wzniesiono nowy, bardzo okazały gmach na przedmieściu Brzeżan, otoczony pięknymi willami profesorów, które do dziś zadziwiają oryginalnością łamanych dachów i fasad. To gimnazjum otrzymało tuż przed wojną imię Edwarda Rydza-Śmigłego, który też 9 marca 1936 roku otrzymał honorowe obywatelstwo swego miasta rodzinnego. Jacek Bieniawski, ówczesny burmistrz Brzeżan, wyrażając dumę, iż pochodzi zeń pierwszy obywatel Rzeczypospolitej przypomniał, że ostatni wódz powstania listopadowego Maciej Rybiński był również z urodzenia brzeżaninem².

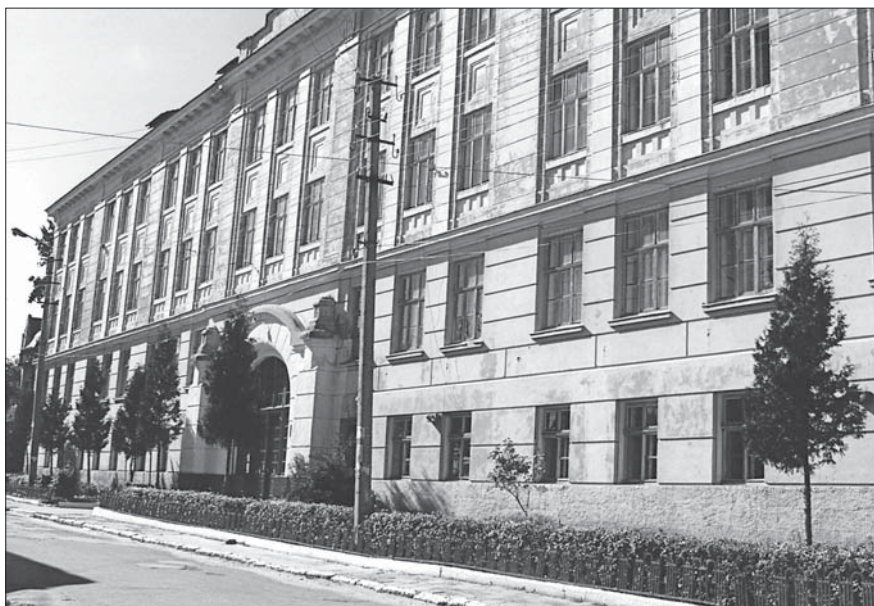
Rydz, już w stopniu generała, pięciokrotnie wizytował swoje miasto i swoją szkołę. W 1921 roku przyjechał tu ze świeżo poślubioną żoną Martą. Był też na uroczystościach 400-lecia Brzeżan i równocześnie 125-lecia gimnazjum w maju 1930 roku. Pobyt ten został szczegółowo opisany w jednodniówce gimnazjum brzeżańskiego³. Po raz ostatni przyjechał do Brzeżan 29 lutego 1932 roku na pogrzeb Michaliny Widmanowej, która w latach gimnazjalnych wyróżyla mu wielką karierę wojskową.

Później Rydz-Śmigły często zapraszał gimnazjalistów do swojej warszawskiej rezydencji. Miał wielki sentyment do swego

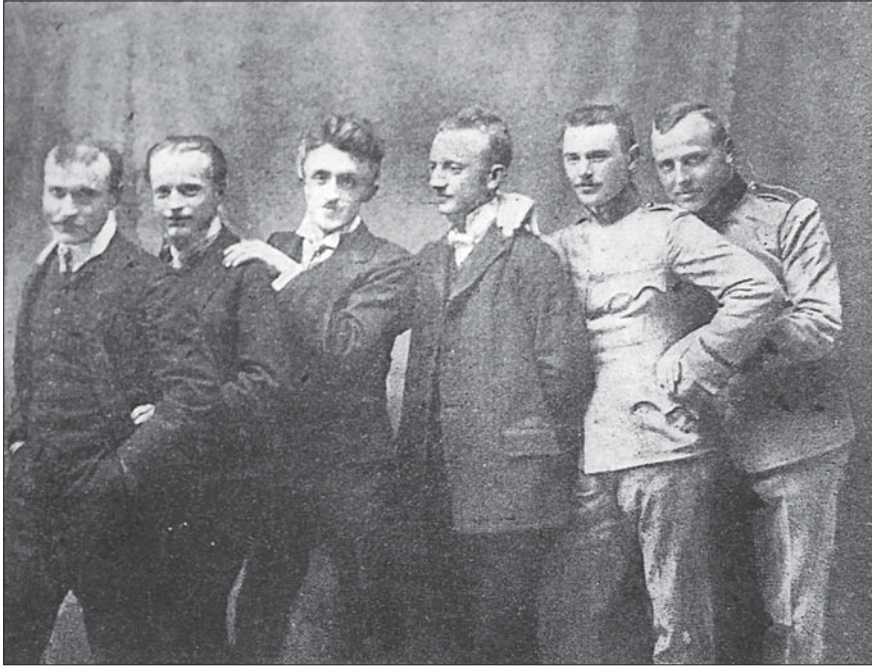
gimnazjum. Warto pamiętać, iż szkołę tę ukończyło wyjątkowo dużo wyższych rangą polskich oficerów, w tym ośmiu późniejszych generałów, kilkudziesięciu pułkowników i majorów. Sądzę, iż był to wpływ niezwykłej kariery marszałka Edwarda Rydza. Jego koledzy gimnazjalni, którzy razem z nim w Brzeżanach tworzyli organizacje strzeleckie, sokole i szli z nim do legionów Piłsudskiego, razem z nim później awansowali. Było to wyjątkowo patriotyczne pokolenie. Rydz-Śmigły otaczał się swymi kolegami gimnazjalnymi, bo miał do nich zaufanie, sentyment i bardzo ich cenił.

Oto nazwiska generałów, którzy ukończyli gimnazjum w Brzeżanach:

Michał Pakosz (1888–1938) – legionista, bohater bitwy pod Kostiuchnówką i nad Niemnem, którego rodzice mieli w Brzeżanach romantyczną willę na górze Storożysko; Franciszek Fabry (1867 – zmarł prawdopodobnie po 1934) – generał armii austriackiej, a później wojska polskiego, szef międzynarodowej zandarmerii w Macedonii, obrońca Lwowa i uczestnik wyprawy kijowskiej; Kazimierz Horoszkiewicz (1867–1942) – również uczestnik wyprawy kijowskiej i dowódca XXIII dywizji piechoty, która w 1922 roku zajęła Śląsk, uwięziony przez Rosjan, zmarł na zesłce w Tobolsku; Aleksan-



Budynek gimnazjum w Brzeżanach



Uczniowie przedwojennego gimnazjum w Brzeżanach w czasie studiów (od lewej): Karol Piórecki, Stanisław Barzykowski, Tadeusz Sokulski, Edmund Uranowicz, Edward Rydz i Alfred Biłyk (wszyscy, poza Rydzem, studiowali prawo)

der Walenty Sas Jasiński (1869 – po 1934) – generał kawalerii, komendant garnizonu lwowskiego; Antoni Strocki (1867 – zmarł prawdopodobnie po 1936) – generał intendent wojsk jugosłowiańskich w Zagrzebiu; Wiktor Past (1858–1924) – syn brzeżańskiego starosty, opiekun inwalidów wojennych; Julian Kolmer (1868 – zmarł prawdopodobnie po 1940) – lekarz wojskowy, komendant m.in. szpitali w Brzeżanach, Stanisławowie, Miskolczu i Piotrkowie Trybunalskim. Aresztowany przez NKWD we Lwowie w kwietniu 1940 roku, ślad po nim zaginął; Teofil Karol Maresch (1888–1972) – jeden z najbliższych – obok Alfreda Biłyka i Stanisława Barzykowskiego – nieodłącznych wręcz kolegów gimnazjalnych Edwarda Rydza, bardzo ekspresyjny i pomysłowy w podejmowaniu różnych działań, żonaty z Janiną Wolberżanką, znaną i cenioną tłumaczką dzieł niemieckich i francuskich. Był przed wybuchem wojny sędzią Najwyższego Sądu Wojskowego, a później naczelnym prokuratorem wojskowym, wzięty do niewoli przez Niemców, przeżył wojnę w oflagu, do Polski już nie wrócił. Mieszkał początkowo we Francji, a później w Anglii. Zmarł w Liverpool⁴.

Do gimnazjum brzeżańskiego uczęszczał również Antoni Cwojdzński (1896–1972) – komediopisarz, wspólnie z Brunonem Winawerem twórca tzw. komedii scjentystycznych, z wykształcenia fizyk, w młodości związany z teatrem Juliusza Osterwy⁵. Cwojdzński był przekonany, iż wobec ogromnego znaczenia nauki w życiu człowieka powinna ona być wszechobecna również w sztuce. Debiutował komedią „Teoria Einsteina” – graną z ogromnym powodzeniem. Ale absolutnym bestsellerem okazała się jego sztuka „Freuda teoria snów” poświęcona psychoanalizie, a później m.in. „Hipnoza” –

o telepatii i jasnowidzeniu, „Sprzężenie zwrotne” – o cybernetyce. Był też autorem popularnej farsy „Einstein wśród chuliżanów”. Uchodził za mistrza finezyjnego, przewrotnego dialogu. To samo gimnazjum ukończyli jego dwaj starsi bracia: Stefan – porucznik wojska polskiego, legionista oraz Kazimierz – później znany lekarz w Brodach. Cwojdzński z rodzicami mieszkali w Brzeżanach do roku 1911.

Absolwentami gimnazjum brzeżańskiego byli również: Alfred Biłyk – wojewoda tarnopolski i ostatni wojewoda lwowski; Tadeusz Schätzel – późniejszy wicemarszałek Sejmu; Ludwik Schreiber – starosta Trembowli; Stanisław Wiszniewski – poseł na Sejm Rzeczypospolitej i burmistrz Brzeżan oraz utalentowany historyk amator, autor bardzo cennej, dziś noszącej znamiona

białego kruka, książki wydanej tuż przed wybuchem II wojny światowej pt. „Brzeżańczycy przy odbudowie państwa polskiego”, zawierającej kilkadziesiąt biografii wybitnych brzeżan i zapis fenomenu tego miasta w dobie galicyjskiej; Izaak Stern – światowej sławy skrzypek, Józef Słotwiński – wybitny polski reżyser teatralny i telewizyjny; prof. Zdzisław Kleinrok – znakomity polski lekarz farmakolog, autor podręczników akademickich o farmakologii, trzykrotny rektor Akademii Medycznej w Lublinie i doktor honoris causa uniwersytetów europejskich⁶. Spod Brzeżan, z Chorborowa, pochodzi również gen. Tadeusz Bór-Komorowski, przywódca powstania warszawskiego, dowódca Armii Krajowej.

Zagłada galicyjskich brzeżan

Dramat Brzeżan w czasie II wojny światowej został zapisany w książce Zbigniewa Rusińskiego pt. „Tryptyk brzeżański”. Jest to lektura wstrząsająca. Autor, rodowity brzeżanin, rocznik 1930, z wykształcenia inżynier lotnik, poświęcił wiele lat życia, aby precyzyjnie zadokumentować dwie okupacje Brzeżan – sowiecką i hitlerowską oraz wymordowanie przez Niemców całej społeczności żydowskiej w Brzeżanach. Tysiące nazwisk, porażający opis nieludzkich mordów, jak gdyby wróciły znów czasy sprzed wieków, gdy na ziemi te wpadały hordy Tatarów, Turków bądź zbuntowanych Kozaków, siejąc śmierć i pożogę, obracając w perzynę wsie i miasta. Trudno uwierzyć, że takie rzeczy mogły się dzieć w połowie XX wieku w środku Europy.

Zbigniew Rusiński pisze, iż już 15 września 1939 roku Brzeżany stały się bezpańskie. XXI dywizja pie-

choty górskiej, rozbita w potyczkach z Niemcami pod Limanową, Nowym Sączem i Krosnem, na krótko zatrzymała się w Brzeżanach, by 14 września przekroczyć granicę węgierską. Bolszewicy do Brzeżan weszli 19 września o godzinie 4 rano i ogłosili, że nastąpiło „wyzwolenie braci ukraińskich od polsko-pańskiej niewoli”⁷. Tego dnia na mostku na Złotej Lipie brzeżańscy komuniści, członkowie Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy: Paweł Tauner, Rachel Zuckerbrat, która w 1933 roku została skazana na pięć lat Berez, Herman Winter, Aron Rinder, Dawid Lang, Kunie Grad (po 1945 r. używający nazwiska Karol Gradowski), Berko Łopater, Selik Baumgarten przy ustawionej naprędce bramie witali chlebem i solą wjeżdżającego w sportowym osobowym samochodzie generała sowieckiego Iwanowa. Początkowo żartowano sobie z zabiedzonych, obdartych żołnierzy sowieckich. Krążyło wiele dowcipów na ich temat, jak choćby ten: „Czy są w Sowietach cytryny?”, na które odpowiadali: „Tak, u nas dużo fabryk produkuje cytryny”, „A czy jest u was Kopenhaga?”, „Tak, u nas jest dużo Kopenhag”.

Ale szybko żarty się skończyły. Po kilku dniach chaosu i dezorientacji NKWD rozpoczęło aresztowania Polaków i Ukraińców uważanych za nacjonalistów, m.in. dra Konstantego Lewickiego i dra Iwana Nimczuka; redaktora brzeżańskiej ukraińskiej gazety „Diło” (Dzielo) i posła na Sejm RP – Włodzimierza Celewicza; adwokata – Włodzimierza Starosolskiego i wielu innych. Burmistrzem Brzeżan sowieci mianowali Kunie Grada, który za działalność komunistyczną przesiedział wiele lat w ciężkich więzieniach w Rawiczu i Berezie. Przy akompaniamencie różnych wieców i mityngów wychwalających wielkość Stalina i dobroczynność Armii Czerwonej wywożono Polaków w głąb Rosji, a ich domostwa zajmowali rosyjscy osadnicy. 27 września rozpoczęto normalne zajęcia w szkołach, a ponieważ ogłoszono oficjalnie, że poziom nauczania w szkołach sowieckich był wyższy od poziomu w szkołach polskich, automatycznie wszyscy uczniowie z dawnego polskiego gimnazjum rozpoczęli naukę o klasę niżej. Obowiązkowym językiem nauczania stały się języki ukraiński i rosyjski⁸.

W lutym 1940 roku zaczęły się masowe wywózki Polaków na Sybir. 22 czerwca 1941 roku rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka. Kilka dni później w prochowni w Brzeżanach nastąpiła potężna eksplozja, która pozbawiła miasto szyb i wielu dachów. Potężny podmuch przewracał również nagrobki na cmentarzu. W dniach 28–30 czerwca 1941 roku Niemcy

przeprowadzili niszczycielskie bombardowanie miasta. Ucierpiał rynek i ulice w śródmieściu. Pożary były tak potężne, że nocą można było czytać gazety przy ich łunach. Naloty były spowodowane tym, iż według niemieckich informatorów w koszarach brzeżańskich stacjonował w tym czasie sztab gen. Timoszenki – dowódcy frontu południowego.

7 lipca 1941 roku, podobnie jak we wrześniu 1939 roku, Ukraińcy i brzeżańscy komuniści witali Armię Czerwoną, tym razem ukraińscy nacjonalisci z OUN chlebem i kwaśnym mlekiem witali przy mostku na Złotej Lipie dowództwo Wehrmachtu. Po kilku dniach do Brzeżan zaczęły zjeżdżać niemieckie władze cywilne, a rządy w mieście objął jako starosta hitlerowiec Hans Adolf Assbach. Zaczął się krwawy, brutalny terror. Aresztowaniom i mordom nie było końca. Egzekutorami byli Niemcy, ale także członkowie UPA. W mieście, w okolicach zamku, odkryto trzy zbiorowe mogiły Polaków i nacjonalistów ukraińskich pomordowanych wcześniej przez NKWD. O tę zbrodnię Niemcy oskarżyli Żydów brzeżańskich, dla których zaczął się szczególnie okrutny czas.

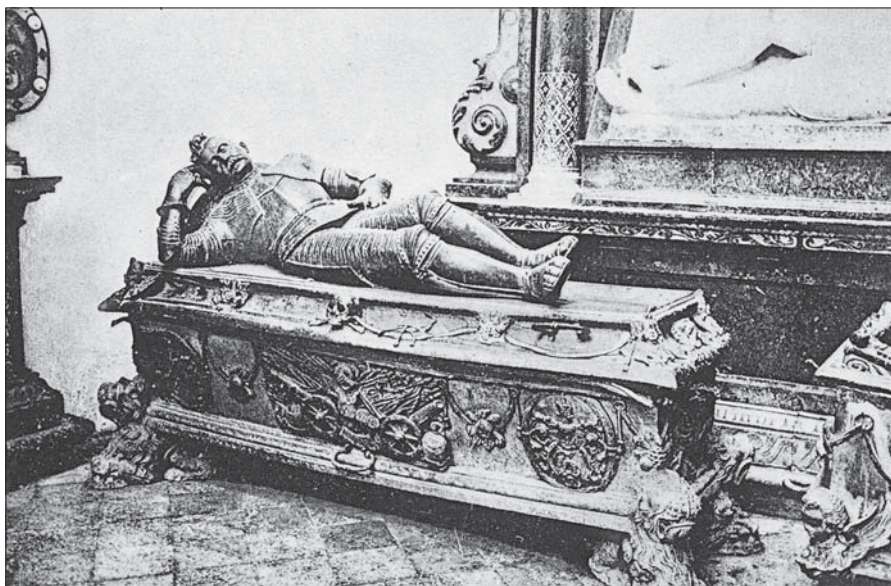
Żydów wyciągano z domów, bito pałkami do utraty przytomności, Chasydom obcinano publicznie brody i pejsy. Bożnice zamieniono na magazyny, demolując wcześniej ich wnętrza i niszcząc wyposażenie. Arkę Przymierza – Aron Hakodesz, pochodzącą z 1819 roku, unicestwiono. Chcąc obłaskawić hitlerowców, gmina żydowska zebrała liczące wiele kilogramów złote precjoza i zaniósł staroście Assbachowi, który je przyjął. Nic to nie pomogło.

W lutym 1942 roku, w najbardziej zniszczonej przez naloty dzielnicy Brzeżan, urządzono getto, które mogło pomieścić 1500 osób w zrujnowanych, na poły spalonych domach. Ale w sumie przewinęło się przez to miejsce kaźni około 8 tysięcy Żydów, przywożonych tutaj



Plebania i kościół ormiański w Brzeżanach

z całego powiatu brzeżańskiego. Śmiertelność była tam porażająca. Ci, którzy nie poumierali z głodu i chorób, mordowani byli w masowych egzekucjach, m.in. w Głuchej Dolinie pod Liliatynem, gdzie stracono 13 tysięcy Żydów. Na brzeżańskim kirkucie zabito około 2300 Żydów, a na pobliskim Okopisku około 1200 Żydów. Zachowały się wstrząsające zdjęcia egzekucji, m.in. Żydówek na przedmieściu brzeżańskim Raj. W 1942 roku w samych Brzeżanach do momentu likwidacji getta było 5860 Żydów, wojnę przeżyli tylko nieliczni⁹.



Sarkofag w kaplicy Sieniawskich

Wśród setek zabójstw Polaków jedno z najbardziej wstrząsających miało miejsce 26 lutego 1944 roku. Jego ofiarą padł dyrektor szpitala w Brzeżanach dr Stefan Biliński (kapitan AK). Został on podstępnie wywołany do choroego i tam zamordowany przez banderowca Stepana Manackija, którego z kolei Niemcy wytopili i zastrzelili. W czasie pogrzebu dr. Bilińskiego na znak protestu w mieście panowała kompletna cisza. Pochowano go w grobowcu Rapfów na cmentarzu w Brzeżanach¹⁰.

Rozdział polski w dziejach Brzeżan został zamknięty w 1945 roku. Z miasta wysiedlono wszystkich Polaków, którzy nie chcieli przyjąć obywatelstwa radzieckiego. Osiedli oni głównie na Śląsku, przy trasach, którymi poruszały się pociągi repatriacyjne: w Tarnowskich Górach, Rybniku, Gliwicach, Kędzierzynie-Koźlu, Kłodzku, Świebodzicach, Chojnowie i Wrocławiu, i w mniejszych grupach w wielu innych niewymienionych tutaj miastach. Stało się później tradycją, że organizowali zjazdy brzeżan, m.in. w Polanicy Zdroju, Ustroniu Śląskim, na które przybywało po kilkaset osób. Przyjeżdżał też ks. Mieczysław Jakubczyk, który od 1993 roku rozpoczął remont oddanego społeczności katolickiej kościoła farnego w Brzeżanach¹¹.

Cmentarz brzeżański

Cmentarz brzeżański ma ponad dwieście lat. Jest rówieśnikiem lwowskiego cmentarza na Łyczakowie. Liczy kilkanaście hektarów i zachowało się tu do dziś kilkaset polskich nagrobków. Spoczywa tu elita intelektualna tego miasta: profesorowie gimnazjalni, adwokaci, notariusze, urzędnicy miejscy i sędziwi. Spoczywają tu żołnierze powstań narodowych. Wśród nich pułkownik Antoni Rajmund Garczyński (1811–1888) – bohater bitwy pod Ostrołęką, więziony później w Ołomuńcu, po odzyskaniu wolności wziął udział w wojnie krymskiej jako kapitan Kozaków otomańskich. Jego udział w bitwie pod Tulczą opisała szczegółowo francuska „Gazette

de Strassburg”. Podczas obrony mostu atakowanego przez Rosjan, pomimo że kula przeszła go na wylot w okolicach serca, nie opuścił posterunku, dowodząc obroną do końca, za co został odznaczony później orderem „medzidże” i mianowany majorem. W Kijowie Garczyński został skazany wyrokiem sądu wojennego na rozstrzelanie, car wspaniałomyślnie ułaskawił go, polecając zesłać go na Sybir. Zwolniony na skutek reklamacji rządów angielskiego, francuskiego i tureckiego, wrócił do Polski, ożenił się i rozpoczął gospodarowanie w Śmielinie w Wielkopolsce. Gdy wybuchło powstanie styczniowe został mianowany pułkownikiem i ruszył na front. Po klęsce powstania wyjechał do Paryża. Na starość osiadł w Brzeżanach i tu dożył lat sędziwych otoczony szacunkiem. Na cmentarzu brzeżańskim wzniesiono mu okazały nagrobek, którym specjalnie opiekowała się młodzież gimnazjalna, ustawiając zawsze w Dzień Zaduszny przy jego grobie uczniowską wartę honorową.

Obok pułkownika Garczyńskiego na cmentarzu brzeżańskim spoczęli jeszcze następujący powstańcy: Józef Dębno-Krzyżanowski (1805–1877); Konstanty Matczyński (1815–1898) – ułan z korpusu Romarina, po upadku powstania zaangażowany w działalność spiskową został w 1841 roku uwięziony z późniejszymi wybitnymi politykami galicyjskimi – Albinem Dunajewskim, Franciszkiem Smolką, Florianem Ziemiałkowskim, pierwszym prezydentem autonomicznego Lwowa i przesiedział trzy lata w lwowskim więzieniu. Następnie walczył razem z Kossuthem o wolność Węgier, internowany po bitwie pod Szegedynem w 1848 roku. Trafił do pułku Kozaków sułtańskich sformowanego przez Anglię do walki z Rosją. W 1857 roku osiadł na wsi Łapszyn pod Brzeżanami, gdzie stworzył dom spełniający rolę ważnego ośrodka życia towarzyskiego; Kornel Dołęga-Szczepański (zm. 1900) – porucznik artylerii Legionu Polskiego na Węgrzech w 1848 roku,

później kapitan Kozaków sułtańskich w Konstantynopolu; Ignacy Prętkowski (1814–1896) – żołnierz korpusu Dwernickiego, uczestnik bitew pod Stoczkiem i Boremlem, przez długie lata był leśniczym w dobrach Potockiego w Kuropatnikach.

Przez długie lata Brzeżany miały opinię miasta, w którym znajdowali schronienie i opiekę różni rozbitkowie uchodzący z pogromów powstań narodowych¹².

Na cmentarzu brzeżańskim było też wiele mogił uczestników walk o niepodległość Polski w latach 1914–1920. Jeden z głównych pomników patriotycznych na tym cmentarzu został sprofanowany, gdy Polska utraciła Brzeżany po decyzjach jałtańsko-poczdamskich. Spoczywało pod nim 25 żołnierzy 51. Pułku Strzelców Kresowych, którzy zginęli w czasie wyprawy na Kijów w 1920 roku, a także w walkach z konnicą Budionnego. Na ścianie frontowej tego pomnika, wzniesionego w 1932 roku, był napis: „Bohaterom walk o Polskę 1918–1920”, natomiast na tylnej ścianie był wyrzeźbiony miecz rycerski, a pod nim napis: „Za honor należenia do naszego żołnierskiego koła obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała, a pamięć o nich niech zawsze bliska będzie naszemu sercu”. Tabliczki z nazwiskami poległych zostały zerwane. Odwiedzający groby rodzinne czarną olejną farbą malowali ślady po zerwanych literach. Byli za to szykanowani przez milicję i otrzymywali zakaz odwiedzania Brzeżan¹³.



Pomnik na cmentarzu w Brzeżanach

Na cmentarzu brzeżańskim jest też kwatery żołnierzy austriackich z lat 1866, 1914, 1915, 1916. Ona również została sprofanowana. Usunięto wszystkie kamienne krzyże. Zachowała się jedynie brama i pięciometrowy krzyż kamienny z napisem: *1866 Dulce et decorum est pro patria mori*, co w tłumaczeniu znaczy: *Przyzwolnością jest i miłością umrzeć za ojczyznę*.

Zadbana jest natomiast zbiorowa mogiła kryjąca prochy kilkuset obywateli Brzeżan pomordowanych przez NKWD w latach drugiej wojny światowej i tuż po jej zakończeniu.

Krążąc cmentarnymi alejkami, natrafiłem na kilka bardzo pięknych, rzadkich pomników, wśród których wyróżniał się postument z czerwonego piaskowca, kryjący prochy Józefa Piecza, zmarłego w 1927 r. urzędnika skarbowego Dyrekcji Powiatowej Kasy Chorych, sekretarza Stowarzyszenia Rękodzieł w Brzeżanach. Nagrobek, z którego ręka wandalą wyflukła porcelanowe zdjęcie zmarłego, utrzymany jest w stylu secesyjnym, z piękną płaskorzeźbą głowy Chrystusa, otoczoną kwiatami słonecznika oraz misternie wijącymi się lodygami kwiatów i makówek – symbolu wiecznego snu. Obok leży zrzucony z postumentu duży krzyż z czerwonego piaskowca, również misternie rzeźbiony.

Przy tej samej alejce znajduje się strzelisty nagrobek Anieli Wolskiej, żyjącej 28 lat, zmarłej w 1868 r., na którym jest bardzo rzadkie, wzruszające epitafium:

*Dusza to była słodka i cicha
Co szczęściem drugich oddycha
Serce domyślne na serc cierpienia
Dłoń dobra do ran gojenia.
I mirrą była, co cicho płonie
I święte rozlewa wonie.
Leliją była najczystszej bieli
Dziś ją anieli uczknęli
Osierociła męża i dwoje dzieci*

Są tu też nagrobki Jana Bielanka, adiunkta sądowego, żyjącego w latach 1840–1880 i Michała Borzęckiego (1814–1902), emerytowanego sekretarza Sądu Krajowego. Znajduje się na nim płaskorzeźba węża, który zjada swój ogon – symbol wieczności. Z drugiej strony tego nagrobka jest piękny relief anioła trzymającego pochodnię skierowaną ku dołowi – symbol zgasłego życia.

Na brzeżańskim cmentarzu występują często pomniki z płaskorzeźbami Chrystusa uginającego się pod ciężarem krzyża, albo pełne rzeźby Chrystusa dźwigającego krzyż. Widoczna jest tu ręka tego samego domorosłego, ludowego rzeźbiarza. Nagrobki te przypominają przydrożne świątki, jakie można spotkać w okolicznych wsiach.

Jest tu też nagrobek z piękną rzeźbą anioła przypominający pomnik Leona Pinińskiego na Cmentarzu Łyczakowskim dłuta Henryka Periera. Niestety anioł na odbitą głowę. W rzeźbie widać wprawna rękę dobrego artysty Na pomniku zachowało się wzruszające epita-

fium: *Mojej żonie, towarzyszce życia, Felicji z Treterów Leonowej Madeyskiej, zmarłej 1 V 1880 w 29 roku życia w podzięce za niezrównane choć krótkie szczęście.*

Na cmentarzu brzeżańskim spotyka się też polskie nagrobki odnowione w ostatnich latach, jak choćby tablica przymocowana do kaplicy cmentarnej, informująca:

*Na tym cmentarzu spoczywa świętej pamięci
Marcin Żołnowski, gospodarz na roli i żołnierz,
ur. 1880 w Rohaczynie mieście – zm. 1944 r.
w Brzeżanach. Światłość wiekuista niech Mu świeci.
1998 – Wnukowie.*

Są tu też pomniki: Ferdynanda Chorążego, profesora gimnazjalnego, zmarłego 8 października 1887 w 49. roku życia; Antoniego Garczyńskiego (1811–1888), pułkownika Wojsk Polskich; Norberta Lorsche (1831–1904), CK starosty; dr. Edmunda Lorsche (1862–1909), adwokata krajowego; ks. Leona Albina Kamińskiego, katechety katolickich i gminnych szkół w Tłumaczu, zm. w 1919 r. w 35. roku życia.

Na pomniku zwieńczonym postacią Matki Boskiej ochraniającej czworo modlących się dzieci, znajdują się trzy tablice. Na umieszczonej najwyżej widnieje napis:

*Czworo najmilszych dzieciak
Kazio, Marceli, Stasio i Kaziunia Gąsiorowscy*



Tablica nagrobna dra Tadeusza Uranowicza, opiekuna Rydza-Śmigłego



Uszkodzona figura grobowca rodziny Buczków, cmentarz w Brzeżanach

Centralne miejsce zajmuje tablica z napisem *Grobowiec rodziny Gąsiorowskich*. Pod nią epitafium głoszące:

*Mikołaj Biłyk (1883–1920)
Obywatel i radny miasta Brzeżan
Franciszka z Wironów Biłykowa
Zm. w 1915 r.*

Jest to grobowiec, który kryje prochy rodziców Alfreda Biłyka, wybitnego brzeżanina. Alfred Biłyk to postać tragiczna, serdeczny kolega z lat gimnazjalnych Edwarda Rydza, z wykształcenia prawnik i wzięty łódzki adwokat, który pod wpływem swego przyjaciela wszedł w świat polityki. Dzięki Rydzowi został najpierw wojewodą tarnopolskim, a później lwowskim. Urzędował w słynnym Pałacu Namiestnikowskim we Lwowie, w gabinecie swych wielkich poprzedników Badeniego, Potockiego, Gołuchowskiego. Gdy we wrześniu 1939 roku Lwów doświadczył ciężkich bombardowań niemieckich, a na przedmieściach Lwowa pojawiły się wozy pancerne Wehrmachtu, wojewoda Biłyk, podobnie jak w Warszawie prezydent Stefan Starzyński, wygłosił do mieszkańców słynne przemówienie, w którym powiedział, iż będzie bronił miasta do upadłego, a jego mieszkańców nie opuści i wytrwa z nimi do końca.

Nazajutrz po tym przemówieniu otrzymał rozkaz



Relief z kamienicy w Brzeżanach

od premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, aby ewakuować się na Węgry do Munkacza. Rozkaz ten wykonał. Stał wówczas na rozdrożu między rozkazem a honorem. W tragiczną noc 19 września 1939 roku podjął ostateczną decyzję. Napisał list: *Nie mogłem walczyć we Lwowie, gdyż zgodnie z wytycznymi Szefa Rządu opuściłem go w warunkach, które mogą słowa moje postawić w pozornej sprzeczności z tym czynem. Dalsze moje życie zdaje się nie przedstawiać wartości dla Polski. Być internowanym do końca wojny nie chcę. Chcę ocalić honor*¹⁴. Kilka minut po napisaniu tych słów wojewoda Alfred Biłyk strzelił sobie w skroń. Pochowano go nie przy rodzicach w Brzeżanach, ale w dalekim węgierskim Munkaczu.

Na cmentarzu brzeżańskim zachował się do dziś pomnik z figurą Matki Boskiej Niepokalanej, stojącej na kuli ziemskiej i deptającej łeb gada, który kryje prochy innej znanej brzeżańskiej rodziny – Buczków. Spoczywa tu Zygmunt Buczek (1841–1902) – długoletni radny miasta Brzeżan, jego żona Albina z Czarnohorskich Buczkowa (1843–1923), Albina z Buczkowskich Buczkowa (1886–1908), Rozalia Czarnohorska (1811–1897), Bazyli Mielnik (1861–1908) – emerytowany komendant żandarmerii i urzędnik Kasy Chorych, a także Jan Euzebiusz Buczek 1875 – 1898) – elektromechanik. Z rodziny Buczków pochodził m.in. popularny w latach sześćdziesiątych XX wieku piosenkarz Olgierd Buczek, wykonawca szlagieru „Warszawski dorozkarcz” oraz popularnej piosenki „Co nas obchodzi” z komedii filmowej „Mąż swojej żony” Stanisława Barei.

Na tym cmentarzu znajduje się też pomnik z czarnego granitu stojący na grobowcu rodziny Hiolskich. Napis umieszczony na nim głosi, że pochowany tu został Edmund Hiolski, emerytowany starszy inspektor podatkowy, pełnomocnik dóbr hrabiów Potockich, urodzony 14 września 1837, zmarły 15 maja 1905.

Na cmentarzu brzeżańskim dziś szczególną opieką otaczany jest grób matki Edwarda Rydza-Śmigłego. Spoczywa ona pod płytą z czerwonego marmuru z bardzo skromnym napisem: „Maria Rydz, ur. 26 IX 1866, zm. 19 V 1896”.

W pobliżu natrafiłem na grobowiec Uranowiczów, opiekunów Edwarda Rydza w okresie gimnazjalnym. Ma

on kształt obelisku, zwieńczonego dużym piaskowcowym krzyżem, nagrobek jest w stanie wielkiego zaniedbania, z odpadającymi od cokołu cynowymi tabliczkami epitafijnymi, z których spisałem informacje, kto pod nim spoczywa.

Na jednej tabliczce: „Leona, Bronisława z Esenców primo voto Giedzińska, secundo voto Uranowiczowa, wdowa po fizyku miejskim i właścicielu realności, ur. 17 III 1850, zm. 6 VII 1927”. Na drugiej tabliczce był napis: „Małgorzata z Abramowiczów Uranowiczowa 1813–1907”. Na trzeciej tabliczce: „Dr Tadeusz Uranowicz, ur. 5 II 1846 w Samoklęskach, zm. 3 IV 1913 r. Cześć Jego pamięci”.



Studenci z ASP w Krakowie i ASP w Warszawie z opiekunem – dr. Januszem Smazą (pierwszy od lewej) oraz z ekipą TVP: Jerzym Janickim (trzeci z lewej), operatorem Henrykiem Janasem (pierwszy z prawej) i Bogdanem Skibą (w pierwszym rzędzie z prawej) oraz prof. Stanisławem S. Niciją (trzeci z prawej) w Brzeżanach

W Brzeżanach został pochowany również, ale w krypcie kościelnej, Jakub Ksawery Potocki (1863–1934) – arystokrata, jeden z najbogatszych Polaków II RP, właściciel latyfundium liczącego 30 tysięcy hektarów, dziesiątków folwarków, m.in. w powiecie brzeżańskim, 16 pałaców i dworów, dwóch kamienic w Paryżu. Była to postać niezwykła. Zapisał się głównie w historii Polski jako twórca fundacji do badań nad rakiem i gruźlicą. To właśnie on bardzo poważnie wsparł budowę Instytutu Rakowego w Warszawie, który powstał z inicjatywy Marii Skłodowskiej-Curie. Jakub Ksawery Potocki jako ostatni z brzeżańskiej linii zapisał w 1934 roku 37 milionów złotych na fundację do badań nad rakiem, a dla Muzeum Narodowego w Warszawie przekazał wiele cennych gobelinów, rzeźb, obrazów i mebli zabytkowych wartości 800 tysięcy złotych. Stworzył kilka wielkich bibliotek liczących kilkanaście tysięcy tomów, m.in. w Bałabanówce na Ukrainie, którą całkowicie zniszczono w czasie wojny. Do zbiorów Ossolineum przekazał obrazy Jana Matejki „Unia lubelska” i „Wit Stwosz”. Fundował liczne stypendia dla lekarzy i uczonych specjalizujących się w walce z gruźlicą i rakiem. Całe życie unikał rozgłosu. Był nad wyraz skromnym człowiekiem, długo cierpiącym na nieuleczalną chorobę. Zgodził się jedynie przyjąć honorowe obywatelstwo Brzeżan, bo miasteczko to kochał i w nim po śmierci, która nastąpiła 27 września 1934 roku, kazał się pochować¹⁵.

Stanisław S. Nicieja

Przypisy:

- ¹ Iwo Werscher, *Moi przodkowie w Brzeżanach*, „Semper Fidelis” 2003, nr 5, s. 17.
- ² Tamże, s. 181.
- ³ Gazela Kurzok, *Świadek prawdziwy. Moje wspomnienia z pobytu Pana Marszałka Rydza Śmigłego w Brzeżanach*, *Jednodniówka*, op. cit., s. 8; S. Wiszniewski, op. cit., s. 178–181.
- ⁴ Informacje o generałach zaczerpnięte z opracowania Tadeusza Kryski Karskiego i Stanisława Żurakowskiego, *Generałowie Polski niepodległej*, Warszawa 1991.
- ⁵ Lesław Eustachiewicz, *Komedie Antoniego Cwojdziańskiego*, „Dialog” 1970, nr 12, s. 123–128.
- ⁶ Tadeusz Radomański, *Wspomnienie o prof. Z. Kleinroku*, „Semper Fidelis” 2003, nr 4, s. 57.
- ⁷ Zbigniew Rusiński, *Tryptyk brzeżański*, Wrocław 1999, s. 15.
- ⁸ Tamże, s. 16.
- ⁹ Tamże, s. 167, 169, 180.
- ¹⁰ Z. Rusiński, *Tryptyk Brzeżański...*, s. 42, 145.
- ¹¹ Zbigniew Harbuz, *Spotkanie dawnych mieszkańców Brzeżan*, „Słowo”, 20 XI 1995; „Kresy” 1995, nr 86.
- ¹² St. Wiszniewski, *Brzeżańczycy...*, s. 16–22.
- ¹³ Zbigniew Rusiński, *Ten cmentarz wymaga pamięci*, „Polska Zbrojna” 26 IX 1995, nr 185.
- ¹⁴ Cyt. za: J. Janicki, *Czkawka*, Warszawa 2000, s. 139.
- ¹⁵ Fundacja im. Jakuba Potockiego w świetle aktów i dokumentów, Warszawa 1938. Tam fotografia Potockiego; Biogram Jakuba Ksawerego Potockiego, autorstwa Stanisława M. Brzozowskiego, PSB, t. XVIII, Wrocław 1985, s. 23–24.



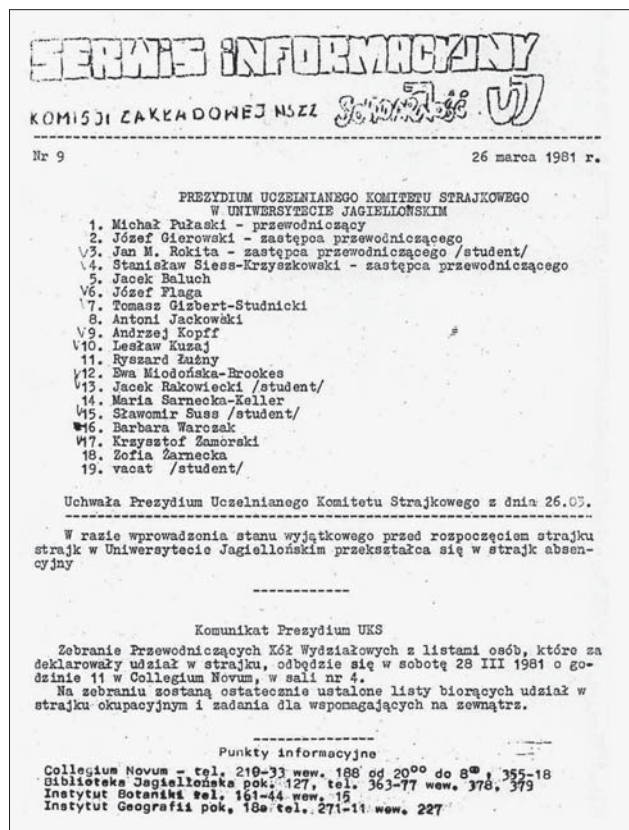
Rosną mury przyszłej siedziby Wydziału Nauk Społecznych UO. Koniec kwietnia 2006 r.

LISTY, POLEMIKI

W poprzednim numerze „Indeksu” (nr 1, styczeń–marzec 2006) dr Mariusz Patelski w artykule pt. „Łódź i Kraków – dwa porozumienia” przypomniał strajk łódzkich i krakowskich studentów. Dzięki buntowi ówczesnych żaków zarejestrowano Niezależne Zrzeszenie Studentów. Kończąc swój tekst, dr Patelski wspominał, że w jego szeregach swoje pierwsze polityczne doświadczenia zdobywali m.in. Donald Tusk, Marek Jurek czy Jan Rokita. Nawiązując do tych słów, pragnę podzielić się z czytelnikami „Indeksu” treścią testamentu ostatniego z wymienionych. W nim to Jan Rokita przepisuje koledze... czaszkę!

Czaszka Jana Rokity

Wspomniany dokument, sporządzony przez Jana Marię Rokitę, datowany jest na kwiecień 1982 roku. Przechowuje go pan Władysław Macowicz, historyk z Pyskowic (Pyskowice to 21-tysięczne miasto leżące ok. 10 km od Gliwic, z niego pochodzi niżej podpisany). Ale po kolei...

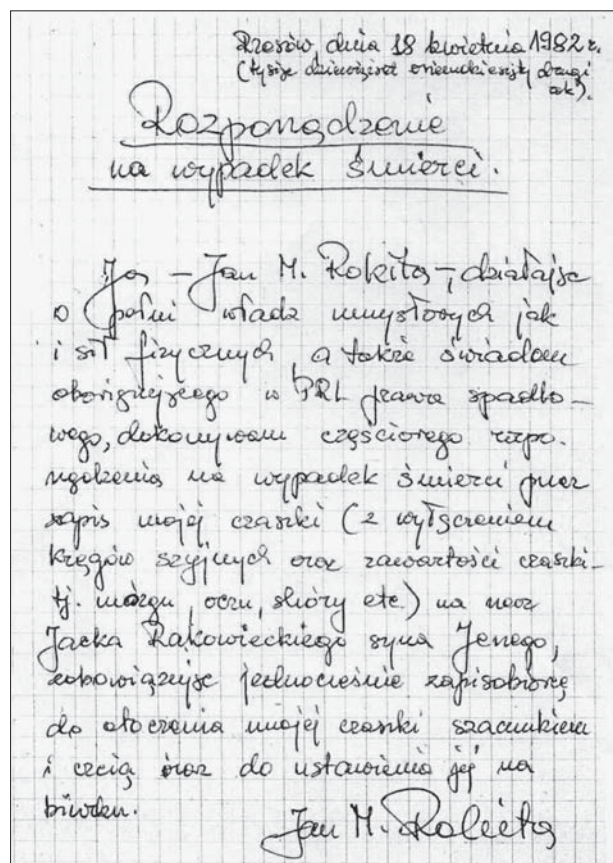


Strona tytułowa Biuletynu Informacyjnego „Solidarność” Uniwersytetu Jagiellońskiego

Jan Rokita to polityk z najwyższej półki. Lider Platformy Obywatelskiej i prawdopodobny kandydat na szefa rządu, gdyby PO objęła władzę. Jest rodowitym krakowianinem, na tamtejszym Uniwersytecie Jagiellońskim po raz pierwszy zetknął się z poważną polityką. Buntując się przeciwko totalitarnemu systemowi, zaczął prętnie działać w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów

UJ. Za opozycyjną postawę internowano go w okresie stanu wojennego. Przez pół roku przebywał w areszcie w Rzeszowie. „Mieszkaliśmy w mniej więcej 10-metrowej celi w sześciu chłopa. Dokuczała mi nie tyle samotność, ile nadmiar towarzystwa (...). W pierwszym okresie głównie spałem – politycznym pozwolono leżeć w dzień w łóżku” – tak wspomina tamte czasy Rokita w książce „Alfabet Rokity” (wywiad-rzeka zrealizowany przez **Michała Karnowskiego** i **Piotra Zarembe** – dziennikarzy „Newsweek Polska”).

Jednym ze współwięźniów lidera PO był **Jerzy Rakowiecki**, ówczesny student teatrologii, wiceszef NZS UJ. To właśnie jemu, w dniu 18 kwietnia 1982 roku, Rokita zapisał w testamencie ciekawy podarunek. „Ja – Jan M. Rokita – działając w pełni władz umysłowych jak i sił



Testament Jana Rokity

fizycznych” – tak zaczyna się zapisane na poźółklej już, wyrwanej z zeszytu kartce w kratkę „Rozporządzenie na wypadek śmierci”. Dalej czytamy, że Rokita postanowił Rakowieckiemu („synowi Jerzego”) podarować... swoją czaszkę! Co ciekawe, wyraźnie podkreślił, że z darowizny wyłącza kregi szyjne oraz „zawartość czaszki, tj. mózg, oczy, skórę etc.” Swoją czaszkę Rokita nakazał otaczać szacunkiem i ustawić na ... biurku.

Zapisobiorca – Jerzy Rakowiecki – to znany dziennikarz, związany m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Gazetą Wyborczą”. Był redaktorem naczelnym dwutygodnika „Viva!” i tygodnika „Przekrój”. Obecnie jest zastępcą redaktora naczelnego dziennika „Rzeczpospolita”. Prywatnie jest byłym mężem córki Władysława Macowicza, co tłumaczy, skąd ten ciekawy dokument znalazł się w posiadaniu pyskowiczana. - *Mój zięć przekazał te zapiski Rokity podczas widzenia żonie. Ta oddała je pod moją opiekę. W ten sposób uratowaliśmy historyczny już dokument od zarekwirowania przez SB* – opowiadał mi pan Macowicz, kiedy wspólnie oglądali-

śmy tę poźółkłą już kartkę – *Ten testament był skutkiem nudy i pustki, jaka panowała w trakcie internowania. Młodzi ludzie strasznie nudzili się w odosobnieniu, dlatego na różne sposoby umilali sobie czas. Nie ma tam żadnych przesłanek ideologicznych, wskazówek, co do dalszej walki, gdyż Rokita, pisząc ten testament, sięgnął po prostu po czarny humor.*

Kilka lat temu, na łamach „Gazety Wyborczej”, Jan Rokita anulował testament. – *Po mojej śmierci nie życzę sobie oddzielania głowy od korpusu. Wszystkie członki mają zostać złożone razem!* - powiedział w 2000 roku niedoszły „premier z Krakowa” „Gazecie w Katowicach” („Gazeta Wyborcza”, nr 203/2000, 31 sierpnia 2000 r.)

Testament Jana Rokity nie jest może szczególnie cenną zdobyczą dla historyka. Bez wątpienia jednak jest ciekawym rarytasem, eksponatem, który mógłby trafić np. do muzeum Polski Ludowej...

Błażej Kupski
student III roku historii

20 lat po wybuchu w Czarnobylu

Lot nad promieniotwórczym gniazdem

Z Nikołajem Mielnikiem, oblatywaczem helikopterów, uczestnikiem akcji ratowniczej po wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu, pilotem-instruktorem hiszpańskiej firmy Helicopteros Del Sureste rozmawia Barbara Stankiewicz

– W kwietniu tego roku minęło 20 lat od wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Był Pan jednym z lotników, którzy w maju 1986 roku, a więc bezpośrednio po katastrofie, uczestniczyli w akcji usuwania skutków tej awarii – w ciągu trzech kolejnych miesięcy odbył Pan kilkadziesiąt lotów helikopterem bezpośrednio nad czwartym blokiem, gdzie nastąpił wybuch. Cofnijmy się o 20 lat. Jest wiosna 1986 roku.

– Miałem wtedy 32 lata. Byłem jednym z pilotów testujących nowe modele helikopterów, nasza baza była na Krymie. Wykonywałem właśnie, od kilku miesięcy, próbne loty na nowym typie helikoptera KA-32 – czyli swoją normalną pracę oblatywacza. Nagle gdzieś na początku maja, tuż po katastrofie w Czarnobylu, zostałem wezwany do Moskwy, podobnie jak kilku moich kole-

gów pilotów, do Ministerstwa Przemysłu Lotniczego. Okazało się, że na lotnisku w Moskwie zorganizowano dla dostojników państwowych pokaz lotów helikopterowych – tak to przynajmniej wyglądało. Byli tam z ministerstwa obrony, ministerstwa lotnictwa, któremu podlegaliśmy, z ministerstwa przemysłu... Poza mną jeszcze dwóch pilotów brało udział w tych pokazach, a właściwie, jak się później okazało, egzaminie. Na płycie lotniska wymalowano białą farbą kwadrat o boku jednego metra. Nasze zadanie polegało na tym, żeby spuścić dokładnie w środek tego kwadratu, z wysokości 300 metrów, metalowy stożek o wadze jednej tony. Wyglądało to jak cyrkowa sztuczka. Myślałem, że to może próba przed jakimś oficjalnym pokazem. Wykonałem to zadanie – okazało się, że jako jedyny.

Po dwóch dniach dostałem wezwanie z ministerstwa: spakować się, stawić na lotnisku. Dokąd lecimy



Nikołaj Mielnik

Fot. Jerzy Mokrzycki

– nie wiem, szczegółów nie podano. Wtedy jeszcze do głowy mi nie przyszło, że ten lot, to wezwanie, mogą mieć jakiś związek z Czarnobylem. Ale kiedy po drodze tankowaliśmy paliwo w Brańsku, już wiedziałem dokąd lecimy: lotnisko w Kijowie, a więc Czarnobyl. Tam dopiero poznałem szczegóły planowanej operacji, która bardzo przypominała owe cyrkowe sztuczki, które wykonywałem na lotnisku w Moskwie. Z jedną różnicą: miałem je wykonać nad uszkodzonym w trakcie wybuchu reaktorem.

– Mógł Pan odmówić?

– Nie, nie mogłem. Szczerze mówiąc, nie do końca zdawałem sobie sprawę, czym grozi pobyt w strefie wybuchu. Wiedziałem tyle, ile mi powiedziano: stopień promieniowania nie jest znany. Miałem też świadomość, że tylko ja, ze względu na to, że najdłużej latałem na nowym typie helikoptera i ze względu na najlepszy wynik moskiewskiego egzaminu z precyzji obsługi tego sprzętu, mogłem pomóc w ustaleniu stopnia promieniowania, a więc i w opracowaniu sposobu zabezpieczenia ciągle aktywnego reaktora. Nie wiem, to kwestia jakiejś odpowiedzialności, karności, chociaż ja nie byłem pilotem wojskowym... W styczniu 1991 roku, kiedy odbierałem w Stanach Zjednoczonych nagrodę Międzynarodowego

Stowarzyszenia Pilotów Helikopterów – jest to Nagroda im. Igora Sikorskiego przyznawana co roku tylko jednemu pilotowi na świecie, którą odebrałem w imieniu wszystkich załóg lotniczych biorących udział w akcji czarnobylskiej – wręczono mi ją z komentarzem: „Ci zwariowani Rosjanie...” W tych słowach wyczułem i podziw, i zdziwienie: co to za nacja, która tak łatwo naraża swoje życie...

Gdzieś dopiero po dwóch latach od wybuchu dotarło do mnie, w czym naprawdę uczestniczyłem, jak groźne w skutkach miało to być dla mnie, mojego zdrowia. Może wtedy nie chciałem wiedzieć, może wolałem się nad tym nie zastanawiać?

A było o czym myśleć. W kabinie helikoptera Mi-8 był przyrząd wskazujący poziom promieniowania. Kiedy lecieliśmy nad samym reaktorem, strzałka przesuwała się na 3 tysiące rentgenów.

– Jak wyglądał dzień pracy na terenie czarnobylskiej elektrowni?

– Baza była na lotnisku wojskowym w Czernihowie, stamtąd lecieliśmy do Czarnobyla. W tygodniu, w zależności od nasilenia wiatru, wykonywaliśmy cztery – pięć akcji montażu przyrządów do pomiaru radiacji. Łącznie, w czasie trzech miesięcy pracy, odbyłem 46 takich lotów. Praktycznie cały dzień byliśmy, ja i moi koledzy: nawigator i operator, w pogotowiu, bo polecenie lotu mogło paść i późnym wieczorem, nocą. Pierwszy etap operacji trwał od początku maja do 10 czerwca, drugi – od końca czerwca do pierwszych dni września.

– Ile trwała jedna operacja?

– Średnio pięć minut. Były i dłuższe – do 27 minut, a nawet, jak w przypadku operacji „Igła” – ponad 40 minut. 27 minut trwała operacja oznaczona kryptonimem „Girlanda” – moim zadaniem było spuszczenie w głąb szybu wentylacyjnego trzeciego i czwartego reaktora długiego sznura, oblepionego, na kształt girlandy, japońskimi przyrządami pomiarowymi. Było to bardzo trudne zadanie: musiałem się helikopterem, a właściwie tylko jednym jego kołem (bo tam było bardzo mało miejsca) na wylocie szybu i spuścić ten sznur do środka. Helikopterem aż rzucało, bo z wnętrza szybu wiał silny wiatr. To była bardziej akrobacja, niż zwykle kierowanie helikopterem. No i stało się: sznur zaplątał się w wewnętrzną konstrukcję szybu, musiałem więc wrócić na lotnisko po specjalną kotwicę, z jej pomocą wyciągnąć urządzenie i ponowić próbę. Tym razem się udało. Dopiero w bazie, już po wszystkim, dotarło do mnie, że przecież maszyna mogła ześlizgnąć się z powierzchni szybu... Ale strach dopadał mnie dopiero po zakończeniu kolejnej akcji, kiedy jeszcze raz analizowałem wszystkie manewry. Wtedy docierało do mnie, że mogłem się po prostu zabić. Takiej śmierci bałem się bardziej niż promieniowania.

– Czym zagluszaliście strach i stres?

– Winem marki cabernet. Może na skutek skojarzenia – że wino, dobre na zatrucie pokarmowe, osłabi skutki promieniowania? A więc wino, relanium, codzienne telefony do domu... Nasza baza była w Czernikowie, 15 kilometrów od Czarnobyla, w budynku sanatorium. Wszystkich mieszkańców tych okolic, ze względu na skażenie radioaktywne, ewakuowano, byliśmy tam jedynymi ludźmi. Z góry, z kabiny pilota widok był nieprawdopodobny: błękitne niebo, słońce, w dole piękne śnieżnobiałe miasteczko Pripjat, niebieska rzeka o tej samej nazwie... I ani śladu człowieka. Ja nie potrafię opisać grozy wynikającej z tego kontrastu: cicho, pięknie i – martwo. Ten widok jeszcze potęgował stres, do którego w moim przypadku dołożyła się także śmierć matki – przewieziono mnie na jej pogrzeb, tylko na parę godzin, po czym znów wróciliśmy do Czarnobyla. Wtedy nieżyjący już prof. Igor Erlich, dr nauk technicznych, zastępca generalnego konstruktora helikopterów, pozwolił mi na dwa dni odpoczynku.

– **U pilotów zyskał Pan sobie przydomek „Jubiler” – w dowód uznania dla Pańskiej precyzji. Precyzji, dzięki której możliwe było przeprowadzenie z sukcesem operacji „Igła”: lotu nad pokrywą czwartego reaktora w Czarnobylu w czerwcu 1986 roku...**

– W tej pokrywie był otwór szerokości około metra, którego nie dało się zwyczajnie zasypać piaskiem – piasek po prostu topił się w temperaturze wytworzonej przez jądro reaktora. Musieliśmy spuścić do środka 18-metrową rurę wyposażoną w system kamer telewizyjnych i nadajników – po to, żeby naukowcy mogli

opracować najbardziej skuteczną obudowę uszkodzonego reaktora, czyli sarkofag uniemożliwiający wyciek paliwa radioaktywnego. Ta operacja trwała długo, bo powietrze z wnętrza reaktora bez przerwy odpychało przyczepioną do helikoptera rurę. Ale udało się.

– **Operacja się udała, ale co z pacjentem? Przez trzy miesiące przebywał Pan w rejonie najwyższego zagrożenia promieniowaniem radioaktywnym, co więcej – wisiał Pan, w kabynie helikoptera, bezpośrednio nad uszkodzonym reaktorem...**

– Nasza ekipa, która brała udział w operacji „Igła”, liczyła 4 osoby. Trzy z nich już nie żyją: nawigator Władimir Tkaczenko (rocznik 1956) zmarł w 1995 roku, inżynier Oleg Azarow (rocznik 1953) zmarł w 1993 r., inżynier Jurij Kuwykow (rocznik 1951) zmarł w 1999 roku. Zostałem sam.

Wtedy, w Czarnobylu, wszelkie pozory były zachowane: po każdym locie wymieniano nam kombinezony, można powiedzieć, że bardzo dbano o sterylność... Odbierano też osobiste indykatory, mierzące stopień napromieniowania, które każdy z nas miał w kieszeni kombinezonu. Kiedyś udało mi się porównać wskazanie mojego licznika z licznikiem, który stał w centrum radiacji. Mój licznik wskazywał dwukrotnie mniejsze napromieniowanie. Wiem, że celowo nas oszukiwali. Więc sam się czasem zastanawiam, jakim cudem ja jeszcze żyję.

– **Kiedy rozpadł się Związek Radziecki, został Pan bez pracy, z tytułem Bohatera Związku Radzieckiego – najwyższym tytułem honorowym nieistniejącego państwa...**



Fotografia z bazy pilotów oblatywaczy na Krymie (1989 r.) – drugi z prawej
Nikołaj Mielnik

– Przewrotnie powiem: mnie w ZSRR było bardzo dobrze. Byłem oblatywaczem, pilotem testującym nowe modele helikopterów, płacę miałem bardzo dobrą, baza na Krymie – żyć, nie umierać. Ale najważniejsze: miałem prawdziwie męską robotę, którą po prostu kochałem. No i ta adrenalina! Na międzynarodowym salonie sprzętu lotniczego w Hannoverze – w 1990 roku – otworzyliśmy pokazy „ruską trojką”. Była to bardzo skomplikowana akrobacja trzech helikopterów: w środku K-29, po bokach dwa migi. Albo ustawiałem się ciężkim helikopterem ILA-90 pod kątem 90 stopni i leciałem bokiem z prędkością 300 kilometrów na godzinę. To były emocje!

Ciąg dalszy – po dodatku

WŁASNY KĄT

dodatek literacko-artystyczny

- ❖ wiersz Pawła Marcinkiewicza
- ❖ wiersze Ireny Wyczółkowskiej
- ❖ opowiadanie Olgi Feminek
- ❖ Adam Zagajewski gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych
- ❖ Jacek Gutorow o poezji Zagajewskiego
- ❖ rozmowa z Jerzym Janickim
- ❖ Janusz Głowacki na Uniwersytecie Opolskim
- ❖ wiersz Jacka Podsiadły
- ❖ Michał Rusinek w Opolu
- ❖ Rozmowa z reżyserem Janem Klątą
- ❖ esej Marcina Charlickiego o Chaplinie
- ❖ Międzynarodowy Dzień Poezji w Opolu
- ❖ wiersz Łukasza Zalewskiego
- ❖ felieton Adama Wiercińskiego
- ❖ wiersze Joanny Matlachowskiej



Fot. Tadeusz Parcej

a także

- ❖ malarstwo Zygmunta Moryty
- ❖ rzeźby postaci ze studni św. Wojciecha – Mariana Molendy i Wita Pichurskiego
- ❖ fotografie z wystawy rzeźby „Oddycham przestrzenią”

Paweł Marcinkiewicz

Dzień, w którym zaczęła się sesja

Są piersi żalobne. I tych jest najwięcej.
Prawie nie oglądają świata, jak ołów ciężą na sercu,
Aż dekolt przypomina toń jeziora bez zmarszczki.
Nie dla nich omdlałe spojrzenia, gasnące orkiestry.
Są piersi okrutne, szargające staniki
I kłujące w oczy niczym lampa śledczego.
Te stronią od róż w wazonie, świec migoczących w oknie,
Wolą labirynty dyskotek, smaganie laserów.
Za nimi biorą nas w objęcia piersi-samarytanki.
Wystarczy jedno słowo, a zostaną z nami do końca.
Oddychają głęboko, wręcz promieniejące,
Gdy wolno zamieniamy się w ęmy o szarych twarzach.
Choć łatwo się pomylić, bo wiele zależy od światła,
Splotu nitki, kształtu guzików na frontowej fałdzie.
A przecież jest jeszcze wykrój kołnierzyka,
Uwodzenie kolorem, brzoskwiniowym puchem,
I coś, na co nie ma w języku nazwy:
Cienista przepaść między pagórkami.
Są wreszcie, niezmiernie rzadko, piersi doskonałe,
Jak zaślubiny tego, co wyśnione, z tym, co ledwie przeczute,
Czyste promyki radości, piersi nad pieśniami –
Te żyją w kruchej pamięci przez wiele semestrów.
Jest jeszcze wiele typów i podtypów:
O katalogi, o mapy, o daremne rejestry!
Dzięki Ci, Magnificencjo Stworzenia,
Że to dopiero pierwszy dzień sesji,
A przed robotnikami winnicy mądrości
Jeszcze dni trzynaście.

Irena Wyczółkowska

Nad morzem

Siedzę na trawie
oglądam znalezione muszle i kamyki
Przede mną w przezroczystym powietrzu
musujące morze
słońce z rysunku dziecka:
w otoczce błyszczących ząbków –
jak kapsel!
Czas nabity w butelkę

Dusza odwiedza Ciało

więc kiedy już tak zostało
samo sobie
pod prześcieradłem przykrótkim
z gołymi stopami –
na lewej ten odcisk urągający światu
przyszła z wizytą
(och jak to miło – zawołało bezgłośnie)
dawna Lokatorka
i już nie było mowy o tym
kto tu rządzi
kto brudzi – kto zostawił okno
otwarte na oścież
sporów o miejsce zajmowane przy ogniu
niezapłacony rachunek
i tak się przyjaźnie rozstały
że potem gdy już spoczęło wśród kwiatów
w odświętnym ubraniu
spiętym na plecach agrafką
popatrzcie – szeptano – popatrzcie
jak się uśmiecha
niebiańsko

(wiersze z tomiku *Ulica Równoległa*)

Olga Feminek

Straszna bajka o pani dentystce

Była sobie pewna dentystka. Dobrze się jej wiodło, była młoda, ładna, miała męża, który jak i przed ślubem był czuły i miły. I jak przed ślubem, nie mógł znaleźć godnej siebie pracy. Owszem, byle co może by się i znalazło, ale to nie przynosi ani zadowolenia, ani pieniędzy. Więc dentystka pracowała za nich dwoje. Tak trzeba, mówiła sobie, to na pewno nie będzie trwać wiecznie. W mieszkanku przybywało mebli i kwiatów, samochód używany, ale całkiem jeszcze energiczny woził ich w niedzielę za miasto.

Mąż jednak dobrze znał życie i tłumaczył, że nie sposób ludzi, którzy się liczą w tym świecie i mogliby pomóc, zapraszać do takiej kłitki, choć przytulna, a i samochodem takim jak ten, moje ty głupiątko kochane, śmiesznie podjechać pod bramę poważnej firmy.

Dentystka długo się zastanawiała, co robić, bo przecież mąż miał rację, to jasne. Po namyśle postanowiła się rozdziwić, a kiedy to nie wystarczało – większe mieszkanie było gorsze od domku, domek od willi z pięknym ogrodem – roztroić się, a nawet jeszcze bardziej zwielokrotnić. Pieniądze popłynęły strumieniem, lecz sytuacja, początkowo znakomita, zaczęła się jednak komplikować. Pacjenci coraz głośniejsz narzekali, że starań nie tyle co dawniej, ręka wyraźnie słabsza, a tu czasem trzeba przecież wyrwać ząb szczególnie uparty, o taaakich korzeniach. Uśmiech pani dentystki, dawniej jasny, promienny, teraz o tyle bledszy... (Bo też każde z tych zwielokrotnień było tylko cząstką całości!).

Zaczęły się też inne kłopoty. Na początku dentystka po powrocie z pracy rach, ciach, szybko scalała samą siebie. Potem było coraz trudniej, a wreszcie – zupełnie jej się to nie udawało. Jakby te części już nie przylegały do siebie. Miało to i dobre strony: jedna ona pośpiesznie przygotowywała kolację, zapalała kolorowe świece, a jakże, druga brała się za sprzątanie, trzecia prasowała koszule, jeszcze inna czule wicherzyła czuprynę męża, pytając, jak minął mu dzień i czy to wstrętne deszczysko nie przeszkodziło w spacerze. Początkowo mąż nie mógł się

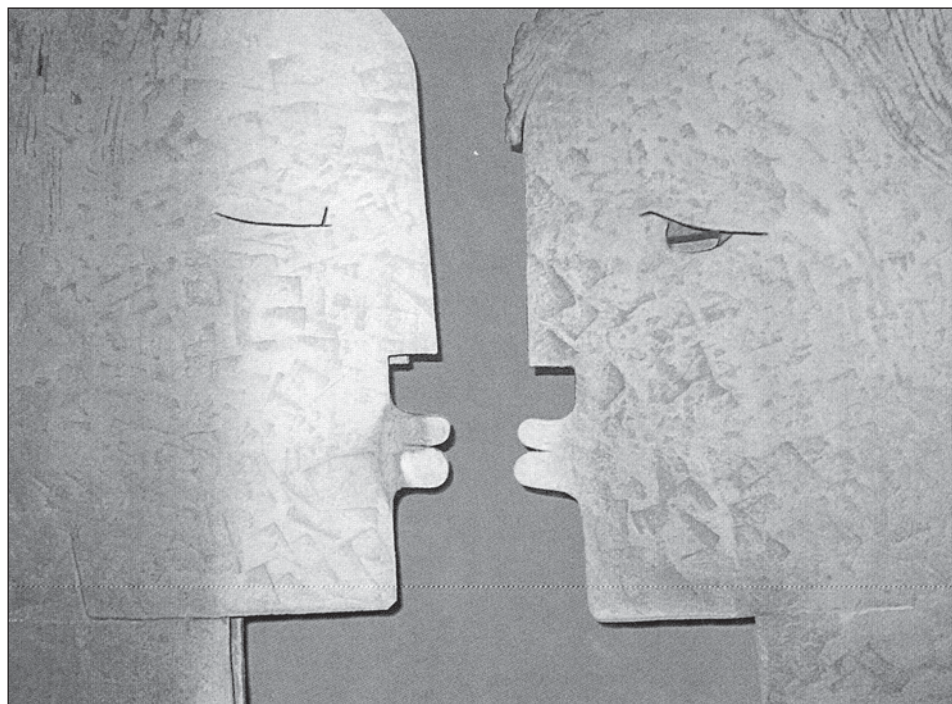
jej nachwalić: ty to się dwoisz i troisz, wspaniała jesteś, wiesz?, ale potem zaczął narzekać, że kiedy go dotyka, to jakby ledwie cień musnął, i taka jest jakaś półobecna, a umysłowo, przykro to powiedzieć, istna ćwierćinteligentka!

No i któregoś dnia stało się to, co stać się miało. Dentystka noga za nogą, noga za nogą, noga za nogą weszła (weszły?) do domu, a tu kartka. Znajome pismo. Jedna para oczu zatrzymała się przy nagłówku (jak on ślicznie zdrabnia moje imię!), druga wpatrywała się w ten kochany zakrętas przy podpisie, inne czytały to, co było w środku: „Odchodzę. Poznałem pewną panią...”

Dentystka wyszła z domu, pobiegła nad rzekę. Skoczyła z mostu. Jedne tylko słabe jak pajęczyna ręce usiłowały się czepiać poręczy, ale pozostałe oderwały je bez trudu.

Brr, jaka ta woda była zimna! Taka zimna, że dentystka skostniała, utwardziła się w sobie, złączyła wszystkie siły – i wypłynęła! Ociekając wodą (na szczęście było ciemno i nikt tego nie widział), wróciła do domu.

Nie wiem, co się działo dalej, czy jeszcze kiedyś była z kimś miłym, czy już sama jedna. Że JEDNA – to pewne.

Joanna Lewandowska *Małżeństwo*

Wierzę w gorączkę ducha

30 marca br. na Uniwersytecie Opolskim, w bibliotece anglistyki, odbyło się spotkanie z Adamem Zagajewskim, którego powitał rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja. O dorobku gościa opowiedział dr Adam Wierciński – przedstawiając postać Zagajewskiego, nazwał go poetą-filozofem, który w swojej poezji stawia takie same pytania, jakie padają w filozoficznych rozprawach. Powiedział też, że wiersze Zagajewskiego trzeba kontemplować.

Adam Wierciński mówił m.in. o zagrożeniach, jakie niesie kultura masowa i o młodej poezji, której brakuje głębi. Zagajewski czytał swoje wiersze i odpowiadał na pytania publiczności.

O związkach z Opolem

Zdaje mi się, że w Opolu nigdy nie byłem (Jan Feusette zdementował to stwierdzenie, przypomniał Zagajewskiemu, że był on w Opolu na wieczorze autorskim – red.), ale w młodości jako rowerzysta dojeżdżałem z Gliwic do Strzelec Opolskich, słynących głównie z więzienia. Opole więc widniało na mojej mapie jako niewidoczne miasto za Strzelcami Opolskimi. Wiem, że w Opolu jest silna grupa poetów. Kraków drży, że stolica polskiej poezji przeniesie się z Krakowa do Opolia, albo przynajmniej dotrze do Strzelec.

O powadze

Każdy poeta jest w pewnym sensie teoretykiem poezji. Nie sposób uniknąć myślenia o poezji. Myśląc o powadze w poezji, o tzw. stylu wysokim, docho-dzę do wniosku, że trzeba zna-leźć złoty środek. W poezji musi też być poczucie humoru. Powaga nie wyklucza zresztą poczucia humoru. We współczesnej poezji obserwujemy jednak inwazję ironii. Przewaga ironii szkodzi po-ezji.

O gorączce ducha

Dziwię się, jak niektórzy młodzi poeci przyznają się, że nie czytają niczego poza poezją. Osobiście nie wyobrażam sobie, jak można nie czytać prozy, esejów na temat literatury, powieści. Nie ma nic wspanialszego, niż być młodym poetą. Inna rzecz, że można ludzić się, że jest się młodym poetą, mając 60 lat. W zeszłym roku właśnie skończyłem 60 lat. I dziś już raczej zadaję sobie pytanie: co to znaczy być niemłodym poetą? Jak przetrwać jako poeta, co zrobić, by źródła natchnienia nie wyschły? Tak naprawdę

te źródła są oceanem. Tadeusz Różewicz – fenomen poetyckiej obecności, zapewne wie, jak czerpać z oceanu natchnienia. Niektórzy twierdzą, że wielkim poetą nazywa się kogoś, kto napisał sześć doskonałych wierszy przez sześćdziesiąt lat. Tylko że o tym, które wiersze z całej twórczości są doskonałe, decydują czytelnicy. Oczywiście jest, że koledzy poeci będą mówić: *o ten to już się skończył*. Ale nie należy się tym przejmować. Ja osobiście wierzę w gorączkę ducha – będąc w takim stanie, pisze się najlepsze wiersze. Ale nie wiem, co robić, by źródła poezji nie wyschły we mnie.

Poezja szuka, stawia pytania, nie dociera do celu, nie udziela jedynie słusznych i pewnych odpowiedzi. Dlatego też pewnie każdy poeta umiera z poczuciem porażki. Czesław Miłosz w wierszach swoich mówił, że nic mu się nie udało. Chwile załamania, melancholii są podszewką poezji, co nie znaczy, że zachęcam do trwania w depresji.



Pamiątkowa fotografia przed Collegium Maius UO. Na zdjęciu (od lewej): prorektor UO prof. Krystyna Czaja, Adam Zagajewski, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, Lucyna Kusyk, Tomasz Różycki i Beata Zaremba

O kulturze masowej i wolności ducha

Kultura masowa jest zagrożeniem dla ducha ludzkiego. Z drugiej strony kultura masowa jest niezbędna. I była zawsze. Niektórzy mówią, że również starożytni mieli swoją kulturę masową. Ze zdobyci kultury masowej osobiście bym zostawił radio, choć w latach trzydziestych uważano, że radio jest zagrożeniem dla życia duchowego. Zagrożeniem dla wolności ducha jest także katechetyczność. Rzadko – co prawda – chodzę do kościoła, ale jestem katolikiem, człowiekiem wierzącym w Boga i uważam, że niezbędny jest bunt przeciwko zbyt łatwemu katolicyzmowi. Encykliki papieża Jana Pawła II nie mogą być czytane zbyt dosłownie. Pisarze nie mogą pisać, jak ksiądz proboszcz. Literaturze potrzebny jest sprzeciw wobec źle pojętej katolickiej poczciwości. W końcu chodzi o to, by być wolnym.

O podróżowaniu

Podróże odrywają nas od rutyny, umysł się otwiera, przychodzi ośnienie.

O językach obcych i pisaniu

Nigdy nie udało mi się doznać natchnienia w języku obcym. Piszę więc w małym, polskim języku, którego prawie nikt nie zna. Angielski jest ekonomicznym językiem, angielska wersja tekstu jest zawsze krótsza niż wersja polska czy francuska. W Houston, gdzie wykładam na tamtejszym uniwersytecie,

chodzę czasem na wieczorki poetów anglojęzycznych. Pewnego razu sam miałem taki wieczór, wśród gości znalazł się Czesław Miłosz, w pewnym momencie zasnął. Po przebudzeniu się Miłosz na wpół przytomny wyznał: *na wieczorze polskim bym nigdy nie zasnął*.

O tłumaczach

Ze swojej tłumaczki jestem zadowolony, choć kiedyś pewien Irlandczyk, proponując mi swoje usługi, udowodniał, że tłumaczenia moich wierszy są do niczego... Jestem innego zdania. Posiadanie dobrego tłumacza to kluczowa sprawa. Josif Brodski, nie bardzo ufając profesjonalnym tłumaczom, postanowił sam tłumaczyć swoje wiersze, niestety efekty tego były dość komiczne, ponieważ używał idiomów dawno nieużywanych. Ludzie śmiali się z tych tłumaczeń.

O uniwersytecie w Houston

Na amerykańskich uniwersytetach obowiązuje inna wizja kształcenia niż na uczelniach polskich. Na przykład, amerykańskie uniwersytety zatrudniają poetów, muzyków, rzeźbiarzy, malarzy, którzy uczą rzemiosła artystycznego. Uniwersytet w Houston nie jest najlepszym uniwersytecie, studiuje na nim około 30 tys. studentów. Z tego co wiem, mocną stroną tej uczelni jest fizyka niskich temperatur.

Beata Zaremba

Fragmenty książki Jacka Gutorowa pt. „Niepodległość głosu. Szkice o poezji polskiej po 1968 roku” (Kraków: Znak, 2003).

Poeta trwałej wizji?

Adam Zagajewski rozpoczynał jako poeta zbuntowany wobec obowiązującego języka. Wraz z Barańczakiem, Kornhauserem i Krynickim odsłaniał mechanizmy rządzące tym językiem, pokazywał jak łatwo język ten zapętlą się w sobie i prowadzi do sprzeczności. Jego późniejsza twórczość ukazuje naturalną ewolucję od poezji doraźnej i zaangażowanej do poezji usiłującej wyjść poza „opłotki” doraźności i próbującej angażować się w sprawy ostateczne. *Oda do wielkości* (1982), a szczególnie *Jechać do Lwowa* (1985) wyznaczyły szlak, po którym poeta porusza się do dnia dzisiejszego. *Pragnienie* to bez wątpienia kolejny etap na tej drodze. W jaką stronę podąża ta ewolucja? W latach osiemdziesiątych głos Adama Zagajewskiego był wyrazisty i czysty, tak jak czysty i wyrazisty był fałsz polskiej rzeczywistości tamtych lat. *Jechać do Lwowa* i *Płótno* to jedne z najważniejszych i najbardziej przejmujących świadectw epoki. Ale coś się jednak zmieniło. (...)

„Adam Zagajewski stworzył własny, osobny świat”. Czy zdanie to należy traktować jako pochwałę czy też, przeciwnie, podchodzić do niego z podejrzliwością i wątpliwościami? Przyznam, że od pewnego czasu to pytanie niepokoi mnie. Z radością wkraczam w świat Zagajewskiego. Z radością, bo jest to świat bezpieczny, zamknięty, uregulowany. Świadczy też o tym, że poeta mówi pewnym głosem, że obca jest mu przypadkowość, że jego świat jest efektem dojrzałego namysłu. Cóż wspanialszego niż trwała wizja? A jednak. Jest coś niepokojącego w tym zamknięciu, w tym uporządkowaniu, w tej hierarchii, która stawia wyraźną granicę pomiędzy tym, co wysokie, a tym, co niskie. I to jest właśnie to „ale”: osobny świat może być pułapką, pokusą silniejszą od pokusy „prozy życia”. W świat Zagajewskiego wchodzi się bardzo łatwo: znacznie trudniej jest odnaleźć się w tym świecie, a właściwie nie tyle odnaleźć, ile „przeżyć” swoje życie na ten świat.

Jacek Gutorow

Marian Buchowski

Piętno sukcesu

Podczas jak zwykle starannie obmyślonej i przygotowanej uroczystości nadawania tytułu doktora honoris causa (tym razem prof. Janowi Miodkowi i pisarzowi Jerzemu Janickiemu), szeroko i interesująco zaprezentowano społeczności akademickiej Uniwersytetu Opolskiego i publiczności zewnętrznej bohaterów dnia. Pewnie to nie przypadek (a jeśli – to bardzo szczęśliwy), że w honorowaną doktoratami parę zestawiono ostatnio ludzi biegłych w języku, choć biegłych od różnej tego języka strony. Obie te postacie łączy bowiem jeszcze coś, co – takie odniosłem wrażenie przyglądając się ceremoniałowi – nie zostało w związku z tą uroczystością dostatecznie mocno wyeksponowane: ogromna popularność Miodka i Janickiego – mówiąc brzydko – wyrobów. A ponieważ produkty ich autorstwa są z językowego tworzywa – popularność niejako automatycznie oznacza społeczną doniosłość tego, co panowie Miodek i Janicki robią, bo mogą oni docierać do umysłów i emocji milionów ludzi. Mogą i docierają, czyli odnieśli sukces. Ale kto słowem wojuje, ten od słowa może i nie ginie od razu, ale starania takie czynione bywają w Polsce często. Bo u nas ciągle prawdziwemu twórcy nie przystoi popularność, a sukces bywa rodzajem piętna. Nie jest np. tajemnicą, że o profesorze Miodku w dobrym tonie jest bąknąć, że to przereklamowana wielkość, raczej popularyzator niż uczyony, pozycję zawdzięczający wyłącznie telewizji, która uczyniła zeń językoznawczy autorytet. Z Jerzym Janickim jest jeszcze gorzej, bo niemal czego się tknął – zyskiwało niebywałą popularność. Pamięć o serialach telewizyjnych wg jego scenariuszy („Polskie drogi”, „Dom”) jest w miarę świeża. Ale już tylko moje pokolenie pamięta lata pięćdziesiąte, kiedy to w porze nadawania współtworzonych przez Janickiego radiowych „Matysiaków” pustoszały ulice, bo radiosłuchacze żyli sprawami państwa Heleny i Józefa Matysiaków, a Matysiakowie – sprawami radiosłuchaczy. Ten serial radiowy przetrwał 50 lat (w grudniu tego roku zakończy żywot), jego twórcy otrzymali w tym czasie ponad dwa miliony listów...

Sądzę, że jedną z ważnych przyczyn społecznego wzięcia prozatorskiej, radiowej, telewizyjnej, filmowej i dramaturgicznej twórczości Jerzego Janickiego jest – oprócz zawdzięczanych talentowi jej walorów artystycznych – mocne zakorzenienie w polskiej rzeczywistości oglądanej bez ideologicznego za lub przeciw i znakomita znajomość naszych siermiężnych, powojennych realiów – od materialnych po psychologiczne.

Janicki sam przyznaje, że bardzo ważną rolę w jego artystycznym życiorysie odegrało dziennikarstwo, od którego po wojnie startował w słowie pisanym. Debiutował dziennikarsko w Krakowie, w dziale sportowym. Żartując wspominał w jednym z wywiadów, że to jego ukochany profesor poradził mu wybór specjalizacji: *Jurciu, ty weź się za sport, to jest jedyna dziedzina, która ci zapewni spokojne życie, w niczym się nie*



umocysz i nie poplamisz rąk. No więc w tym Krakowie, gdzie po wygnaniu ze Lwowa robił maturę, miał napisać swój pierwszy utwór prasowy: relację z meczu Krowodrza – Łobzowianka, bo takie dostał zlecenie z redakcji krakowskiego „Startu”. *Byłem bardzo przejęty. Ludzie nazywali mnie panem redaktorem, zapraszali na piwko; czy dużo trzeba 17-letniemu bęcwałowi, żeby mu imponowało? Więc siadłem potem w kawiarni, szczegółowo opisałem, kto do kogo podawał, kto faulował i kiedy był spalony. Trzy bite strony! Następnego dnia rano jak oszalały poleciałem po gazetę. I co znalazłem? Z mojego tekstu została notatka: KROWODRZA – ŁOBZOWIANKA 2:0, DO PRZERWY 1:0. SEŃDZIOWAŁ BARDZO DOBRZE PAN MYTNIK. Podpisane J.J.*

Z Krakowa trafił Janicki do Wrocławia, bo tam po powrocie z oflagu osiedlił się jego ojciec. Zaczął na tamtejszym uniwersytecie studiować (podobnie jak wiele lat później Jan Miodek) filologię polską i pracować w „Słowie Polskim”, gdzie awansował na kierownika działu sportowego. Do reportażu trafił przez przypadek: *Ktoregoś razu musiałem pomóc rozkolportować gazetę i pojechałem do miejscowości Krzyż. Warunki, jakie tam panowały, były porażające. Te ruiny, ci ludzie zasiedleni ze Wschodu, to pionierstwo – jedna lampa na całą okolicę. Opowiedziałem o tym kolegom w redakcji. Naczelny zapalił się: napisz to. Napisałem – i to był mój pierwszy reportaż: „Jedna lampa świeci w Krzyżu”. Spodobało się. Powoli zacząłem wchodzić w reportaż, coraz bardziej mnie to wciągało. Dziś już się nie dziwię tamtej pasji, bo uprawianie reportażu wzbogaca wyobraźnię, a ludzkie biografie, przeżycia, doświadczenia przekładają się na wiedzę o współczesnym człowieku i świecie.*

Ta wiedza – wsparta talentem – procentowała, co zostało szeroko udokumentowane także czytelnikom „Indeksu”, w poprzednim numerze utralającym uroczystość nadania Jerzemu Janickiemu przez Uniwersytet Opolski doktoratu honoris causa. Korzystając z okazji poprosiłem pisarza o kilkanaście minut rozmowy.

Dziennikarski kapitał

Z Jerzym Janickim, doktorem h.c. UO, rozmawia Marian Buchowski

– Jak Pan postrzega dzisiejsze dziennikarstwo?

– Jest dziennikarstwo i dziennikarstwo. Dziś w swej podstawowej masie dziennikarstwo polega na podstawianiu mikrofonu. Pamiętam, że kiedy zaczynałem, to redaktorem działu miejskiego był znakomity przedwojenny dziennikarz Wacek Drozdowski. I ja, będąc w dziale sportowym, podpatrywałem jak on uczy tych swoich reporterów rzemiosła. Ja zawsze uważałem dziennikarstwo za zawód o charakterze cechowym, jak u rzemieślników: żeby samemu stanąć na nogi – trzeba najpierw podpatrywać mistrza, praktykować pod dobrą ręką, opanowywać warsztat... Reportaż jest gatunkiem szczególnie trudnym, bo oprócz wrażliwości i umiejętności obserwacji trzeba się przy prawdziwym reportażu solidnie narobić, i to nie tylko w trakcie samego pisania czy montażu. Trzeba się najeździć, nagadać, pożyć wśród ludzi i ich spraw, a to wymaga czasu, energii, ponoszenia kosztów – także tych wymiernych. Łatwiej chwycić za telefon, więc dziś więcej sprawozdawców niż prawdziwych reporterów. Po reportażu zacząłem pisać słuchowiska, potem z form radiowych przeszedłem na telewizyjne i filmowe, doszedłem do scenopisarstwa, które do dziś uprawiam. Ale wszędzie, w całej dotychczasowej twórczości literackiej mogę się dopatrzeć śladów dziennikarstwa, którym się paralem przez kilkadziesiąt lat. Te moje dziennikarskie doświadczenia były potem jak dobrze oprocentowana książeczka oszczędnościowa, z której do dziś wybieram odsetki.

– Dlaczego przerzucił się Pan na reportaż radiowy?

– Gospodarzowi, u którego nocowałem podczas jednego z reporterskich pobytów na wsi, sąsiad poprzedniego dnia zamordował psa. Kiedy mój sędziwy gospodarz o tym z wielkim przygnębieniem opowiadał, głos mu drżał w tak przejmujący sposób, że wtedy nagle uświadomiłem sobie: przecież nigdy nie zdołam opisać drżenia tego głosu, nie da się słowem pisanym oddać nieszczęścia tego staruszka. Tak narodziło się we mnie przekonanie o przewadze prawdy reportażu radiowego nad pisanym.

– Czy to właśnie przekonanie legło u narodzin radiowych „Matysiaków”?

– „Matysiakowie” mieli być czymś pomiędzy reportażem radiowym a podsłuchem, a zamiar mieliśmy ambitny: pociągnąć – jak dobrze pójdzie – nawet aż przez rok. A ciągniemy „Matysiaków” już 50 lat, absolutny rekord. Zaczęło się po Październiku 56, kiedy gorset cenzury lekko zelżał i można było mówić normalniejszym głosem. Uradziliśmy z moimi przyjaciółmi Stanisławem Stampflem i Władysławem Żesławskim (obaj już świętej pamięci), że będziemy opowiadać możliwie pełnym głosem o tym, co niesie dzisiejszy dzień. Polska była wtedy mocno rozpolitykowana, Październik rozbudził w ludziach wielką nadzieję. Pod względem formy nie było wzorców krajowych, pojechałem zobaczyć i usłyszeć jak takie coś robią w BBC, bo tam nadawano dwa takie seriale radiowe, miejski i wiejski. Wprawdzie przed wojną szła w polskim radiu powieść pisana przez Marię Kuncewiczową („Rodzina państwa Kowalskich”), ale to była odczytywana przed mikrofonem proza, przetykana

scenkami dramatycznymi odgrywanymi przez aktorów. Ustaliliśmy, że bohaterem będzie mieszczańska rodzina warszawska, bez przechyłu inteligenckiego czy robotniczego, zamieszkała nie na cwaniackim Czerniakowie ani lewicującej Woli. Doszliśmy do wniosku, że najlepsze będzie Powiśle, historycznie najbardziej typowo warszawska dzielnica, uwieczniona w literaturze przez Prusa. Pierwsze odcinki nazywały się „Rodzina państwa Bardzodobrych”. Owszem, dziwaczne nazwisko, ale miało się w nim streszczać nasze przesłanie: pisać pod prąd panoszącego się chamstwa, zawiści między ludźmi, zdziczenia obyczajów. Obsada aktorska – najlepsza, na jaką wtedy było stać: Stanisława Perzanowska jako Helena Matysiakowa, Jan Ciecierski w roli Józefa Matysiaka, Tadeusz Janczar (Stach, syn Matysiaków), Tadeusz Fijewski (Grzelak), Stanisław Jaworski (Klemens Kolasiński)... Po przesłuchaniu pierwszych trzech odcinków stwierdziliśmy, że coś tu jednak nie gra, coś oni, ci Bardzodobrzy, za bardzo teatralni są. Wycofaliśmy to i z tą samą obsadą zaczęliśmy robić „Matysiaków” (w 1960 roku dołączyła do naszej trójki Dżannet Połtorzycka). Pierwszy odcinek „Matysiaków” ukazał się na antenie 15 grudnia 1956 roku. I od razu pierwszy dobry odzew: na ręce premiera rządu towarzysza Cyrankiewicza Józefa napisała egzekutywa PZPR Kopalni „Makoszowy”. A napisała w tym stylu: „Niniejszym donosimy, że w Polskim Radiu wczoraj jacyś dwaj faceci radzili towarzyszowi Gomulce, i to jeszcze przy picciu piwa, żeby nie jechał do Moskwy, bo już niejednego wrócił stamtąd w trumience. Żądamy natychmiastowego zwolnienia towarzysza Sokorskiego z funkcji prezesa Radiokomitetu...” No, pomyśleliśmy sobie: dobrze jest, chwyciło. Tamta nasza odwaga trwała jednak tyle, ile oddech Października, a ten oddech był króciutki. Ale „Matysiakowie”, żyjący sprawami, jakimi na co dzień żyła przeciętna polska rodzina, stawali się coraz popularniejsi. Na 10-lecie „Matysiaków” tygodnik „Antena” zapytał radiosłuchaczy, jak uczcić jubileusz. Najwięcej głosów zebrał pomysł wybudowania domu spokojnej starości. I taki dom im. Matysiaków powstał na Saskiej Kępie. Dzięki inicjatywie fikcyjnych Matysiaków powróciła nad Wisłę odrestaurowana warszawska Syrenka, na Krakowskim Przedmieściu stanął pomnik Bolesława Prusa... W naszej radiopowieści, jak można wyczytać w Internecie, wzięło udział łącznie około 250 najwybitniejszych polskich aktorów tworzących niezapomniane kreacje.

– Sporo znaczących dokonań powstało w duecie: Jerzy Janicki i Andrzej Mularczyk. Jak i dlaczego powstał ten efektywny, odnoszący liczne sukcesy tandem?

– Sprawily to różne styki biograficzne. Mularczyk wprawdzie nie urodził się we Lwowie, ale jego ojciec pochodzi ze wsi pod Trembowlą i z zapasów rodzinnej pamięci wzięło się tworzywo do Mularczyka trylogii o Pawlakach i Kargulach. Zetknęliśmy się z Mularczykiem jako 19-latkowie w piśmie młodzieżowym „Razem”, następnie pracowaliśmy w tygodniku „Świat”, wspólnie pisaliśmy reportaże, potem słuchowiska, a zwieńczeniem naszych wspólnych poczynań jest chyba telewizyjny serial „Dom”, który w plebiscycie uznany został przez widzów za

„serial wszechczasów”. Łączył nas podczas pracy sposób myślenia, podobne doświadczenia życiowe, podobne spojrzenie na rzeczywistość...

– Zatrzymajmy się na chwilę przy serialu „Dom”. W 1979 roku, kiedy ten serial miał dopiero wejść na ekrany telewizorów, na łamach miesięcznika „Kino” stwierdził Pan w rozmowie z Hanną Samsonowską, że przystępując do pisania opowieści mieliście do wyboru dwie koncepcje: *Ukazać ją poprzez pryzmat już zweryfikowanych wydarzeń historycznych, kolejnych etapów 35-lecia, a więc z pozycji autorów anno 1979, albo przyglądać się tamtym latom oczyma ludzi zwykłych, przeciętnych, tych co byli raczej podmiotem wydarzeń. Przyjęliśmy koncepcję drugą. To ukierunkowało kąt patrzenia, lecz pozwoliło zarazem fragmentami, częstkami – ogarnąć całość. „Dom” osadzony jest mocno w dziejach stolicy, i jak ona rezonuje życiem całego kraju. Jakimi sposobami uwiarygodnialiście Pano- wie, jako scenarzyści, opowieść o tych latach tak łatwo dziś przekreślanych do końca i w całości przez niektórych ludzi robiących wrażenie, że gdyby mogli, to kazaliby powycinać wszystkie drzewa wyrosłe w Polsce po 1945 roku, bo rosnąc za komuny rośliny te przysparzały reżimowi tlenu podczas asymilacji dwutlenku węgla z zatęchłej atmosfery PRL-u?*

– Mieliśmy świadomość karkołomności przedsięwzięcia. Pewnie w jakimś sensie ośmieliły nas nasze własne biografie i losy bohaterów naszych reportaży z tamtych lat, które domagały się syntezy. Pierwszym źródłem podczas pracy nad scenariuszem były nasze własne „kalendarze” z lat powojennych. Inne z ważnych źródeł – to tworzywo z naszych reportaży i słuchowisk. Wiedzieliśmy, że bardzo by całości przydały autentyzmu filmowe materiały dokumentalne, dlatego wymyśliłiśmy postać Wrotka (granego przez Jana Englerta), kinooperatora kina objazdowego, aby stworzyć sensowny pretekst do wplecenia w serial kronik filmowych z pierwszych powojennych lat Warszawy. Chcąc odtwarzać tamten czas wertowaliśmy roczniki „Życia Warszawy” i „Stolicy”, żeby wiedzieć jakie były wtedy kina, co grały teatry, ile kosztowało kilo cukru...Wcześniejsze uprawianie reportaży wyczuliło nas na znaczenie szczegółu w uwiarygodnieniu całości. Ważną rolę także pod tym względem odegrał reżyser „Domu” Jan Łomnicki, znakomity dokumentalista, rozmiłowany w Warszawie, której poświęcił wiele filmów. Powojenna Warszawa ogromnym wysiłkiem i kosztem została szybko odbudowana, i to tak bardzo przez wojnę zniszczone miasto nie nadawało się już do odtworzenia scenerii tużpowojennej, tych wszechobecnych zgliszcz i ruin. I Janek Łomnicki powziął skądś wiadomość, że w Czechosłowacji burzą jakieś miasteczko. Okazało się, że pod ziemią, na której leży spokojne miasteczko Most, odkryto złoża węgla brunatnego, więc Most wysiedlono, a różnym kinematografom zaoferowano możliwość kręcenia zdjęć z wyburzeń i gruzowisk na zamówienie. Więc Janek pojechał tam z ekipą „Domu” i dysponował: – Proszę mi wyburzyć ciąg domów po tej stronie ulicy, a ta tam kamienica powinna mieć mocno uszkodzoną górną kondygnację. Tak więc zburzoną

Warszawę udawało w serialu słowackie miasteczko, które nic nie ucierpiało w czasie wojny. Zachowaliśmy w „Domu” trochę autentycznych nazwisk, których jednak rzeczywisci posiadacze nic albo bardzo niewiele mieli wspólnego z losami naszych serialowych postaci. Tadeusz Janczar gra w „Domu” rolę doktora Kazanowicza, który po przeżyciach obozowych postanawia sam wymierzyć sprawiedliwość. Otóż w bardzo dawnych latach, kiedy znalazłem się we Wrocławiu, poznałem człowieka o nazwisku Kazanowicz – postać niezwykle barwną i ciekawą, intelektualistę i kompletnego abnegata, który przyjechał do zburzonego Wrocławia wyłącznie z dwoma walizkami pełnymi książek. Te książki były zaczątkiem czegoś w rodzaju księgarniobiblioteki o nazwie „Książka na Śląsku”, którą pan Kazanowicz otworzył na wrocławskim Placu Solnym. Rzeczywisty Kazanowicz był wspaniałym gawędziarzem, anegdodczykiem, przegadaliśmy wiele wieczorów, a sporo z tych rozmów, przetransponowane i rozwinięte, weszło potem do różnych moich prac literackich. I jako swoisty wyraz wdzięczności znalazło się to autentyczne nazwisko w serialu. Inne prawdziwe nazwisko, tym razem z serialu „Polskie drogi”, to Sommer – Żyd (postać zagrana wspaniale przez Włodzimierza Boruńskiego), który chcąc ocalić wnuczkę powierza ją polskiemu tramwajarzowi. Otóż człowiek o takim nazwisku miał w kamienicy mojego dziadka we Lwowie przy ulicy Łyczakowskiej 84 A zakład fryzjerski. Prawdziwy Sommer zginął w lwowskim getcie, jego nazwisko ocalało w naszym serialu.

– Dlaczego „Dom” nie jest kontynuowany?

– Były takie propozycje, są, ale to z wielu względów jest chyba niewykonalne. Moja i Mularczyka metryki nakazują mierzyć zamiary na siły, a praca nad serialem to wysiłek ogromny. Nie ma też telewizja takich pieniędzy, które pozwoliłyby zrealizować rzecz na dobrym poziomie. Bo w takim serialu wszystko trzeba odtworzyć, rekonstruować, ale w taki sposób, żeby się nie kłóciło z obrazem rzeczywistości zatrzymanym w pamięci widzów. C o innego film o odległej przeszłości, gdzie odstępstwa od prawdy dostrzegają nieliczni specje od epoki. No i taki serial będący kontynuacją „Domu” wymaga dystansu. A na taki dystans jeszcze za wcześnie.

– Dziękuję za poświęcony mi czas.



Rejsem z Warszawy do Nowego Jorku

Tak brzmiał tytuł spotkania, które odbyło się 9 maja br. w Auli Błękitnej Collegium Maius UO, w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych, a którego gościem był Janusz Głowacki, prozaik, dramaturg i scenarzysta, autor m.in. scenariusza do filmu „Rejs” – uznanego za jeden z kultowych filmów polskich – od 20 lat mieszkający w USA.

W uniwersyteckiej auli dawno nie było tak tłoczno – poza studentami i pracownikami UO w spotkaniu wzięło udział wielu opolan. Wspomagany pytaniami z sali Janusz Głowacki snuł opowieść o swoim życiu i twórczości, przeplataną anegdotami i wspomnieniami o aktorach, opowieść o Polsce dawnej i dzisiejszej, a także o Ameryce.

Ja się tak kołyszę

Ja rzeczywiście tak się kołyszę między Nowym Jorkiem a Warszawą. Za dwa tygodnie wyjeżdżam, to już się tu napa-trzyłem... Bardzo rozczarowany jestem, że posłanka Beger nie jest ministrem kultury. No, ale nie można mieć wszystkiego, jestem przyzwyczajony do rozczarowań.



Nie chciałem być jajkiem

Poszedłem na historię, bo moi koledzy tam szli, potem rzuciłem historię dla szkoły teatralnej, skąd wyrzucono mnie za brak zdolności oraz cynizm. Bo w Polsce za sam brak talentu nie wyrzucają ze szkoły teatralnej, co zresztą widać, jak się ogląda seriale. Moją wielką kompromitacją były zajęcia, na których musieliśmy udawać jajko – według szkoły Stanisławskiego aktor musiał umieć zagrać wszystko – a ja wstydziłem się toczyć po podłodze. Za to mnie zdyskwalifikowano.

Ironicznie o tragedii

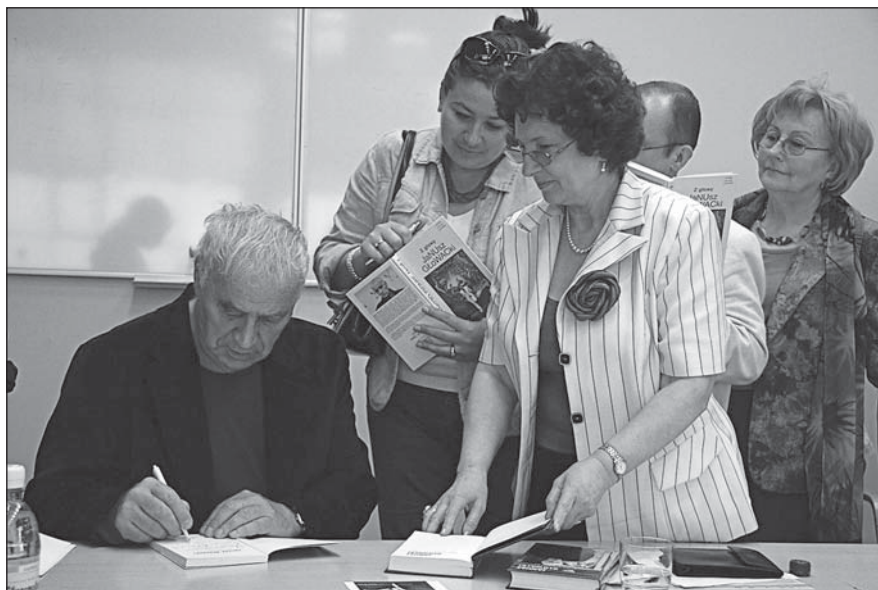
Ironia to najlepszy sposób na mówienie o rzeczach smutnych, tragicznych. Bo w telewizji codziennie tyle prawdziwych koszmarów pokazują, że trudno dziś o coś, co by człowiekiem prawdziwie wstrząsnęło. Ja staram się pisać bardzo realistycznie, co prowadzi do sytuacji groteskowej – tekst staje się nierealistyczny.

„Rejsu” nie da się powtórzyć

Z „Rejsem” była dziwna historia. Ten film udało nam się zrobić cudem – i tego cudu nie da się już powtórzyć. Początkowo chcieliśmy z Markiem Piwowskim, żeby grali w nim aktorzy

zawodowi, ale okazało się, że tylko Maklakiewicz potrafił się w ten klimat wczuć. Wszyscy na planie byli w stanie silnego zamroczenia alkoholowego. Ta słynna scena rozmowy o filmie polskim kręcona była w momencie, gdy aktorzy byli w kompletnym stanie nieświadomości. Miało być tak: Maklakiewicz długo gada, Himilbsbach słucha i milczy. A ten tymczasem był akurat w stanie silnej nadaktywności alkoholowej i szalał. Mimo naszych błagań nieustannie przerywał monolog Maklakiewicza i kompletnie go zagłuszał. Straciliśmy już wszelką nadzieję, kiedy Janek nagle osłabł, zamilkł, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozpaczliwej koncentracji, który tak później zachwylił krytyków. Po prostu nadeszła faza depresji poalkoholowej.

Film opowiadał o tym, że jak się ludzie zaczynają organizować, to zwykle coś strasznego z tego musi wyniknąć. Na kolaudacji, oprócz mnie i Piwowskiego, nikt się nie śmiał. Był cenzor, ludzie z KC, wszyscy mieli miny ponure, milczeli. Klęska! Nikogo te dialogi z „Rejsu” nie śmieszyły – bo przecież oni w ten sposób rozmawiali na co dzień. Po kolaudacji postanowili ten film pociąć na kawałki i puszczać w dziesięciominutowych odcinkach, po wieczornym dzienniku. W końcu puścili „Rejs” po cichu, w bocznym kinie, na zasadzie tzw. wąskiego rozpowszechniania. Walili tłumy. Te trzy kopie, w których go rozpowszechniano (normalnie robiło się ich ponad trzydzieści),



Po autograf Janusza Głowackiego ustawiła się długa kolejka jego czytelników

szybko stały się kompletnie nie do oglądania – nic nie było widać. Poszliśmy z Markiem Piwowskim do Ministerstwa Kultury. Tam usłyszeliśmy, że nie zrobią dodatkowych kopii, bo film nie ma reklamy. My na to: „to zróbcie reklamę”. „Nie ma sensu robić reklamy, bo film ma tylko trzy kopie”. Kółko się zamknęło. Były też problemy ze sceną zabawy w tzw. salonowca, czyli dupnika – jest taki moment w filmie. I tę właśnie scenę chcieli nam z filmu wyciąć. A nam było tej sceny bardzo żal. Powiedzieliśmy więc z Piwowskim, że w takim razie wycofujemy nasze nazwiska z czołówki. Sprawę rozstrzygnął ówczesny minister kultury, facet z wiecznie zdziwionym wyrazem twarzy, który powiedział nam, że scena jest śmieszna, a przecież śmiech to zdrowie, on sam codziennie śmieje się przynajmniej dziesięć minut, z zegarkiem w rękę. Piwowski do dziś przechowuje depešę od niego, treści: „Przywróć scenę dupnika. Minister kultury i sztuki”. W takim właśnie klimacie to wszystko się odbywało.

„Ściek” dalej płynie

SPATIF, „Czytelnik”, w końcu „Ściek” na Trębackiej, który był czynny do późna, i którego nazwę ja wymyśliłem – bo tu ściekali wszyscy z knajp, które już zamykano... To miejsca, w których się piło, gadało. Tu tajniacy skarżyli się na niską jakość aparatury podsłuchowej, której daleko do sprzętu japońskiego, tu Zdzisio Maklakiewicz brzdąkał na pianinie i śpiewał... Pamiętam wierszyk, jaki kiedyś ułożył:

Szedłem sobie po ulicy.

Gołąb nasrał mi na głowę.

Ja. Dlaczego zawsze ja?

Warszawa milion mieszkańców ma.

Po latach nieobecności w Polsce wybrałem się do SPATIF-u i prawdę mówiąc szykowałem się na duży triumf: odniosłem sukces w Ameryce... Wchodzę. Przy stolikach pochyla się nad flaszkami kilka znajomych twarzy. Pomachali do mnie,

jakby nigdy nic. Jeden z nich zawołał: „Cześć Głowa, zrobisz jeszcze jedną setę?” Wtedy zrozumiałem: oni nawet nie zauważyli, że mnie tu przez osiem lat nie było!

Zrzućta mu ludzie berecik!

Mnie bardzo w życiu interesuje pytanie: „los czy przypadek?” Jest taka piękna scena w „Wojnie i pokoju”, kiedy po bitwie pod Borodino Napoleon darując Bezuchowowi życie mówi: „dla pana to los, dla mnie przypadek”. Ja uwielbiam literaturę rosyjską: Gogola, Dostojewskiego, Izaaka Babla, Andrzeja Płatonowa, Czechowa. Tyle przedstawień Czechowa widziałem, i w Rosji, i w Polsce, i w Ameryce. Najgorzej wystawiają je – i nie tylko te – we Francji. Czechowa nie wolno grać ze śmiertelną powagą – on zresztą sam błagał reżyserów, żeby te sztuki grać zabawnie. Wyrzucali go z prób. Podobnie jest z moimi sztukami – żeby oddać ich sens, trzeba je grać i tragicznie, i śmiesznie. Francuzi tego nie potrafią. „Czwarta siostra”

była wystawiana w Paryżu. Zupełnie okropnie!

Ja mam paru takich gogolowskich bohaterów. Lubię biednych, szarych, zaplątanych w sytuacje, które ich przerastają ludzi. Kiedyś jechałem na Żoliborz zatłoczonym autobusem linii 116. Na jednym z przystanków kierowca powiedział, że dalej nie jedzie, bo przednim pomostem pchał się jakiś facet w bereciku na głowie i drzwi nie chciały się zamknąć. Więc wszyscy zaczęli tego gościa błagać, żeby wysiadł. On: nie. Uparł się i koniec. Wtedy jakaś staruszka zaskrzeczała: – Berecik! Zrzućta mu ludzie berecik! I zrzucili. To odebrało mu moc. Wysiadł.

Wypromował mnie Jaruzelski

4 grudnia 1981 roku wyjechałem do Londynu, na próby „Kopciucha”. Premiera była 16 grudnia, a 13 grudnia w Polsce wprowadzono stan wojenny. Dzięki Jaruzelskiemu właśnie stałem się gwiazdą, bo na wieść o tym, że w teatrze jest wystawiana sztuka polskiego pisarza, o totalitaryzmie w dodatku, i o manipulacji, na spektakl waliły tłumy. „Kopciucha” ogłoszono w Londynie najlepszą sztuką roku. A mnie zaprosili do występu w telewizyjnym show. Akurat szły święta, po ulicach latają mikołaje, ja idę tragiczny, z plaketką „Solidarności” w klapie i boję się. Bo ciężko o krzywdzie polskiego narodu mówić ze śmiesznym akcentem. Zwłaszcza, gdy człowiek jest tak skupiony na tym, żeby nie pomylić „he” z „she”. Czekam na swoją kolej, prezen-ter rozmawia z jakąś gwiazdą, kończą rozmowę rozbawieni... I wtedy na scenę pychają mnie. Prezen-ter z obolałą miną zagaja: „Ale nie dla wszystkich te święta są tak radosne. Jest tu z nami polish playwright Dżanus Głowaki. Wszyscy wiemy, co się stało kilka dni temu w jego nieszcześliwej ojczyźnie”. I zaczęło się. Ja opowiadam, mocno koncentrując się na gramatyce angielskiej, on ściska mi rękę, życzy odwagi. Po czym wypchnęli mnie do kasy i wyrzucili na ulicę.

A później był Nowy Jork. Bo pomyślałem sobie, że skoro już mnie wypchnęli z bloku socjalistycznego – pojedę do Ameryki. Poszedłem do konsulatu amerykańskiego w Londynie, pewien, że powitają mnie, przedstawiciela udręczonego narodu, z otwartymi ramionami. Przesłuchiwali mnie godzinę. Pytania były wspaniałe. „Czy pan jedzie do Ameryki zamordować prezydenta USA?”. Żonę pytali, czy jedzie po to, by zajmować się prostytutką. Powiedziałem jej, żeby potraktowała to jako komplement. W końcu pojechałem. I zaczął się lekki koszmarny: w Polsce byłem znany, tu zrobiłem się całkiem anonimowy. Obijam się o różne teatry, gdzie prawie nie grają sztuk europejskich. Posyłam egzemplarze „Kopciucha” ze świetnymi recenzjami z Londynu do 48 amerykańskich teatrów. Nikt mnie nie potrzebuje. Bo Ameryka nikogo nie potrzebuje, jest samowystarczalna. W końcu Joe Papp, jeden z najsłynniejszych nowojorskich recenzentów wysłał „Kopciucha” do Christophera Walkena i ten zgodził się w niej zagrać. A John Madden, jeden z najlepszych angielskich reżyserów, podjął się ją zrobić. I to był początek sukcesu.

Recenzent to killer

Premiera w Ameryce to jest straszliwy moment. Po spektaklu wszyscy – reżyser i aktorzy – idą do knajpy i zaczyna się, w ciszy, wielkie czekanie. Pięć po dwudziestej trzeciej wnoszą „The New York Times” – numer, który w kioskach ukaże się następnego dnia – z recenzją. I to jest wyrok. Jak „The New York Times” zabije sztukę, to jest koniec, nikt na nią już nie przyjdzie. W Polsce recenzenci nie są ważni, w Ameryce potrafią zabić. Pamiętam, jak ja po premierze „Kopciucha” czekałem na recenzję! Zrobili mi wtedy zdjęcie: jak czytam tę gazetę z dzikim wzrokiem. Na szczęście recenzja Franka Richa była bardzo dobra. W ogólnej wrzawie usłyszałem: „Dżanus, you are great, we love you!”

Musical „Metro” Józefowicza wystawiany na Broadwayu zabili recenzenci. A było tak pięknie: przyszło wielu Polaków, po spektaklu wzruszony Józefowicz płakał, Polacy śpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła...” A tu recenzent pisze: „Nie wiem, jaki jest polski odpowiednik słowa katastrofa, ale nawet ono nie oddaje tego, co tu widzieliśmy”. „Metro” nie miało szans na Broadwayu – gdyby to był show o Wałęsie, to owszem, ale kogo tam interesuje los bezdomnych w jakimś metrze...

Dwa teatry

Pamiętam próby w jednym z czołowych warszawskich teatrów, kiedy wszyscy się tak upijali, że nie mogło dojść do premiery. Coś nie do pomyślenia w Ameryce. Podobnie jak zwolnienia z prób, bo aktor spieszy się grać w serialu... Tam wszyscy są ogromnie skoncentrowani na swojej grze, są prawdziwym zespołem, bo wiedzą, że jak sztuka się uda, odniosą sukces, ktoś ich zauważy.

Pilem, ale nie tańczyłem

„Choinka strachu” to bardzo dobra historia, ze stoczną gdańską w tle. To historia dziennikarza, który chce jechać do stoczni, zbierać tam materiał, ale boi się. To sztuka o jego stra-

chu i uwikłaniu – bo pojawia się też wątek zdrady małżeńskiej. O cienkiej granicy między strachem a kolaboracją. Przypomniało mi się, jak w sierpniu 1980 roku, na zakończenie Festiwalu Piosenki w Sopocie lokalne władze wydały bal. A tuż obok, w stoczni, strajkowali robotnicy. Większość artystów zdecydowała, że na bal nie pójdą. Jeden z piosenkarzy poszedł. Później w SPATIF-ie, zaatakowany za „kolaborację z władzą”, bronił się tak: – Byłeś na balu! – Byłem, ale nie jadłem. – Ale piłeś. – Piłem, ale nie tańczyłem.

Moskwa: mieszanka bogactwa i strachu

„Antygonę w Nowym Jorku” wystawiałem też w Moskwie, w „Teatrze Sawriemiennoj Piesy”, pierwszym moskiewskim kontraktowym teatrze. Na premierę zjechali „nowi Ruscy”, czyli najnowsza moskiewska elita. Podjeżdżali roys-rollsami, mercedesami, kobiety w futrach z nerek, mężczyźni w garniturach od Armaniego, wokół nich goryle... Bo w tytule był Nowy Jork! Sztuka tymczasem opowiada o trójce bezdomnych z nowojorskiego parku. I w Moskwie nie schodziła z afisza przez sześć lat! Dłużej wystawiali tylko „Wesele Figara”. I to jest właśnie cała Rosja: mieszanka biedy, strachu i bogactwa. Tam się czuje tę niepewność jutra, słowo „nędza” nie brzmi tam egzotycznie: dziś jesteś bogaty, ale pamiętasz jeszcze smak parówek.

Ameryka: gdzie film, gdzie rzeczywistość

Kiedyś napisałem, że 11 września Nowy Jork stracił dwa przednie zęby i już nigdy nie będzie się tak szeroko uśmiechać. I coś w tym jest, Nowy Jork trochę się zmienił, ludzie dziś żyją ze świadomością, że coś się znowu może zdarzyć, wszędzie jest pełno wojska, policji. To był szok, ale i wielki wybuch patriotyzmu. Zastanawiam się, jak ludzie w Polsce zareagowaliby w obliczu tak wielkiego nieszczęścia. Może podobnie? Może PiS nie oskarżyłby PO, że to wszystko przez nich?

Mobilizacja była nieprawdopodobna: te tłumy oddające krew, znoszące tony soków i żywności dla ratowników... Natychmiast ruszył też biznes – sprzedaż masek, takich, jakich używają ludzie usuwający azbest, i amerykańskich flag. Tu ludzie płaczą, tu kwitnie handel. Tu dymią wieże World Trade Centre, a na Broadwayu ludzie ustawiają się w kolejce po bilety. 11 września jadę taksówką w dół Manhattanu, po drodze widzę ludzi grających na kortach. A na XIV ulicy niewyobrażalna tragedia. I to jest wielka siła tego narodu.

Taki widok zapamiętałem: kosze wypełnione tysiącami telefonów komórkowych. I inne, z których wysypywały się damskie szpilki, które pogubiły uciekające z wież kobiety. I ten unoszący się wokół kurz. Ze spalonych mebli i ciał.

Ratownicy pracowali na gruzach WTC dzień i noc. Olbrzymi tłum czekał na nich – z sokami, kanapkami i flagami – kiedy wracali zmęczeni. Ludzie bili brawo, śpiewali „God bless America”, ratownicy odpowiadali im takimi bardzo filmowymi gestami... Mieszanina show i życia. I nie wiadomo, czy t filmy wpływają na rzeczywistość czy rzeczywistość na filmy.

Barbara Stankiewicz

Ciekawsi powyjeżdżali albo poumierali

Z Januszem Głowackim, dramaturgiem, prozaikiem i scenarzystą, rozmawia
Barbara Stankiewicz

– Dramaturg, prozaik, scenarzysta... Lista jest niepełna, bo był Pan także wykładowcą – m.in. na Uniwersytecie Columbia i uniwersytecie w Nowym Jorku.

– Na początku lat siedemdziesiątych byłem w Stanach po raz pierwszy, na Międzynarodowym Programie Pisarzy na uniwersytecie w Iowa. W tym programie poza Rosjanami uczestniczyli pisarze właściwie z całego świata, nawet Chińczycy, dla których pobyt w Stanach był jedyną szansą spotkania z rodakami mieszkającymi poza ich krajem, choćby z Tajwanu. Z Polski pojechałem ja, choć wiem, że typowano kogoś innego, a to tylko dlatego, że przyjaźniłem się z poetą, który prowadził program – nawiasem mówiąc, był on żonaty z Chinką. Niedługo po tym pobycie dostałem stypendium amerykańskiego Departamentu Stanu. Sześć miesięcy. Moim jedynym obowiązkiem było wygłoszenie jednego wykładu o literaturze polskiej. Płacili bardzo dobrze, a w dodatku objechaliśmy w tym czasie niemal całą Amerykę. Zobaczyłem miejsca, o ujrzeniu których przeciętny Amerykanin może sobie tylko pomarzyć, bo taka wycieczka sporo kosztuje. Zaczepiliśmy nawet, na moją prośbę, o Las Vegas.

– I jak się to dla Pana skończyło?

– Dobrze się skończyło. Wygrałem. A byłem po raz pierwszy w kasynie. Później bywałem wielokrotnie, ale tego sukcesu nie udało mi się już powtórzyć. Pobyt w kasynie w Las Vegas miał zresztą swoją dramaturgię. Był z nami opiekun z Departamentu Stanu, który bardzo się przeraził, kiedy ujrział, że siadam do gry. A trzeba dodać, że miałem przy sobie wszystkie, niemałe, jak mówiłem, pieniądze, które od nich otrzymałem. Rzucił się na mnie, niemal zabierał się do bicia – po prostu bał się, że wszystko przegram.

Byliśmy także w fantastycznym Nowym Orleanie, w starej francuskiej dzielnicy pełnej jazzu, w Los Angeles, San Francisco. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że dwadzieścia lat później wyląduję w Stanach i tam zamieszkać na stałe... Do głowy mi to nawet nie przyszło. Dziś też wiele podróżuję po Stanach, bo staram się jeździć na premiery moich sztuk – nie wszystkie, bo np. „Polowanie na karaluchy” wystawia w Ameryce pięćdziesiąt teatrów – ale tak naprawdę to Amerykę zwiedziłem w latach siedemdziesiątych, podczas tych dwu pobytów.

– W Ameryce entuzjastycznie przyjęto „Kopciucha”, który bardzo spodobał się też Anglikom i Rosjanom. W Polsce natomiast nie odniósł sukcesu...

– Mnie się sprawdza reguła: jak sztuka w Polsce dostaje złe recenzje, to znaczy, że na świecie odniesie sukces. Tak. W Polsce jest trudny teren... I tak było z „Kopciuchem”, sztuką, będącą „metaforą totalitaryzmu” – jak pisano po londyńskiej premierze w 1981 r., „sztuką o manipulacji” – jak odebrano to w Argentynie, gdzie sztuka odniosła niesłychany sukces. Na

wątek manipulacji dokonywanych przez mass-media zwrócono także uwagę w Las Vegas. W Polsce rzeczywiście „Kopciuch”, z całym swoim społecznym przesłaniem, średnio się spodobał. A trafił do ludzi w różnych, dziwnych czasem miejscach świata. W Moskwie cenzura nie puszczając tej sztuki przez dziesięć lat, stało się to dopiero w 1989. Ja do tej sztuki mam stosunek szczególnie, bo to „Kopciuch” właśnie przywiódł mnie z Londynu do Ameryki. Ameryki, która od przedwojny była dozwoloną, nieodwzajemnioną i beznadziejną miłością Polaków. Pamiętam taką starą piosenkę:

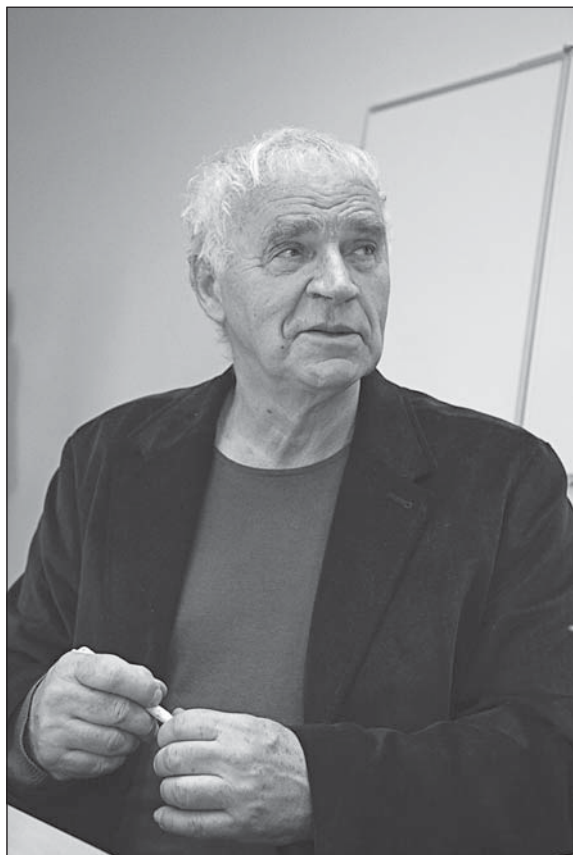
*To jest Ameryka, to sławne USA.
Tam ciocia ma miliony,
tam możesz mieć trzy żony,
a to wcale nie jest złe.
Kiedy podrapać się potrzeba,
pod ręką masz drapacz nieba...*

Ameryka zawsze budziła duże emocje. I zazdrość oczywiście też. Ale nie w Polsce. Zazdrość budziła we Francji, Niemczech... Francuzi nie mogą wybaczyć Ameryce, że tak ich uratowała przed Niemcami, i odbudowała. Europejczycy mają kompleks Ameryki, a jednocześnie uważają, że są o wiele lepsi. Ameryka to były i są olbrzymie pieniądze, więc właściwie stolica świata przeniosła się z Paryża do Nowego Jorku. I to też strasznie boli Europejczyków.

– Pan z kolei nie przepada za mass-mediami. I za designerami.

– Nie przepadam. Bo uważam, że kreują rzeczywistość. W Stanach jest może lepiej niż w Polsce, ale wynika to z faktu, że jest więcej pism, programów telewizyjnych i można sobie wybrać kanał, który nam odpowiada. To jest to, co lubię w Ameryce – ten wybór. Informacje lecą na okrągło, nie trzeba czekać na dziennik, żeby się czegoś dowiedzieć, w Polsce to jakaś paranoja. I są świetni dziennikarze – Jon Stewart na przykład, który w tym roku prowadził Oscary – którzy sztydzą z władzy, polityków... I to nie tylko z Busha, bo to nie sztuka z niego szydzić, on jest w Ameryce kimś jak Lepper w Polsce.

Designerzy – rzeczywiście świat oszalał na ich punkcie, to jest jakiś obłęd designerski, który w Ameryce jest najbardziej widoczny, bo jest to największy kraj. Razem ze Zbyszkim Rybczyńskim napisaliśmy kiedyś scenariusz, w oparciu o który powstała moja sztuka „Ostatni cieć”. To opowieść o takim super-designerze, który robi design wszystkiego, łącznie z orgazmem. Nie może patrzeć na telewizyjne „Wiadomości” – bo fryzury ludzi w newsach są jakieś takie przypadkowe, bo noszą ubrania jak z wyprzedaży, bo w końcu – konwulsje ofiar w materiałach z wojny są mało eleganckie... Więc on to wszystko, łącznie z konwulsjami, ulepsza, robi im design. Świat zwariował na punkcie designu. Przyjeżdża jakiś kreator mody czy inny model – ruch



Janusz Głowacki

na Manhattanie zamiera, ludzie wybiegają z biur i ustawiają się w długie kolejki po to, żeby im złożył autograf na majtkach. Tak, to jest zabawny kraj, ale nie tak zabawny, jak Polska.

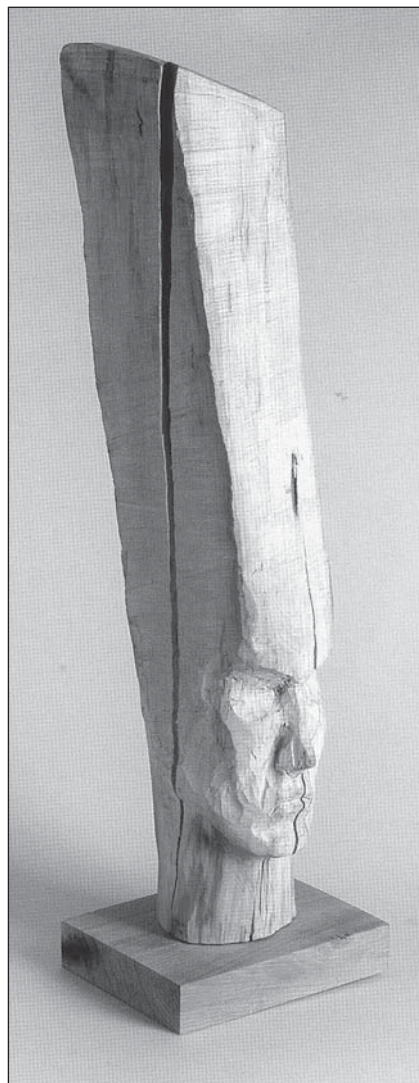
– Reżyserem „Rejsu”, według Pańskiego scenariusza, był Marek Piwowski. Kiedyś łączyła was wielka przyjaźń...

– Spotkaliśmy się na warszawskim uniwerku. On studiował dziennikarstwo, ja najpierw byłem na historii, później w szkole teatralnej, w końcu studiowałem polonistykę. Rzeczywiście, byliśmy wtedy bardzo blisko. Marek mieszkał na Pradze, na Targowej. Ja urodziłem się w Poznaniu, ale tam mieszkaliśmy tylko przez miesiąc, więc Wielkopolska jest mi zupełnie obca. Do liceum chodziłem już w Warszawie, tam też studiowałem. Z Markiem zaprzyjaźniliśmy się, bo interesowały nas podobne sprawy, podobnie też odbieraliśmy rzeczywistość. No i razem piliśmy. Za rektoratem Uniwersytetu Warszawskiego jest taka wnęka, z ławeczkami. I tam przychodziliśmy z Markiem napić się wina marki „Wino”. Mówiło się: „idziemy pić do rektora”.

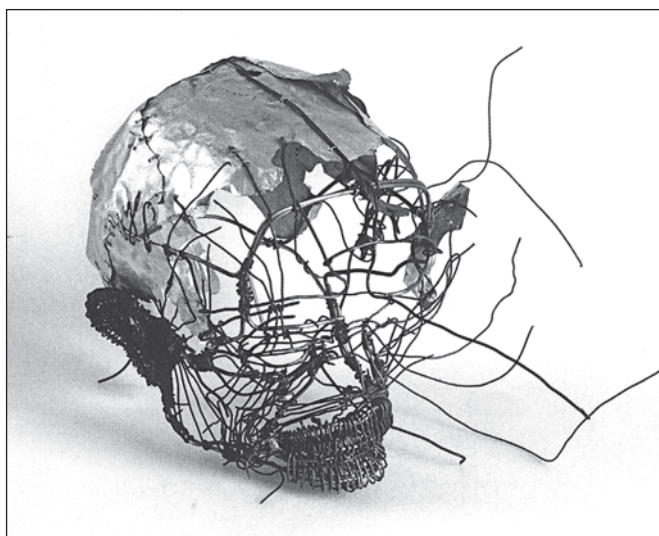
– Wkrótce wyjeżdża Pan do Stanów. Zdażył Pan zajrzeć do swoich ulubionych warszawskich lokali?

– Tych lokali już nie ma. Nie ma też wielu ludzi, z którymi w nich przesiadywałem. Teraz tzw. życie towarzyskie przeniosło się na promocje i bankiety – mercedesa, „Claudii”... Jak jestem w Polsce to przez pięć dni w tygodniu dostaję takie zaproszenia. Krąży tam jakiś, ciągle ten sam, tłum. Nudny tłum, bo ciekawsi powyjeżdżali albo poumierali.

– Dziękuję za rozmowę.



Jakub Kowalski – *** (drewno)



Adrian Półtorak – *** (metal)

Krakowskie rymy w Opolu

Tym razem pani Danuta Łuczak, szefowa Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu, zaprosiła na wieczór autorski Michała Rusinka z Krakowa, który właśnie wydał tomik limeryków. Gdyby ten „Indeks” przypadkiem wpadł w ręce jakiegoś głęba albo inżyniera, to niech obaj zapamiętają, że limeryk – jak głosi encyklopedia – to żartobliwy utwór poetycki o charakterze igraszki słownej, przesycony groteskowym, absurdalnym dowcipem; wywodzi się z folkloru angielskiego, a ma układ rymów *aabba*.

Natomiast Michał Rusinek to młody (34) naukowiec zatrudniony w Katedrze Teorii Literatury oraz Podyplomowym Studium Retoryki na Uniwersytecie Jagiellońskim; prowadzi także zajęcia w Wyższej Szkole Europejskiej im. J. Tischnera. Interesuje się pograniczem retoryki, literatury i filozofii. Jest autorem książki „Między retoryką a retorycznością” i współautorem „Retoryki podręcznej”; przetłumaczył dla dzieci dwa tomy wierszy A. A. Milne’a (twórcy „Kubusia Puchatka”). No i pisze limeryki. A właściwie nie pisze, bo – jak wyznał – limeryki się układa, a zapisuje wyłącznie po to, żeby nie zapomnieć.

„Człowiek inteligentny nie ma prawa być optymistą” – zaczął gość z Krakowa, ale okazało się na szczęście, że to nie wstęp do dywagacji o polityce i rekonstrukcji rządu, tylko zapowiedź, że nie będzie starań o salwy śmiechu na sali. A sala przyszła pełna.

Spotkanie miało formę dowcipnego wykładu z teorii i historii literatury, przeplatanej prezentacją limeryków z książeczki, z którą na koniec spotkania uformowała się przed autorem kolejka po autograf. Autor żalił się, że już nie umie zwiedzać świata jak turysta, tylko szuka miejscowości, które się interesująco rymują. Opole to dla układacza limeryków miasto pod względem rymu mało ambitne, na dowód czego autor odczytał z rękopisu pierwszą, ciepłą jeszcze wersję następującego limeryku:

*Pewien pan rodem z miasta Opole
Najplugawsze wyprawiał swawole.
Z niewiastami czasami,
A czasami z panami,
Mówiąc: nie wiem wciąż, którą płęć wolę.*

Michał Rusinek nie uważa się za poetę, a tym, którzy tak o sobie mniemają, radzi od czasu do czasu ułożyć limeryk czy sonet, bo to uczy dyscypliny, a ponadto pomaga uświadomić sobie przyszłemu wieszczowi, że język to też materia, którą – jak w limeryku – można się bawić. Lekcje takiej zabawy Rusinek pobiera w kawiarni „Nowa Prowincja” (Kraków, ul. Bracka), prowadzonej przez małżonkę Grzegorza

Turnaua. Zbiera się tu krakowski kwiat literacki sypiąc wkoło pyłkiem rymowanych miniatur, ale oczywiście nie takich grafomańskich, jak to zdanie. Oprócz limeryków krążą też w powietrzu „Nowej Prowincji” improwizowane epitafia poświęcone osobom będącym jeszcze przy życiu. Ponieważ Michał Rusinek napisał był kiedyś Turnauowi teksty do kilku piosenek – krakowski bard zrewanżował mu się w żoninej kawiarni epitafium zaczynającym się tak:

*Zmarł Rusinek Michał
Co dostarczał mi chał...*

Po monologu gościa z Krakowa padło w Opolu parę erudycyjnych pytań, ale w końcu z początkowego rzędu jedna z dam zdobyła się na odwagę i wypiliła elegancko: „Wszystkich tu zebranych na pewno interesuje, jak to jest być sekretarzem laureatki Nobla Wisławy Szymborskiej, ale chyba każdy wstydzi się o to zapytać, aby nie być posądzonym o banalność zainteresowań”.

Pan Michał Rusinek, istotnie, jest sekretarzem Wisławy Szymborskiej. I to dobrym sekretarzem, bo w odpowiedzi na prześladowające go od lat pytanie przez wiele minut nie powiedział nic konkretnego, ale za to w bardzo interesujący sposób, a zaczął od tego, że „sekretarz, jak sama nazwa wskazuje, ma sekrety”. On, sekretarz noblistki, jest rodzajem bufora, łagodzącego zderzenia poetki z realnym światem, zwłaszcza mediów. Media bowiem, a już telewizja w szczególności, są przekonane, że wszyscy ludzie usilnie marzą o występie przed jak największą widownią. I bardzo trudno im, tym mediom, wytłumaczyć, że tak nie jest. Do Wisławy Szymborskiej po Noblu przychodzi wciąż liczna korespondencja, niekiedy zaczynająca się słowami: „Królowo Poezji Polskiej”. Otrzymuje też poetka przeróżne propozycje, np. od menadżera pewnej piosenkareczki (ale nie Dody – zastrzegł pan Rusinek) dostała ofertę napisania kilku kawałków na nową płytę gwiazdy pop.

Michał Rusinek podczas spotkania rzucił ot tak mimochodem, że układanie limeryków jest zaraźliwe. Puściliśmy to mimo uszu, aż tu pod koniec okazało się, że i my ulegliśmy infekcji i wyskoczyło nam na spotkaniu coś takiego:

*Raz pewien sekretarz noblistki z Krakowa
Wzorem pierwszych sekretarzy gniew ludu wywołał,
Bo wypytywany o noblistki sekrety
Do dyskrecji strasznej dostawał podniety
I wagą przywiązywaną do pytań – ważył słowa.*

Marian Buchowski

Narodziny studni św. Wojciecha



Bp Jan Kropidło, z tyłu od lewej: Bołko II i Kazimierz I (autor: Wit Pichurski; fot. autora)



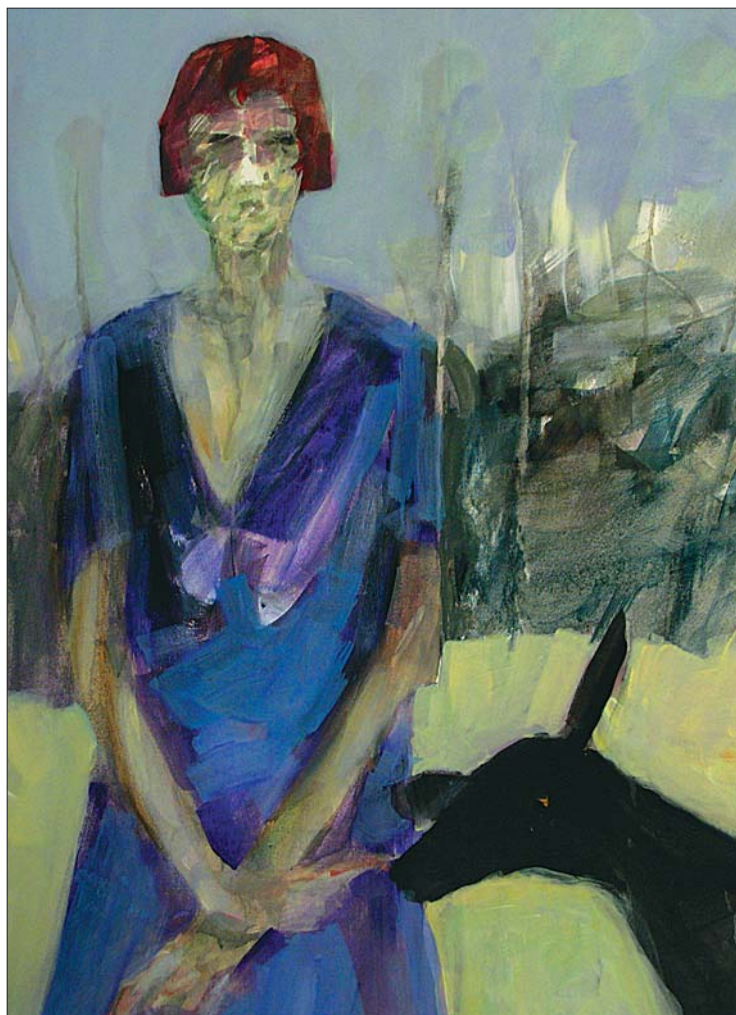
Rzeźba św. Wojciecha
(autor: Marian Molenda; fot. autora)



Wit Pichurski i jego rzeźby. Z prawej – książę Władysław Opolczyk



Książę Bołko II i książę Kazimierz I
(autor: Wit Pichurski; fot. autora)

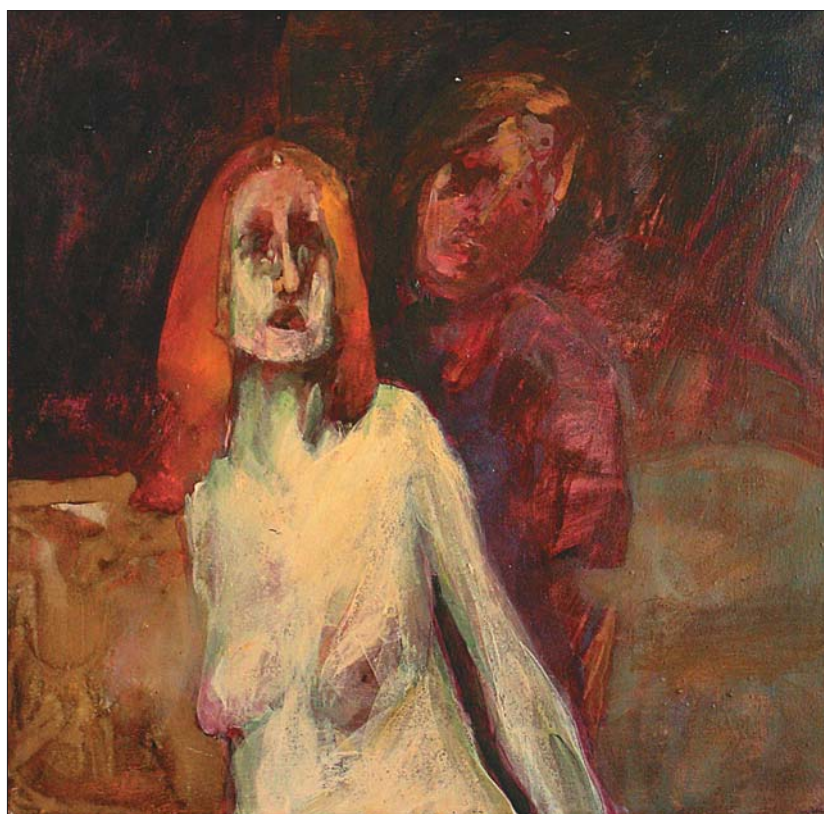


Bez tytułu

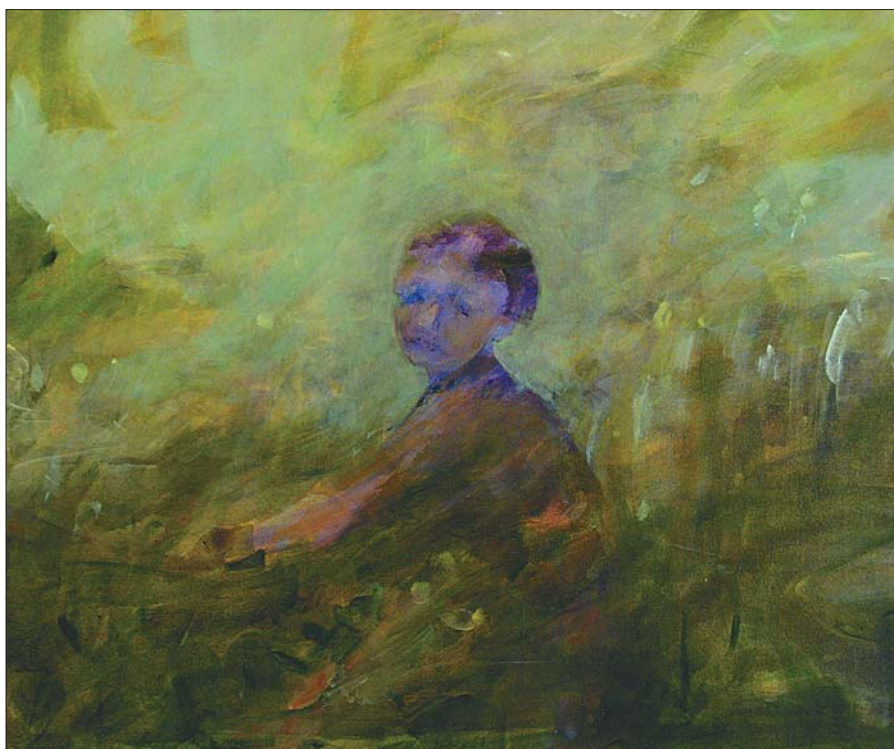
Galeria „WŁASNY KĄT”

Zygmunt Moryto

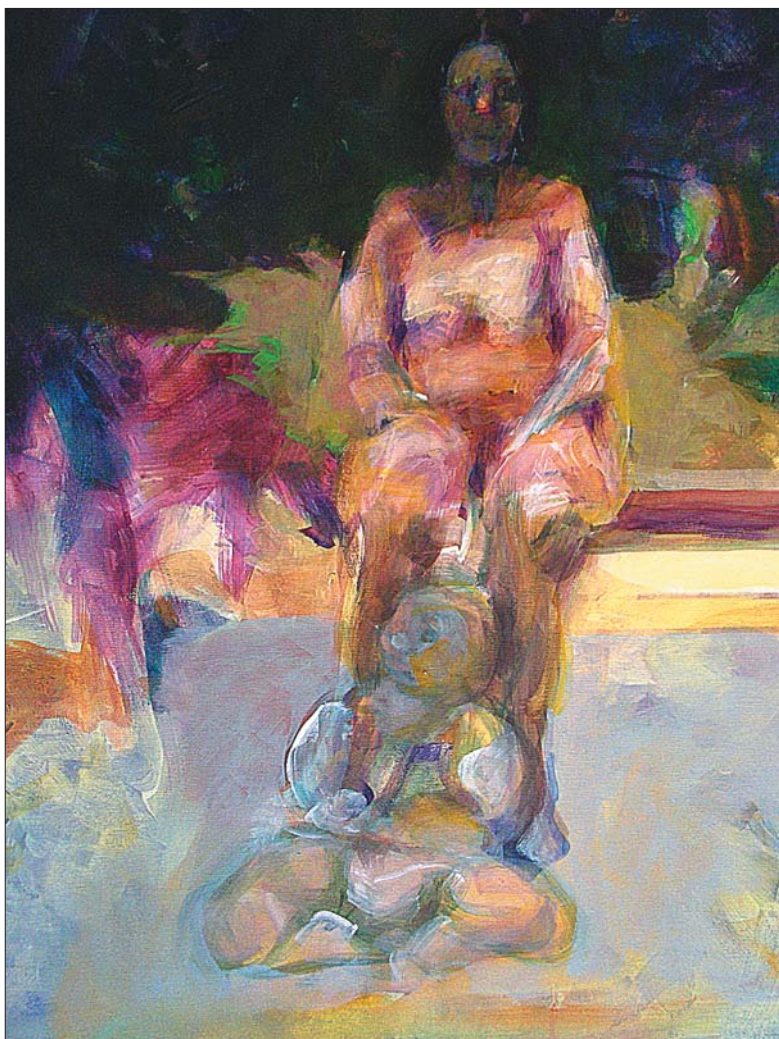
Bez tytułu



Fot. Tadeusz Parcej



Bez tytułu



Bez tytułu

Zygmunt Moryto

Studiował na ASP w Krakowie. Dyplom w 1979 r. w pracowni miedziorytu prof. Mieczysława Wejmana i pracowni malarstwa prof. Jana Świdorskiego. Dyplom został wyróżniony medalem ASP. Odbił roczny staż asystencki w pracowni Mariana Kruczka. Był laureatem wielu konkursów, uczestnikiem licznych wystaw krajowych i zagranicznych. Mieszka w Opolu.

Przestrzeń na oddech

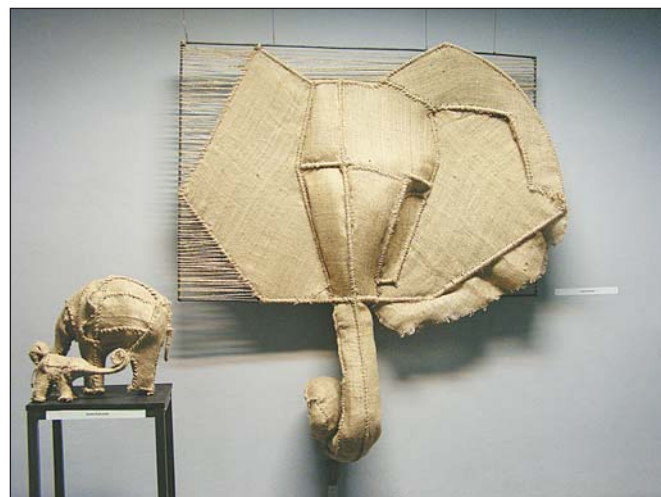
23 kwietnia br. na dziesięciolecie istnienia Wydziału Historyczno-Pedagogicznego Instytut Sztuki UO zorganizował w Miejskim Ośrodku Kultury w Opolu oraz w Galerii Młynek wystawę pt. „Oddycham przestrzenią”.

Wystawa była próbą pokazania procesu twórczego oraz jego efektów – zarówno nawiązujących do klasyki, jak i nowoczesnych wypowiedzi twórczych.

Swoje prace prezentowali pracownicy i studenci Pracowni Rzeźby Instytutu Sztuki UO, którą kieruje **Marian Molenda**. Można było zobaczyć m.in. prace **Leona Podsiadłego**, **Mariana Molendy**, **Wita Pichurskiego**, **Ewy Busuleanu**, **Anny Polok**, **Jakuba Kowalskiego**, **Józefa Chyżego**, **Anety Kukulskiej**, **Justyny Toroń**, **Agnieszki Peszko**, **Damiana Jureczko**. Część ekspozycji prezentowała była w opolskim ratuszu.

BEZ

Fot. Tadeusz Parcej



Teatr jest z natury cyrkiem

Z Janem Klata, reżyserem teatralnym, rozmawia Aleksandra Konopko

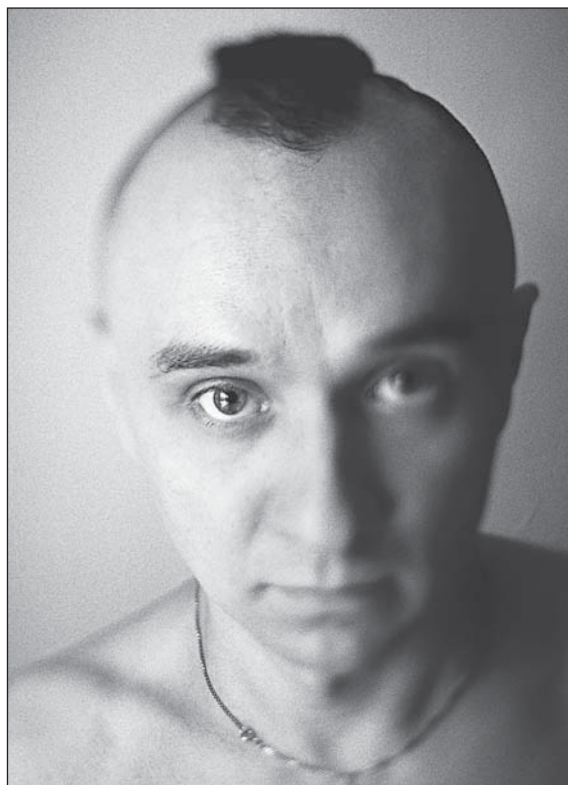
– Stworzył Pan dość charakterystyczny sposób komunikowania się z odbiorcą swoich spektakli. Było to Pana założeniem czy stało się przy okazji pracy nad kolejnymi przedstawieniami?

– Bardzo się staram, żeby udawało mi się nawiązywać ten kontakt z widzom poprzez realizację tekstu w formie spektaklu. To jest założenie ogólne. Można na pewno powiedzieć, że każdy reżyser ma takie założenie niezależnie od tego, czy robi pantomimę, czy teatr muzyczny, czy teatr jednego aktora. Natomiast ja wyciągam z tego bardzo daleko idące wnioski. Wydaje mi się jednak, że za każdym razem trochę inne. To, jakim językiem opowiadamy w teatrze, bardzo zależy – według mnie – od tego, jaki tekst przekazujemy. A mnie interesują bardzo różne teksty. Tak na pierwszy rzut oka niewiele łączy „Fanta\$ego” z „Rewizorem” lub „Nakręconą pomarańczą” czy „Rewizora” z „Hamletem”, albo z którymkolwiek zrealizowanym przeze mnie tekstem. Każdy jest inny. Dzięki temu nie jestem skazany na to, że powtarzam ciągle swoją formę. Nie robię trylogii science-fiction, nie muszę robić jednego za drugim tekstu romantycznego czy jednego za drugim tekstu współczesnego. Robimy to raczej na zasadzie zmiany wrażeń. Mówię „my”, bo pracujemy przecież w zespole, to jest ciągle ten sam krąg osób, które się wzajemnie rozumieją. Naszą zasadą jest: nie powtarzać się. A jeżeli pomimo różnorodności form można dostrzec w naszej pracy jakiś rodzaj charakterystycznego języka teatralnego – to dobrze. Są reżyserzy, którzy taki swój własny język, styl wspaniale podtrzymują, ale tak naprawdę całe życie robią jeden spektakl. Ja – przynajmniej na razie – nie chcę tak robić. Zobaczymy, być może znajdę taki jeden spektakl, który chciałbym robić całe życie, ale póki co, nie mam takiego przedstawienia i w dającej się przewidzieć przyszłości nie będę tego robił. Mój kamień filozoficzny nadal chcę ociosywać z różnych stron, a nie tylko z tej jednej. Moje spektakle są też bardzo różne nie tylko od strony doboru tekstów, ale też jeśli chodzi o język formalny.

– Jak to się dzieje, że sięga Pan po jakiś tekst, chce go przenieść na scenę? Czy kieruje się Pan jakąś zasadą czy bardziej impulsem?

– Myślę, że chyba właśnie nie da się tego jednoznacznie określić. Są takie teksty – szczególnie w

wypadku adaptacji – które noszę w głowie, w teczce, w kieszeni już od liceum. I do tej pory przeniosłem na scenę dwa takie teksty: „Lochy Watykanu” i „Trzy stygmaty Palmera Eldritch’a”. To były teksty, o których wiedziałem, że chcę je zrobić, ale nie wiedziałem jak. Później wiedziałem jak, ale nie mogłem. Jeszcze potem zapomniałem, jak chciałem je zrealizować, aż wreszcie znowu zapragnąłem się z nimi zmierzyć. Są też teksty, które zostały zaproponowane przez dyrekcję albo przez kierownika literackiego. Czasem tak się zdarza. Bywa też tak, że jest krąg tekstów zaproponowanych przez dyrektora, z których wybieram sobie jakiś jeden. Tak było w Gdańsku, gdzie dyrektor zaproponował mi po prostu, żebym zrobił jakiś tekst Szekspira, a ja wybrałem „Hamleta”. Wygląda to więc różnie. Robiłem też teksty, które od początku świadomie były celowane w



Jan Klata. Fot. Paweł Sobczyk (zdjęcie z archiwum Teatru Dramatycznego im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu)

jakieś określone miejsce. Tak było w Wałbrzychu. Jak robiłem „Rewizora”, to wiedziałem, że trzeba to zrobić właśnie tam, „gdzie diabeł mówi dobranoc”. Po „Rewizorze” wiedziałem, że chcę do Wałbrzycha wrócić, bo tam doskonale pracuje się i z zespołem aktorskim, i z dyrektorem Piotrem Kruszczyńskim. Jest to pewien fenomen. Wtedy jeszcze nie bardzo wiedziałem, z czym chcę do Wałbrzycha ponownie przyjechać, bo tam repertuar trzeba bardzo uważnie dobierać. Większość tekstów, które być może w innych miastach by się sprawdziły, raczej nie zainteresuje ludzi w Wałbrzychu, a ja robię spektakle dla ludzi. Dla siebie oczywiście też – nie będę oszukiwał – ale to nie może tylko mnie interesować. Są reżyserzy, którym jest wszystko jedno, czy na ich spektakl przyjdzie dziesięć osób, czy np. siedemset. Ja zawsze wolę, żeby przychodziło siedemset. Dla mnie dziesięć osób na widowni jest porażką.

– Jak było w przypadku „Fanta\$ego”? Czy wystawienie tego tekstu było Pana osobistą potrzebą, czy była to właśnie propozycja dyrekcji?

– Tak, to była moja potrzeba. Uważam, że to jest fascynujący tekst, który rzeczywiście na takim etapie naszej rzeczywistości bardzo pięknie opowiada o tym, co jest na zewnątrz, na ulicach, ale i o tym, co ciągle jeszcze jest w nas. Chodzi tu o tę tradycję romantyczną, do której się podchodzi strasznie analitycznie, bezczelnie i ironicznie. To właśnie jest piękne.

– O czym Pan chciał powiedzieć widzowi poprzez przedstawienie „Fanta\$y”?

– Zawsze staram się być wierny autorowi, nawet jeżeli jest to wierność nie taka bezpośrednia i nie wprost. Myślę, że tak jest i w tym przypadku. To nie jest dramat romantyczny i nie z takim założeniem był pisany. To jest dramat antyromantyczny, który bierze się za bary z romantyzmem, który stara się pokazać fałsz dramatu romantycznego i ślepa uliczkę, w którą polska literatura, polski duch i polski stan umysłowości zabrnął. Myślę, że ciągle ten rodzaj romantycznej umysłowości w nas tkwi i zawiera w sobie mnóstwo pierwiastków destrukcyjnych – pięknie zakłamuje się rzeczywistość, która jest bolesna, brutalna i okropna. Nie widzimy tej rzeczywistości taką, jaka ona jest naprawdę, wolimy ubrać ją w piękne słowa. I im nikczemniejsze są intencje, im bardziej straszna jest rzeczywistość, tym piękniejszych słów używa się do jej opakowania. To nie jest tylko opowieść, z którą mamy do czynienia tylko wtedy, kiedy włączymy telewizor i patrzymy na polityków. To wszystko obecne jest w nas samych, w naszym życiu rodzinnym, w naszych małych i dużych interesach, które robimy. O tym właśnie jest „Fanta\$y”. Jestem głęboko przekonany, że powstawał z absolutnego poczucia rozpaczliwej spowodowanej tym, że tak

się okłamujemy wzajemnie. I samych siebie też. Dziś mamy do czynienia dokładnie z taką samą sytuacją. Akcent jest tu położony na pieniądze, na to, co można sprzedać, co można kupić i jak pięknie można to ubrać w jedenastozgłoskowiec. Pomyślałem, że to jest bardzo interesujące dzisiaj i że być może zainteresuje widzów, którzy odnajdą w tym siebie, swoje problemy. Ja nie mam poczucia wyższości moralnej nad postaciami dramatu, nad którymi pracuję w teatrze, bo też się czuję czasem zakłamany i czasem uważam, że moja polskość oparta na romantycznej tradycji, której gdzie indziej nie rozumieją, jest podszyta obłudą i fałszem.

– Ile Jana Kłaty jest w przedstawieniach Kłaty? Jak bardzo odzwierciedlają one Pana osobiste poglądy i sytuacje, z którymi się Pan utożsamia?

– Oczywiście te przedstawienia odzwierciedlają w dużym stopniu moje poglądy, przekonania, moją obserwację rzeczywistości i to, co mnie w niej boli, porusza. Uważam, że to jest konieczne, inaczej bym kłamał, oszukiwał widza. Nie wiem, co innego mógłbym robić? Może rewię? Może świadczenie tak zwanych usługi dla ludności, czyli opowiadanie ludziom tego, co będzie miłe, sympatyczne i nie naruszy ich dobrego samopoczucia wieczorem, żeby mogli potem pójść na kolację i dobrze trawić. To mnie nie interesuje. Typ publiczności, która przychodzi do teatru po to, żeby zrobić sobie miłą rozbiegówkę przed kolacją, pośmiać się i później o wszystkim zapomnieć, też mnie w ogóle nie interesuje. Myślę, że jest dużo osób wartych i godnych tego, żeby rozmawiać z nimi poważnie, a nie dostarczać im tylko rozrywki czy – przepraszam za wyrażenie – rozrywać ich, bo oni się tak czasem rozrywają aż na kawałki, przykro na to patrzeć. Teatr nie jest do tego powołany, przynajmniej ten teatr wysoki, żeby dbać tylko o to, by spektakle się zwracały i żeby było przyjemnie, miło i sympatycznie. Ja nie mam też takiego przymusu – jak np. moi koledzy filmowcy – że to, co robię, musi być bardzo merkantylne. U mnie nie jest. I nie musi być. To jest wielki kolejny plus i przewaga teatru nad filmem.

– Często bardzo mocno okraja Pan oryginalny tekst, przez co aktorzy – jak sami o tym mówią – dostają tylko „strzępki ról”. Jak wygląda Pana praca z aktorem?

– Zawsze czytam bardzo uważnie cały tekst, wbrew temu, co mi się niekiedy zarzuca. To, że w moich spektaklach nie ma całego oryginalnego tekstu, nie świadczy o tym, że reszty tekstu nie przeczytałem. Czasem dużo lepsze dla przedstawienia jest niepokazanie bezpośrednio i dosłownie całego tekstu. A jeżeli chodzi o pracę z aktorami, to jak to śpiewa jeden wybitny wokalista z Lublina, „do tanga trzeba dwojga”.

W różnych spektaklach różnie z tym dwojgiem bywa. To nie jest tylko tak – jak czasem twierdzą aktorzy – że są reżyserzy, którzy dobrze pracują z aktorem. Muszą być też aktorzy, którzy dobrze pracują z reżyserem. To nie jest też tak, że reżyser będzie prowadził aktora za rączkę, będzie podpowiadał mu środki aktorskie czy poszczególne rozwiązania warsztatowe i będzie podpowiadał mu jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które aktor musi sam odrobić w domu jako swoją pracę domową. Albo musi mieć po prostu fantastyczny warsztat, dobrą wolę do tego, żeby na tych strzępkach ról ugrać więcej niż na pełnej roli, która ma wszystkie tysiące wersów i słów. Ja bardzo często daję aktorom strzępki ról, ale daję im coś nieskończenie więcej, niż mogliby wyciągnąć z reszty tych strzępków. Mianowicie daję im świat. Mało który reżyser w Polsce daje aktorom świat, w którym oni funkcjonują. Ja od pierwszej próby opowiadam aktorom, na czym polega ten świat. W przypadku „Fanta\$ego” na przykład mówiłem o tym, że nie jesteśmy na Podolu w roku 1834, jesteśmy gdzie indziej. To jest rzeczywistość, którą oni znają, z którą mogą się utożsamić. Tak samo postaci są takie, jakie mogą znać czy to z autopsji, czy z obserwacji. To powinno być bliskie, z całą pewnością bliższe niż realia dawnego Podola. To jest jedna ważna rzecz. Drugą istotną sprawą jest całe tło, na które składa się muzyka i tworzone obrazy. Tutaj też aktor musi sam popracować, ja mu nie będę opowiadał, w jaki sposób, jakim gestem ma pokazać, że mu właśnie przed chwilą obcięto trzy palce. Im lepszy aktor, z którym się pracuje, tym mniej musimy się razem koncentrować na takich drobiazgach. Bardzo często jest tak, że aktorzy, mając dany taki świat, mając poprowadzone, zaznaczone takie punkty, łączą to wszystko linią, która

jest niesamowita, i która przekracza moje najśmielsze oczekiwania wobec aktorów. Nie ma jednego sposobu pracy z aktorem, tak jak nie ma jednego sposobu powstawania teatru, nie ma jednego sposobu robienia tekstu klasycznego czy jakiegokolwiek innego. Jeżeli ktoś twierdzi odwrotnie, to ja twierdzę, że jest to kłamstwo, które tak naprawdę jest pochwałą przeciętności i zadowalania się byle czym. Bogactwo teatru jest jego pięknem, a wszelkie ograniczenia i złote maksymy są po prostu nic niewarte.

– Co w takim razie z aktorami nieprofesjonalnymi, amatorami, których Pan często do swoich przedstawień angażuje? Dlaczego Pan ich zaprasza do współpracy?

– Różnie bywa z pracą z takimi osobami. Są tacy, którzy się sprawdzają naprawdę świetnie, inni gorzej. Zależy to w dużej mierze od tego, jakie mają zadanie. Należy zawsze pamiętać, że to nie są profesjonalni aktorzy. Ważne jest natomiast to, po co się udział tych ludzi w przedstawieniu wykorzystuje. Ja wykorzystuję bardzo często po to, żeby właśnie czasem pokazać fałsz aktorstwa zawodowego, żeby skrzyżować twarz nawykłą do mimiki, z twarzą która naprawdę jest smutna przez całe życie, albo naprawdę przez całe życie jest wesoła. I np. to świadectwo twarzy ludzi z Wałbrzycha, bojarów w „... córce Fizdejki” jest czymś, na czym jest zbudowany ten spektakl. Bez nich by tego nie było. W ich oczach, twarzach jest cała prawda o życiu. To jest to, co filozofowie pisali o świadectwie twarzy i o całej teologii twarzy. Tego nie mają aktorzy, bo aktor ma być z zasady uniwersalny.

Jan Klata

Reżyser teatralny, dramaturg (ur. 1973 r.). Był asystentem Jerzego Grzegorzewskiego przy „La bohème” wg Stanisława Wyspiańskiego w warszawskim Teatrze Studio (1995), Jerzego Jarockiego przy spektaklu „Grzebanie” Jarockiego wg S. I. Witkiewicza w krakowskim Starym Teatrze (1996) oraz Krystiana Lupy przy „Platonowie wiśniowym i oliwkowym” wg A. Czechowa w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie (1996). Pierwszą samodzielną realizacją Klata na zawodowej scenie był „Rewizor” M. Gogola przygotowany w Teatrze im. Szaniawskiego w Wałbrzychu (2003), uznany za jeden z najciekawszych debiutów ostatnich lat. Następny był „Uśmiech grejpfruta” według własnego tekstu (sztukę wystawił Teatr Polski we Wrocławiu). W 2004 r. we wrocławskim Teatrze Współczesnym Klata zrealizował „Lochy Watykanu” wg André Gide’a (nagroda w dziedzinie reżyserii na 3. Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy „za próbę wypracowania osobnego języka teatralnego”), w 2004 – spektakl wg „Hamleta” Williama Shakespeare’a przygotowany dla „Teatru Wybrzeże” w Gdańsku, grany w jednej z hal Stoczni Gdańskiej, „... córka Fizdejki” wg dramatu „Janulka, córka Fizdejki” Witkacego (Teatr im. Szaniawskiego w Wałbrzychu), w 2005 r. – „Nakręcana pomarańcza” wg powieści „Mechaniczna pomarańcza” Anthony’ego Burgessa (Teatr Współczesny we Wrocławiu we współpracy z Wrocławskim Teatrem Pantomimy), „Fanta\$y” wg dramatu „Fantazy” Juliusza Słowackiego – Teatr Wybrzeże w Gdańsku, w 2006 r. – „Trzy stygmaty Palmera Eldritch’a” wg powieści Philipa K. Dicka – Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie.

Laureat „paszportu Polityki” (2006) – za „nowatorskie i odważne odczytywanie klasyki, za pasję i upór, z jakim diagnozuje stan polskiej rzeczywistości i bada siłę narodowych mitów”.

– Czy jest coś, czego by Pan na pewno w teatrze nie pokazał? Są według Pana jakieś granice i czy w ogóle możemy je wyznaczać?

– Ja już zrobiłem sceny, których nie zdecydowałem się potem pokazać w teatrze, bo były według mnie za mocne. Były takie sceny np. w „Lochach Watykanu”, które zdecydowałem się zdjąć na drugiej próbie generalnej. Teoretycznie nie można jednak wyznaczyć jakichś granic. Uważam jednak, że zupełnie bezsensowne jest opowiadanie o „potędze smaku”, czego nadużywa wielu tych, którzy się uważają za krytyków teatralnych. Powiedzenie Zbigniewa Herberta o „potędze smaku” jest wykorzystywane przez każdą miernotę teatralną w tym kraju. „Ze smakiem zrobiony spektakl” – to jest rzeczywiście wspaniałe! Specjalnie to tak ironicznie podkreślam, bo naprawdę o „potędze smaku” w tym teatralnym kontekście nie da się już słuchać.

– Aktor Marcin Czarnik często porównuje Pana sposób pracy ze sposobem pracy Krystiana Lupy. Czy rzeczywiście Krystian Lupa był dla Pana w jakimś sensie wzorem czy mistrzem? Czego istotnego się Pan od niego nauczył?

– Ja uczyłem się teatru od czterech osób. U trzech z nich byłem asystentem, a u czwartej byłem nieudolnym uczniem, który się stawał i nie miał – jak się potem okazało – racji. Najpierw była asystentura u Jerzego Grzegorzewskiego, który nauczył mnie, że w teatrze tak naprawdę można zrobić wszystko, pokazał mi wolność. Drugim ważnym momentem była asystentura u Jerzego Jarockiego, który pokazał mi jak ważna w teatrze jest żelazna dyscyplina, która zaczyna się w głowie reżysera na długo przed tym, zanim ten zdecyduje się, jaki tekst robić. Trzeba najpierw wykazać wielką konsekwencję i bezwzględność względem siebie, a później to dopiero egzekwować od innych. Krystian Lupa pokazał mi natomiast rodzaj takiego niesamowitego wszechświata, który można stworzyć, takiego zupełnie ezoterycznego, na pograniczu obłądu. Każdy z nich nauczył mnie więc czegoś innego, bo to są bardzo różne rzeczy. Każdy z tych reżyserów robi przecież zupełnie inny teatr, a ja się staram nie naśladować teatru żadnego z nich. Czwartą osobą był Mikołaj Grabowski, który nauczył mnie, że nie ma niczego bardziej zwodniczego w teatrze, niż wspomniana już przeze mnie „potęga smaku”. On pokazał



Eliza Borowska w scenie z „Fanta\$ego” (zdjęcie z archiwum Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu)

mi, że teatr tak naprawdę jest z natury cyrkiem, że służy temu, żeby ludzie się śmiali, płakali, łapali za brzuchy i za głowy i że życiem postaci na scenie wcale nie rządzi głowa, tylko często coś zupełnie innego. Ja – jako dobrze wychowany chłopiec z dobrego domu, po dobrym liceum – nie potrafiłem tego zaakceptować, bo ja na początku byłem właśnie nastawiony bardzo na tę „potęgę smaku”. To jest więc czwarta osoba, która mi zupełnie coś innego pokazała. Paradoksalne jest to, że o ile w stosunku do tych pierwszych trzech osób ja od razu miałem świadomość, jak ważne jest to, co mi dają i co ja mogę od nich wziąć, to właśnie w przypadku Mikołaja Grabowskiego potrzebowiałem czasu – trwało to długie lata, nim przekonałem się, że to on miał rację. Nie nazwałbym jednak tych reżyserów moimi mistrzami, bo moimi mistrzami są muzycy.

– Dziękuję za rozmowę.

Komizm i odwaga

Według Sigmunda Freuda nie zrobimy we śnie niczego, czego nie zrobimy w rzeczywistości. Sen jest oczekiwaniem na powzięcie decyzji, której na jawie nie potrafimy dokonać. Przypomina projekcję w kinie, podczas której boimy się, śmiejemy i oklaskujemy samych siebie. Budzimy się nierozpoznani, z rachunkiem doświadczeń i czynów, których nie potrafimy sobie przypisać. Pozostając na zewnątrz snienia, w sferze nieuświadomionych pragnień, nasz jedyny cel staje się nieosiągalny, ponieważ ze wspomnień o słabościach biorą się wszelkie możliwe uprzedzenia. Od uprzedzeń nie można uciec, tak jak nie można zrezygnować z codziennego snu. Słabość rodzi jednak bunt, niezgodę na obecny stan rzeczy. Odwaga jest niemożnością, która nie chce być sobą. Sen oferuje możliwości – kino – ich iluzję i skromną obietnicę zrozumienia rzeczywistości. Dzięki uznaniu podobieństw obu tych pojęć film zapracował na całą swą historię.

Komizm wyłamuje się ze standardów i nie podlega klasyfikacji, ma działanie uzdrawiające. Śmiechowi przypisuje się właściwości bezpośrednio oddziaływające na podstawy życia i temperament człowieka. W starożytności słowo „humor” oznaczało ciecz albo soki, od których zależało zdrowie i choroba. Założeniem komizmu w najczystszej formie jest wywołanie optymizmu, stanu duchowego zdrowia. W komedii najwyższego stopnia wszystko jest dozwolone. Jej charakterystyczną cechą jest pogardliwy stosunek do reguły, zgodnie z którą człowiek staje się czymś więcej, ponieważ wątpi. Wątpiwości są dobre dla ludzi pozbawionych poczucia humoru. Porażka, czyli skutek nadmiernych wątpiwości, istnieje po to, by ją ośmieszyć. Charles Chaplin nie miał zastrzeżeń co do powagi kwestii, których podejmował się w swoich filmach, zwłaszcza jeśli dotyczyły ludzkiego losu. Pytany przez H. G. Wellsa o podejście do pracy, odpowiadał jednak przewrotnie, że widzi w niej wyłącznie dziecinną zabawę¹. Jako artysta wolał pocieszać niż niepokoić, dla niego najważniejsza była rozrywka. Po premierze „Dyktatora”, gdy pewien francuski hrabia nie zgodził się z jego oskarżającym punktem widzenia, Chaplin uciał krótko: „Ostatecznie to jest komedia”².

Mały człowieczek o wyjątkowej ruchliwości zwykle pojawia się znikąd w nedorzecznym stroju. Za duże obwisające spodnie, ciasna marynarka, za mały melonik, wielkie buty oraz bambusowa laseczka – wszystko to ma zadanie potęgowania i zarazem neutralizowania nedorzeczności. Sztuka ma swojego bohatera, którego zewnętrzne cechy zwykle są odpowiednikiem poglądu na temat człowieka w ogóle, wiary w jego możliwości. Przykładowo olbrzym będzie stanowił o rozwoju bez

żadnych ograniczeń. Chaplin cały jest komedią dell’arte w jej żywołości i braku szacunku do obyczajowych zasad. Charlie kręci młynek swoją laską, jakby zwił ją powietrze. Kołysze się na wszystkie strony niczym jakiś wielki kaczor upewniony o własnej godności. Przemyka w tłumie, podbiera największe ciastko z talerza i przypadkowo zwraca na siebie uwagę, wbijając koniec laski w bok jakiegoś nieszczęśnika. Przeprasza, szarpie się z trzema przeciwnikami naraz, posyła ciastko w twarz bogatej damy, kłania się na lewo i prawo, a kiedy przeciwnik odwraca się plecami, Charlie z wyrazem twarzy, jak gdyby robił coś w imieniu całej ludzkości, wymierza mu karę w postaci kopniaka w zadek. W tym samym momencie bierze nogi za pas, oczyszczając sobie drogę niezawodną laseczką. Nie zapomina przy



Charlie Chaplin (kadr z filmu „Verdoux”)

tem odwrócić się w stronę kamery i unieść melonik na pożegnanie.

Wszystko, co komiczne, bierze się z wysiłku, poprzez który stara się być czymś, czym nie jest. Arystoteles twierdził, że śmieszność to pomyłka i brzydota, które nie sprawiają bólu i szkody³. Śmieszność jest czymś z innego świata. Rzecz bezwartościowa chce być wartościową i zgodnie z przekonaniem, że nie ma rzeczy bezwartościowych, staje się ważna przez to, że budzi śmiech, siłą napędową życia. Szaleństwo nie jest śmieszne, wzbudza raczej litość. Ale kiedy szaleniec za wszelką cenę stara się uchodzić za zdrowego, staje się

¹ Zob. Charles Chaplin, *Moja autobiografia*, Warszawa 1993, s. 305.

² Tamże, s. 454.

³ Zob. Arystoteles, *Poetyka*, Wrocław 1983, rozdz. V, s. 14.



Charlie Chaplin w filmie „Cyrk”

śmieszny. Kostium Charliego odzwierciedla jego charakter. Charlie jest przeświadczony o własnej dystynkcji. Tym, w co wierzy najmocniej w świecie, jest on sam, nieomylnie polega na poczuciu własnej wartości. W swoim groteskowym meloniku, gigantycznych butach i wyprężonej postawie widzi cechy, które świadczą o jego człowieczeństwie. Zgodnie z własnym systemem wartości, zewnątrznie niczym nie różni się od bogatych mieszczan, o których codziennie potyka się na ulicy. Jest sobą, nie ma nic i dlatego wywołuje śmieszność. Staje się symbolem odwagi w najczystszej postaci, ponieważ każdą kolejną katastrofę, która nieoczekiwanie na niego spada, traktuje jako element porządku świata. Dla nas absurdalne zdarzenie objawia się w śmieszności, dla Charliego jest po prostu regułą istnienia. Całe życie trawi na tym, żeby godnie stawić jej czoła.

Sztuka komizmu opiera się na analogii zabawy. Tam jednocześnie wierzy się w przedmioty nierealne i zdaje sobie sprawę z tego, że nie istnieją. Można to odnieść do przykładu chłopców bawiących się w wojnę, gotowych przerwać najbardziej dramatyczne starcie, gdy w oknie rozlegnie się głos matki wzywającej na obiad. Zabawa polega na uwolnieniu siły twórczej, wiąże się z rozkoszą wyładowania energii i kreowania rzeczywistości. Nieumiejętność zajęcia postawy zabawowej charakteryzuje formację duchową fanatyka. Charlie w każdym ze swoich filmów musi uporać się z kilkoma takimi typami. Fanatyzmowi obcy jest zabawowy wymiar rzeczy. Fanatyk wyznaje kult materii, tworzy swój autoportret, by nieudolnie naśladownictwo czcić później jako jedyny pewnik na temat własnej istoty. Nie potrafi przyjąć świata za prawdziwy i nieprawdziwy zarazem. Dla niego autentyczny jest jedynie świat rzeczywisty. Charlie ucieka przed dziesiątkami lokajów, strażników celnych, policjantów, kelnerów, przed wścikłymi arystokratami, którym przez przypadek wylał zupę na głowę albo wrzucił ich żonom porcję lodów za dekolt. Chowa się za firaną, próbuje zakopać stopę policjanta w piasku, licząc, że razem ze stopą zniknie sam policjant, zakłada abażur na głowę i udaje lampę

po to tylko, żeby zakpić z tych, którzy zbyt głęboką wagę przywiązują do realnego świata, marnując czas na tępienie jego niedorzeczności.

Antagoniści w filmach Chaplina są głęboko wrośnięci w fizyczną rzeczywistość, ale nie pozostają pozbawieni świadomości. Zdają sobie sprawę z własnej śmieszności i z całej siły starają się ten fakt ukryć. Wszystkie ataki na Charliego wydają się żałośnie nieskuteczne, ponieważ błyskawicznie potrafi się po nich podnieść, umacniany jakąś wyższą siłą. Jest jak kolorowa piłka, którą rzuca się o ścianę, a ona odbija się od niej nie tracąc nic ze swojej barwy, z magicznej właściwości piłki stworzonej wyłącznie do zabawy. Przez odwagę Charliego, ślepy instynkt, który każe mu stawać okoniem wobec silniejszych, można zrozumieć jego złość szerszenia z bambusową laseczką przystosowaną do funkcji żądła, za pomocą której stara się wytrącić z równowagi całą fałszywą powagę świata.

W filmie „Falszywy hrabia” Charlie pracuje jako krawiec i demaskuje swojego przełożonego, który podaje się za arystokratę. Za obietnicę milczenia razem z szefem wkrada się na przyjęcie bogaczy. Ponieważ los obu jest niepewny i obaj przyjmują reguły gry na tych samych warunkach, Charlie nie może się powstrzymać, by w trakcie uroczystości nie strzelić wątpliwemu hrabiemu jedzeniem w oczy, używając łyżki jako katapulty. Gra jest bowiem uniwersalną formą dającą przyzwolenie na dowolność. Do pewnego stopnia stanowi jedyne źródło manifestacji skrywanych wartości. W krótkim filmie „Za kulisami” Charlie najpierw jest nieudolnym rzemieślnikiem, później okłada ciastkami swojego majstra, ponieważ obaj musieli zastąpić na planie filmowym nieobecnych aktorów. Zawsze trafia do celu, na przekór poleceniom reżysera. Gruby brodacz jest zbyt wolny, żeby uchylić się przed pociskami. Nie potrafi przyjąć narzuconej mu roli i pozwala upokorzyć się własnej śmieszności. Przypomina aktorów pracujących nad dramatem w atelier obok, w których przez przypadek trafiają pociski, pozostawiając ich w niemym zdumieniu. Do końca próbuje zachować powagę, bezradny wobec poczucia wyższości, do jakiego dał okazję podwładnemu, który zemścił się za swoje wszystkie krzywdy. Gdy obaj wychodzą z ukrycia, olbrzymi szef oblepiony lukrem wydaje się całym sobą wyrażać zdanie: „To wcale nie jest śmieszne!” Charlie może na to wzruszyć jedynie ramionami, mówiąc: „Wiem, że nie jest, ale nic na to nie poradzę!”

Cała filozofia komizmu polega na podważeniu stereotypu, iż dyrektor jest czymś duchowo więcej od pracownika, a właściciel sklepu posiada cechy osobowości przewyższające ekspedienta. Artysta tworzy komedię, by urzeczywistnić swój ideał wolności. Człowiek igra z naturą, dąży do wolności, która zwykle kojarzy mu się z materialną niezależnością, odnawia swoją nadzieję, a natura kpi z niego, ośmiesza jego wolność, ograniczoną na rzecz wolności wyższej, bardziej doskonałej.

Dowcip demaskuje to, co ukryte, tak jak karikatúra przesadnie ujawnia wady. Uczciwość bywa

jedynie powstrzymaną skłonnością do oszustwa. Kiedy więc pewna normalność zdradza się, staje się naruszeniem normy. Nienormalność zwykle jest śmieszna. Chaplin przekształca możliwą śmieszność w śmieszność rzeczywistości. W komedii wzniosłość jest nieskończenie wielka, a komiczność nieskończenie błaha, ale tym co nieskończenie błahę może być tylko bezideowość, zwątpienie i brak treści. Dyrektor mógłby wezwać pracownika do gabinetu, rzucić tam w niego przedmiotami i używać wulgaryzmów tylko dlatego, że pracownik wyda mu się mało wydajny, a on sam czuje się silniejszy od niego, ponieważ posiada władzę. Ale wystarczy, aby ten bardziej zależny dowiedział się, jak jego zwierzchnik martwi się codziennie o to, że przestanie się nim interesować kochanka, że pozna wszystkie jego uzasadnione bądź urojone kompleksy, że codziennie rano dyrektor ze wstydem patrzy w lustro, ponieważ uważa się za człowieka skończonego, zasypia z myślą, że niczego w życiu nie dokonał, nie dotrzymał żadnej obietnicy, którą dał sobie, nie wybrał się nigdy w żadną podróż, a jego dzieci uważają go za złego ojca, czego powodów nie potrafi zrozumieć. Pewność pracownika każdego dnia będzie rosła równomiernie z utratą wiary w siebie dyrektora. Nawet jeśli pracownik codziennie będzie wysłuchiwał obelg pod swoim adresem, świadomość całej prawdy o człowieku prędzej każe mu dać się zabić niż złamać.

Chaplin napisał kiedyś: „Badałem człowieka, ponieważ nie znając go, nie mógłbym niczego dokonać w moim zawodzie”⁴. Kiedy indziej stwierdził: „Moja sztuka jest dla ludzi”⁵. Był przekonany, iż publiczność przejawia skłonności do przeżywania takich samych emocji, jakie przeżywa aktor⁶, łącznie z jego brakiem wiary w siebie i niechęcią do życia. Żaden człowiek nie może funkcjonować bez przestrzegania norm ogólnoludzkich, dlatego potrzebna jest śmieszność, która ukazuje odstępstwa od tych norm, posiada niezależny, uniwersalny charakter i jest wyzwolona od wszystkich społecznych uwarunkowań. Cesare Zavattini powołuje się na Chaplina, uznając, że na świecie jest wiele milionów ludzi, którzy jedynie dzięki lepszemu poznaniu rzeczywistości mogą oczekiwać od innych zrozumienia i sprawiedliwości⁷. W innym wypadku nigdy nie dowiedzą się, jaką okazję stracili. Komedie zawsze była i będzie środkiem akceptującym wielowymiarowość życia. Najważniejsze, aby sztuka służyła prawdzie, a prawda jest poznaniem rzeczywistości. Nie należy bać się sztuki, która przestrzega takiej zasady⁸. Izaak Passi twierdził, że „sztuka jest tym, co czyni śmieszność wieczną”⁹, czymś, co bierze swoją siłę z istoty prawdy, ze związku z przyziemnością i codziennością. Komizm to oryginalność wychodząca przeciw schema-

tom, zwycięstwo jednostki nad prawem ograniczającym jej wolność do nieskrępowanego życia. W starożytnym teatrze greckim aktorzy komiczni nosili buty na niskim obcasie, inaczej niż tragiczni – byli bliżsi rzeczywistości, prawdziwsi w popołitości, cali ogarnięci przez pierwotny żywioł.

Ponadczasowość kina polega na powtórzeniu, na ciągłości tego, co wspólne. Jest cytowaniem czegoś identycznego, wzbogaconego o świeże spojrzenie. Cytat przyznaje określoną rację i równocześnie jest odtworzeniem pewnej myśli z przeznaczeniem jej do własnych celów. Cel wypełni się, gdy sztuka umożliwi poznanie. Myśl traci swojego autora, kiedy dotyka prawdy. Prawda nie ma autora. Jej absolutność przejawia się w muzyce, która stanowi wyzwanie dla intuicji i jest cytowaniem bez przyznania się do cytowania. Można wnioskować, że za każdym razem, gdy oczekujemy czegoś nowego, odnajdujemy w niej coś znajomego. Wielkich kompozycji po raz pierwszy słucha się z uczuciem, jakby były dobrze znane. W niespodziewanym momencie, po to tylko, by uchylić się od zdemaskowania, cytaty deformuje się, przestaje być czymś oficjalnym na korzyść nowego odkrycia, które jednakże bierze się ze wspólnego źródła, tak jak optymizm bywa pesymizmem, z którego rezygnuje się w ostatniej chwili.

Ten sam zegar wiszący na ścianie, który pojawia się na planie dwóch różnych filmów, może być pamiątką po spalonym domu albo miejscem, w którym ukryto imię mordercy zapisane na kartce. W filmie nie chodzi jednak o samą obecność zegara, lecz o to, co wprawia go w ruch. Przeświadczenie o ponadczasowości rzeczy zakłada, że zegar nigdy nie przestanie bić. Od filmów Chaplina spodziewamy się, że zawsze oferują, czego oczekujemy. Wynika to z przekonania, że jedynie sztuka nie zawodzi. W jego komediach zegarem na ścianie jest gag, który nadaje rytm akcji. Ich dziedzictwo widać w każdym współczesnym dziele filmowym, którego odbiorca choć raz jeden wybuchł śmiechem. Najtrudniej określić w jakich sytuacjach i dlaczego ludzie się śmieją, istotne jest, że śmieją się szczerze. Śmieszność uchodzi za zależną od rozumu i chociaż za pomocą intelektu ustalamy sprzeczności, śmiejemy się wcześniej niż pomyślimy. W śmiechu jest coś z karnawałowego tańca, który grzebie i odradza, wyśmiewa i cały jest radością. Porusza się w kole i upatruje wokół czegoś niewidzialnego, co istnieje na prawach uznanych przez serce, nie intelekt. W sztuce, biorącej się z takich podstaw, chodzi o aktualną wiedzę, którą niosą o sobie pokolenia, a ta nie musi wiązać się z historią, lecz z dążeniem do spełniania pragnień.

Wielka dewiza szekspirowskiego teatru The Globe cały świat uznała za scenę, a wszystkich ludzi za aktorów grających swoje role. Renesans pierwszy pokazał, że śmieszność i wzniosłość istnieją obok siebie, przenikają się, przechodzą jedna w drugą. Uznał triumf indywidualizmu, przyznał sztyderstwu siłę. Wyniósł się ponad rzeczywistość, marną jednostkę nauczył

⁴ Marcel Martin, *Chaplin*, Warszawa 1977. s. 103.

⁵ Tamże, s. 104.

⁶ Zob. tamże, s. 109.

⁷ Zob. tamże, s. 159.

⁸ Zob. tamże.

⁹ Izaak Passi, *Powaga śmieszności*, Warszawa 1980, s. 39.

śmiechu ze wszystkiego, cały oddał się cynizmowi i próżności. Dla Szekspira komizm w tragedii był odzwierciedleniem życia, będącego mieszaniną żartu i powagi. Ze swoim pragnieniem oderwania widza od rzeczywistości wpędził go w stan zapomnienia, w nadzieję wiecznego snu. W jego komediach ludzie żyją dla radości i miłości. Był pierwszym, który zamknął śmieszność w każdym elemencie materii i udowodnił, jak złośliwe kopniaki mogą działać kojąco na niepokoje ludzi prawomyślnych.

Charlie nie jest świętym ani bohaterem, raczej chodzącą sprzecznością ze swoim tchórzostwem i odwagą, ale Pan Bóg zesłał mu dar w postaci perfidii, którą wykorzystuje jako środek obrony przed bogatymi i złymi. Nigdy się nie zmienia, reprezentuje jedną cechę, przeciwstawia inteligencję sile, dzięki czemu ukazuje wszelkie możliwości śmieszności. Poniekąd wszyscy jesteśmy błaznami, współnikami śmieszności, mieścimy się w jej zakresie, obnosimy się z nią na ulicy, śmieszność odbija się wraz z nami w wystawach sklepowych, kiedy próbujemy udawać kogoś, kim nie jesteśmy. Wieczne śmieszności, prastabości rodzaju ludzkiego cały nasz świat potrafią pociągnąć na dno jak dowolna tragedia, która zubożętnia na wszelkie aspekty życia poza nią samą. Charlie widzi więcej, więcej wie i mocno pragnie być wyłącznie sobą, a swoje dążenie do spełniania pragnień traktuje jako próbę sił, otwarcie rzucając wyzwanie całemu społeczeństwu, w którym ze wszelką cenę chce powiedzieć ostatnie słowo. W „Dyktatorze” młoda Żydówka mówi do Charliego – fryzjera: „Jesteś niezwykle odważny. Wszyscy musimy walczyć”. Kiedy pojawiają się szturmowcy z zamiarem powieszenia go na ulicznej lampie, zjawia się oficer niemiecki, dawny kompan z czasów I wojny, pytając żołnierzy, czyż kazał im mordować ludzi na ulicy. Odzywa się jeden z żandarmów: „Stawiał opór moim ludziom, gdy znaczyli jego okna”. „Odważny człowiek, jeśli stawiał opór”, odpowiada oficer i poznaje w Charliem towarzysza, który uratował mu kiedyś życie.

Komizm Chaplina sprowadza się do paradoksu. Charlie manipuluje rzeczywistością, rzeczom niebezpiecznym odbiera ich groźbę, jednak niektórych ambicji nigdy nie spełni, ponieważ pewnych przeszkód nie uda mu się przeskoczyć. Stąd słynna sentymentalność jego filmów. W chwili rozmywania się złudzeń bohater jest bardziej świadom swoich marzeń niż kiedykolwiek. I nie może zaprotestować, rzucając się w jeden ze swoich baletowych tańców albo posyłając salwę ciastek w kierunku przeciwnika – ma przed sobą coś, co kocha. Nie czerpie siły z urojeń, w tym właśnie momencie własna bezsilność objawia mu się w całym kształcie. W „Gorączce złota” patrzy ze smutkiem w ciemne podwórce, skąd dochodzą odgłosy noworocznej zabawy. Widzimy jego rozpacz, wiedząc przy tym, że doświadczamy tylko chwili. Chodzi o głęboki smutek i równie głęboką nadzieję zarazem, o czujność, w której pograża się chory, gdy przeleżawszy tygodnie w łóżku, zdaje sobie sprawę, że za kilka dni wyzdrowieje. Mamy przed



Kadr z filmu „Dyktator”

sobą cały sens przemijania, który Charlie zamieni w wybuch śmiechu, jeśli tylko damy mu do tego okazję. Hannibal, według Tytusa Liwiusza, miał powiedzieć w momencie klęski, kiedy wypominano mu, że się śmieje: „Gdyby można zajrzeć w głąb serca, tak jak wzrokiem obserwuje się twarz człowieka, łatwo zauważylibyście, że ten śmiech, który ganicie, płynie nie z radości serca, lecz niemal z obłąkania z powodu nieszczęść. A jednak nie jest on wcale tak nie w porę, jak nie w porę są te wasze łzy bezsensowne i nie na miejscu”¹⁰.

Śmieszność i komizm są jak piękno, które do pełnej obecności potrzebuje człowieka. Istnieją wyłącznie dla podmiotu, komikowi śni się twarz jego publiczności. Nie ma w tym śnie strachu ani uprzedzeń. Silniejsza jest wiara w moc sprawczą zdarzeń, które dzieją się same, wywołane mechanizmem świata. Na tym polega odwaga istnienia kolorowej piłki niezmordowanie odbijającej się od ściany. Człowiek, który rozśmiesza, podobno sam musi płakać, kpiarzy bowiem ocenia się surowo. Ale też nie ma po co troszczyć się o sądy innych, wystarczy wiedzieć, jak ci, którzy oceniają drugich, nisko sądzą siebie. Śmiech to nagła radość, budząca się z jednego z miliona drobniaków, ze zrozumienia własnej wyższości w porównaniu z wadami innych lub też, w odniesieniu do własnej wady, ale poprzedniej, pozostawionej na zewnątrz śnienia.

Marcin Charlicki

Bibliografia:

1. Arystoteles, *Poetyka*, Wrocław 1983.
2. Chaplin Ch., *Moja autobiografia*, Warszawa 1993.
3. Freud S., *Dowcip i jego stosunek do nieświadomości*, Warszawa 1993.
4. Liwiusz T., *Dzieje od założenia miasta Rzymu (wybór)*, Wrocław 1955.
5. Martin M., *Chaplin*, Warszawa 1977.
6. Passi I., *Powaga śmieszności*, Warszawa 1980.

¹⁰ Tytus Liwiusz, *Dzieje od założenia miasta Rzymu (wybór)*, Wrocław 1955, s. 390.

Międzynarodowy Dzień Poezji w Opolu

21 marca przez większość z nas kojarzony jest głównie z pierwszym Dniem Wiosny, mało kto wie, iż tego samego dnia swoje święto obchodzi także poezja. Poezja współczesna, która przez Różewicza była pojmowana jako „walka o oddech”, dziś często sprowadzana jest na margines naszego życia, boczny tor w świecie nazbyt pospieszonym, pełnym zgiełku i niepozalutowanych spraw. Jednak warto choć na chwilę przystanąć i „napoetyzować się”. Miejscem, w którym można było naładować akumulatory słowem poetyckim stało się właśnie 21 marca br. Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego, gdzie doszło do spotkania znawców i miłośników poezji.

Spotkanie, zorganizowane przez Stowarzyszenie Młodych Poetów przy wsparciu Uniwersytetu Opolskiego, podzielone zostało na dwie części. Podczas pierwszej z nich przewodniczący jury **dr Jacek Gutorow** ogłosił, w imieniu swoim oraz pozostałych członków Komisji Sędziowskiej Konkursu: **dr. Adriana Glenia** oraz **dr. Jana Neuberga**, wyniki V Ogólnopolskiego Konkursu „O Gałązkę Oliwną” w kategorii „Za tom poezji”.

Jacek Gutorow – znany i ceniony poeta, krytycznie spoglądający na wszelkie przemiany we współczesnej poezji polskiej, zwrócił uwagę na wysoki poziom nadesłanych 34 tomików poetyckich, ich różnorodność językową oraz odrębność prezentowanych postaw poetyckich. Za najlepszy tom wierszy uznano *Kocie łby* (2004) **Mariusza Appela**, natomiast wśród wyróżnionych znaleźli się: **Jacek Dehnel** za *Wyprawę na południe*, **Mariusz Cezary Kosmala** za *Pieśni z pierwszego piętra* oraz **Elżbieta Michalska** z tomem *Naszyjnik z grązeli*. Ogłoszeniu wyników V edycji Ogólnopolskiego Konkursu „O Gałązkę Oliwną” towarzyszyła prezentacja nagrodzonych wierszy.

Gościem drugiej części spotkania był **dr Karol Maliszewski** – poeta, prozaik i krytyk literacki, absolwent filozofii na Uniwersytecie Wrocławskim. Wydał kilka zbiorów poetyckich – m.in.: *Dom i mrok* (1985), *Miasteczko – prośba o przestrzeń* (1988), *Rocznik sześćdziesiąty grzebie w papierach* (1996), czy *Rok w drodze* (2000), a także utworów prozą: *Dziennik pozorny* (1997), *Próby życia* (1998) i *Faramucha* (2001). Jako krytyk współpracuje z kilkoma czasopismami literackimi, jak „Opcje”, „Topos” czy „Studium”.

Podczas Dnia Poezji na Uniwersytecie Opolskim Maliszewski wygłosił wykład dotyczący stanu nowej poezji polskiej, mając na myśli poezję zamykającą się w ramach czasowych 1989–1999. Nowa poezja, w tym również polska, rozumiana jest przez niego jako „inny sposób rozmawiania”. Jeżeli można w kilku słowach zaledwie zasygnalizować temat

wykładu, to z pewnością warto zauważyć wpływ wzorca wiersza o'harystycznego na sposób konstruowania myśli i struktury utworów, m.in.: Podsiadły, Świetlickiego, Wilczka czy Jaworskiego. Zdaniem poety, lata 1989–1994 to „czas dominacji” tego modelu wiersza. Za jedną z centralnych postaci tego okresu uważany jest Marcin Świetlicki oraz Andrzej Sosnowski, „ideowy kontynuator” poezji Johna Ashbery'ego. Przytoczone powyżej nazwiska należałoby potraktować jako pewnego rodzaju hasła, za którymi kryje się najnowsza historia polskiej literatury, zjawiska, o których nie sposób pisać w kilku zdaniach. Warto więc sięgnąć po książki Karola Maliszewskiego, takie, jak choćby najnowsze: *Nowa poezja polska 1989–1999. Rozważania i uwagi* (2005), czy też *Rozproszone głosy* (2006).

Anna Dybka

Łukasz Zalewski

masz mnie Boże jakim mnie stworzyłeś

w pokoju było półjasno, zapalona na biurku
lampa nie oświetlała go w całości
za oknem topniał śnieg, naprzeciw
ktoś ścielił łóżko w sypialni

ty i ja

od podłogi odbijało się światło żarówki, pachniało terpentyną
słysząc było jak płuczesz pędzle i odkładasz na sztalugę.
twoja dłoń była ciepła, krwawiła ochrą,
sunęła po moim ciele, drgały napięte mięśnie...

i wieczór był wtedy ciepły, miasto kładło się spać,
zapach terpentyny, który wypełniał pokój mieszał się
z zapachem ciała,
ktoś z naprzeciwka wyłączył światło

dłonią malowałeś na moim ciele

Wiersz został nagrodzony na tegorocznym konkursie poetyckim Krajobrazy Słowa w Kędzierzynie-Koźlu. Łukasz Zalewski jest studentem kulturoznawstwa Uniwersytetu Opolskiego, przewodniczącym Stowarzyszenia Młodych Poetów. Należy do Klubu Suterena, interesuje się tańcem.

Adam Wierciński

Zapomniane cnoty

Zapomniane cnoty autorów, redaktorów, kastygatorów, adiustatorów i korektorów. I recenzentów. Wydaje książki, kto może. Trudno już czasem odróżnić wydawców ambitnych i rzetelnych od takich sobie. I w najlepszych oficynach ukazują się książki z niedoróbkami.

* * *

Poważne wydawnictwo ogłosiło – w kilku tomach – „Prace wybrane” znanego i wybitnego historyka. W jednym z tomów dziwne zdania o przedwczorajszych praktykach wydawniczych: *Trzeba się bardzo uważnie wczytać w „Zegar słoneczny” Jana Parandowskiego, aby się zorientować, że dzieciństwo autora tych uroczych wspomnień przebiegało w Wilnie [sic!]. Nawet w „Moralności pani Dulskiej” realia lwowskie zmieniono na krakowskie...*

Tych zdań nie mógłby przecież napisać wybitny historyk i wnikliwy czytelnik. Każdy jako tako wykształcony czytacz „Zegara słonecznego” (pierwsze wydanie ukazało się w 1953 roku) już na drugiej stronie „Zegara...” znajdzie wskazówkę: *wróble pierzchają przed kawkami nadlatującymi tu ze swoich mateczników pod Ossolineum*. I nie trzeba mu tłumaczyć, że Ossolineum było we Lwowie. I po co przenosić dzieciństwo arcyłowowskiego pisarza z nad Pełtwi nad Wilię? Redaktorzy pomylili miejsca i miasta.

Nikt też po wojnie nie zmieniał realiów w „Moralności pani Dulskiej” z lwowskich na krakowskie. Były od zawsze dwie wersje „Moralności...”, premiera odbyła się w Krakowie i wtedy (na początku XX wieku) zamieniono Wysoki Zamek na Kopiec Kościuszki, wsie podlwowskie na podkrakowskie. I grywano „Moralność...” w dwóch wersjach. A że w latach pięćdziesiątych Felicjanowi Dulskiemu pozwalano chodzić dla zdrowia tylko na Kopiec Kościuszki, to już inna sprawa.

* * *

W „Czytelniku” wydano dwa opasłe tomy listów Aleksandra Wata i listów do Wata (Warszawa 2005). Praca imponująca: listy odczytać, wybrać, zestawić, opatrzyć przypisami. Praca nie do przecenienia. W jednym z listów do Marii Czapskiej i Józefa Czapskiego Wat skarżył się na redakcję „Kultury”: *Nie ma takiego prawa, aby redaktor miał mieć smak i rozeznanie, ale – albo jak Kraus czy Niemojewski wypełnia się pismo wyłącznie własną pisaniną, albo – trochę skromności, mniej bombastyczno-dyktatorskiego pankowania, mniej Zosi-Samosi...* (I, s. 90).

Wzmiankę o Krausie i Niemojewskim edytorka opatrzyła uwagą: *Nie ustalono, o jakich czasopiśmiech Wat wspomina* (I, s. 91). W takim dobrym wydawnictwie nie znalazł się redaktor, który by odpowiedział, że Karl Kraus (1874–1936), sławny pisarz austriacki i publicysta, wydawał od 1874 do 1936 roku czasopismo „Die

Fackel”, w którym ogłaszał swoje teksty poświęcone kulturze języka (od 1911 był jedynym autorem). Andrzej Niemojewski (1864–1921) natomiast wydawał w Warszawie od 1906 roku „Myśl Niepodległa”, do śmierci ogłaszał tam swoje artykuły, inni autorzy nie pojawiali się za często na łamach „Myśli...”.

Nie znają Krausa i Niemojewskiego nawet w poważnym wydawnictwie. Zapomniane cnoty redaktorów, kastygatorów, adiustatorów etc. etc.

* * *

Maria Rodziewiczówna. Pisarka uwielbiana, krytykowana i wyśmiewana. Czytana już tyle lat. Ciągłe drażni, zdumiewa, wzrusza. Niekiedy śmieszy. Ciągłe popularna wśród tak różnych czytelników, ciągle, z takim uporem, spychana przez niektórych historyków literatury w stronę literatury trywialnej. Pisarka upoczcziwana. Kazimierz Czachowski przyznawał już przed wojną, że *tak zwana elita kulturalna po cichu pochłaniała jej powieści*.

Bardzo się złościł na pisarkę i jej utwory Zbigniew Żabicki, nazywał ją *klasykiem złej popularności* („Kultura” 1960, nr 14). Czego on nie wypisywał, pisarka według niego *wyraża również w sposób wyjątkowo wulgarny panujące nastroje antyurbanistyczne, zajmuje się apologią zagonowego groszorbstwa, a co gorsza ze wszystkich kart powieści Rodziewiczówny unosi się nieustanne szemranie zdrowasiek*. Taki niby to pryncypialny, klasowo słuszny krytyk. A o kulcie pracy ani wspomniał, o kulcie nauki (bohaterowie Rodziewiczówny studiują z zapalem, niekiedy o chłodzie i głodzie), ani się zająknął. I nie bał się śmieszności mimowolny humorysta.

Z uporem godnym ważniejszej sprawy pisywała – przed wojną już i po wojnie – Gabriela Pauszer-Klonowska o rzekomym plagiacie, jakiego się miała dopuścić Rodziewiczówna. Najślawniejsza jej powieść, „Dewajtis”, miała być plagiatem, naśladowaniem utworu niemieckiej pisarki, Ursuli Zöge Mantuffel – „Mark Albrecht”. Tyle lat pisywała o plagiacie Pauszer-Klonowska. I niczego właściwie nie dowiodła. Znany publicysta martwił się, że pisarka *pożera papier* i bezwstydnie zapewniał: *Rodziewiczówna kłamie zawsze bez względu na to, jak złote i szczerozłote miała serce [...], a raczej właśnie ze względu na to cholerne serce kłamie w wyjątkowo obłeśny sposób* („Kultura” 1976, nr 26). To brzmi!

W latach 1949–1955 nie wydawano książek Rodziewiczówny ze względów ideologicznych, wycofywano jej powieści z bibliotek. A później atakowano pisarkę i z innych względów. Również... gospodarczych. *Szkoda papieru* – ubolewała jeszcze w 1985 roku Pauszer-Klonowska („Polityka” 1985, nr 37). Ale i tak nie przebiła Cezarego Jellenty, który sto lat wcześniej z całą powagą przekonywał czytelników, że pisarka

tyle powieści wydaje niemal hurtem, gdyż potrzebuje kilkunastu tysięcy rubli na postawienie gorzelnii (zob. „Prawda” 1890, nr 59).

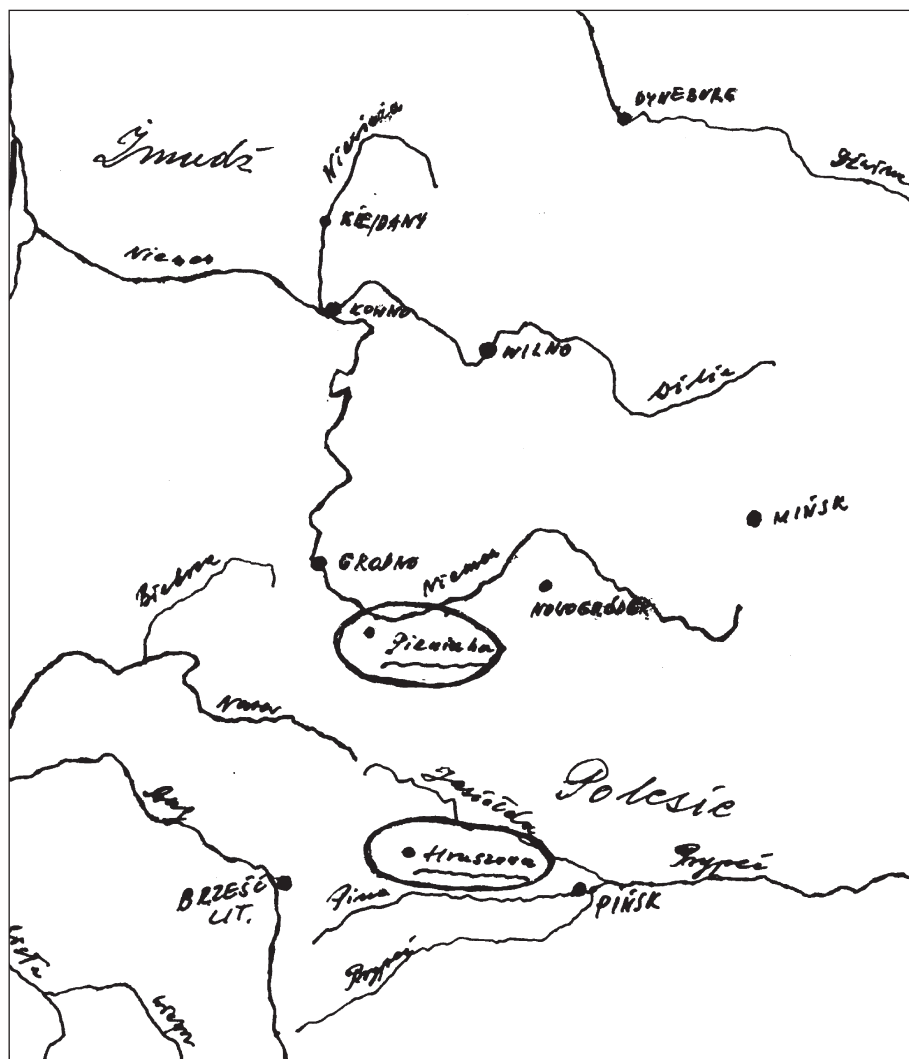
O krytykach osobliwego nabożeństwa mało kto już pamięta, a powieści – nie wszystkie, co oczywiste – popularnej od tylu lat autorki są ciągle czytane i budzą wiele emocji. Kilkanaście lat temu pisali o Rodziewiczównie Renata Gorczyńska (*Nieśmiertelna Rodziewiczówna*, „Kultura” 1988, nr 10) i Czesław Miłosz (*Rodziewiczówna*, „Kultura” 1991, nr 3; przedruk w: i d e m, *Szukanie ojczyzny*, Kraków 1992, 1996, 2001). Pisał Miłosz: *Nieodmienna popularność Rodziewiczówny nie może nie zastanawiać, skoro kataklizm historyczny zniszczył dwór i zaścianek, skąd jej postacie pochodzą, i zostawił jej kraj rodzinny poza granicami Polski. Nie wystarczy powołać się na to, że jej książki czyta się dobrze, chodzi tutaj pewnie o coś głębszego, o pewien etos nadal przechowywany i odradzający się przy lada okazji, dzięki czemu Rodziewiczówna jest odbierana jako najzupełniej swoja i własna.*

Tadeusz Nyczek, też wnikliwy czytacz, przyznał się, że i jego wzrusza staroświecka pisarka: *Niemal cała literatura drugiej połowy XX wieku, zarażona przez Kafkę, Joyce'a i Gombrowicza, wydaje się przepuszczona wyłącznie przez rozum i maszynę do pisania, a przyłożona do Rodziewiczówny okazuje się dziwnie sucha, sztywna i chłodna. Lubię staroświecki bezwstyd wzruszenia. Dawniej pisarze byli jakoś bardziej ludzcy* („Lektury obowiązkowe”, Kraków 2005, s. 19).

Popularna powieściopisarka nie jest właściwie znana. Paradoxs? Zbieg okoliczności? Zmowa obojętnych? Kilka książek napisano o niej i jej pisarstwie (pisali o Rodziewiczównie Anna Zahorska i Kazimierz Czachowski, Anna Martuszevska, Jan Głuszenia i Jan Dworak, Janina Szczeniak i Ewa Tierling-Śledź, książkę wspomnieniową Jadwigi Skirmuntówny też ogłoszono drukiem), ale i tak niewiele się wie o pisarce, która z całą powagą wyjaśniała: *Literatura nie jest moim głównym zajęciem ani fachem. Na literaturze nie znam się...* Gospodarstwo wiejskie i ornitologia bardziej ją zajmowały.

Apisarstwo Rodziewiczówny ciągle intryguje. Bawi nie tylko naiwnych czytelników. Za Wielką

Wodą znawcy literatury odkryli dla siebie „Kądział”. Tamtejsze feministki odkryją też pewnie niezłą powieść „Macierz”. I jeszcze się dowiedzą skądinąd, że taka niby to pocziwa pisarka z poleskiej głuszy jeszcze przed I wojną interesowała się buddyzmem i niemiecką filozofią drugiej połowy XIX wieku. Współcześni Litwini i Białorusini też odkryją niebawem dla siebie Rodziewiczównę; któż, jak ona, z takim znawstwem, przedstawić potrafił różne formy bytowania na ziemiach dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Z jaką swobodą poruszała się między Połogą a Mozyrzem, między Dźwiną a Prypecią, ile prawdy w powieściach baśnią podszytych o świecie wczorajszym, o codziennym życiu na prowincji, we dworach i dworkach, w zaściankach, na wsi i na przedmieściu. Pamięć języków, jakimi posługiwała się prowincja. I jeszcze dar odczuwania przyrody, tak charakterystyczny dla pisarzy polskich wywodzących się z Litwy historycznej (Mickiewicz, Syrokomla, Orzeszkowa, Weysenhoff, Wańkowicz, Józef Mackiewicz,



Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Żmudz, gdzie Pieniuha. Pieniuha i Hruszowa – miejscowości związane z Marią Rodziewiczówną. Rys. autor

Miłosz, Konwicky, Żakiewicz). Kto odczyta szyfry i nie-dopowiedzenia w powieści „Byli i będą”, kto podpowie „zielonym”, że bliska im ideowo pisarka napisała tyle lat temu „Lato leśnych ludzi”. A ile jeszcze można wyczytać w takich powieściach, jak „Czarny bóg”, „Ragnarök” czy „Kwiat lotosu”. Kto ciekaw, może zaglądnąć do szkicu Jana Zielińskiego (*Człowiek Maria Rodziewiczówna*, „Teksty Drugie” 1990, nr 4). Ile jeszcze wzruszeń czeka na wnikliwych czytelników. I wydawcy może zrozumieją swoje nietakty (na okładce powieści o upartym trwaniu – „Byli i będą” – znalazł się reklamowy slogan: *Sensacja! Romans! Przygoda!*).

Pisarka znana i nieznaną. Znaczący plączę nawet podstawowe dane. W podręczniku akademickim można przeczytać: *Urodziła się na Żmudzi [sic!], lecz większość życia spędziła na dawnych kresach wschodnich, w majątku Gruszowa [sic!] na Polesiu* („Młoda Polska”, Warszawa 1994, 8 wyd. 2002, PWN, s. 321). O Żmudzi pisywała Rodziewiczówna, to prawda (tam akcja „Szarego prochu” i „Dewajtisa” się rozgrywa), ale urodziła się gdzie indziej, w majątku ojcowskim PIENIUHA na Grodzieńszczyźnie, w wołkowyskim powiecie. A ta „Gruszowa” to HRUSZOWA na Polesiu, niedaleko Kobrynia. A skąd te zmyślenia podręcznikowe? Pewnie autor zawierał innym znawcom geografii literackiej. W poważnym dziele można znaleźć wiadomość, że Rodziewiczówna urodziła się w 1863 [sic!] roku, w maj. [ątku] *Pieniucha na Żmudzi w środowisku ziemiańskim* (*Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut”*, t. XV: *Literatura pozytywizmu i Młodej Polski*, Warszawa 1977, s. 434). Ani w 1863, ani na Żmudzi. Powinno być: w 1864 roku na Grodzieńszczyźnie. I nie „Pieniucha”, ale Pieniuha. W słowniku pisarzy (*Dawni pisarze polscy od początków piśmiennictwa do Młodej Polski. Przewodnik biograficzny i bibliograficzny*, t. 3: Mia-R, Warszawa 2002) znowu pojawiła się nieprawdziwa informacja; Rodziewiczówna miała się urodzić w *miejsowości Pieniuha na Żmudzi w środowisku ziemiańskim* (s. 368). W „Wielkiej encyklopedii PWN” majątek ojca pisarki pozostawiono w Grodzieńszkiem, ale został przezwany jeszcze inaczej: *Pieniuga* (t. 23, s. 402). Nieszczyśna ta PIENIUHA. Tyle kłopotów sprawia encyklopedystom i historykom literatury. Za trudna geografia, za trudna ortografia. Prawie wszystkie błędy przez Mieczysława Kurzynę popełnione (zob. jego szkic o Rodziewiczównie zamieszczony w „Obrazie literatury polskiej XIX i XX wieku, S. V: Literatura okresu Młodej Polski”, t. 3, Kraków 1973) były powtarzane przez badaczy.

W serii I (nr 307) „Biblioteki Narodowej”, Ossolineum wydało sławną powieść „Dewajtis” (Wrocław 2005). Ależ by się zdumieli paszkwilanci i nazbyt surowi krytycy z kilku generacji: od Jellenty i Feldmana do Żabickiego i Pauszer-Klonowskiej. I jak dotąd nikt się nie zgorszył taką nobilitacją popularnej pisarki.

We wstępie, erudycyjnym, jak tradycja BN każe, tylko kilka wzmianek. Pisarka zmarła w Leonowie, nie w Legionowie (s. XXI). W Hruszowej był dwór jak się patrzy, piętrowy, nie jakiś tam *dworek* (s. XXVIII). Rosja-

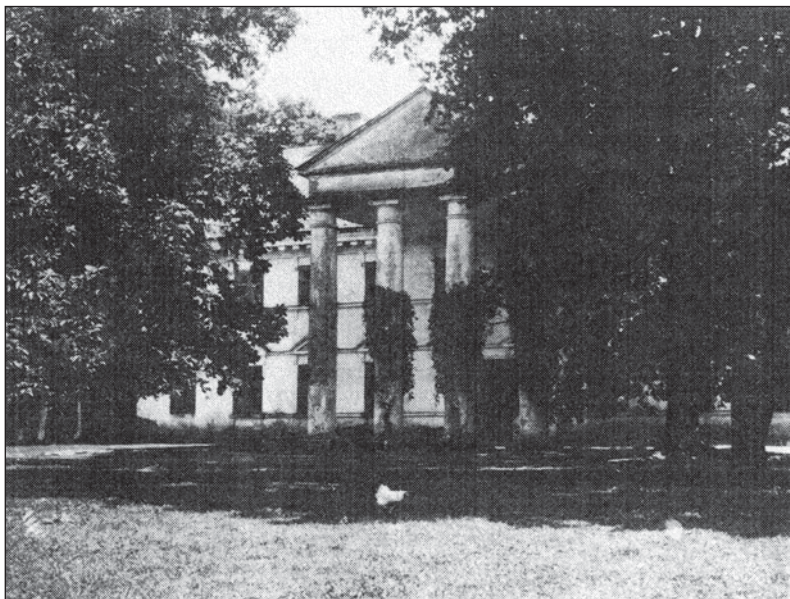
nie nie nazywali terenów wschodnich Rzeczypospolitej *Ziemią Zabranymi* (s. XL). To polska nazwa. A dla Rosjan ziemie północno-wschodnie Polski historycznej to były zachodnie gubernie Cesarstwa – *Siewiero-Zapadnyj Kraj*. Autorka wstępu próbuje wyjaśnić, dlaczego Ragis z Markiem modlą się po litewsku i wtrąca: *choć Marek z pewnością jest rdzennym Polakiem* (s. XL). Niepotrzebne to wtrącenie o *rdzenności*, Marek Czertwan jest przecież Litwinem w Mickiewiczowskim tego słowa znaczeniu, łączy przywiązanie do Żmudzi, ojczyzny domowej, z polskim patriotyzmem. Dla niego język litewski (w żmudzkiej odmianie gwarowej też) nie jest obcy, to jeszcze jeden język krajowy. Byli kiedyś i Polacy spod znaku Pogoni. Nie wszyscy *rdzenni*. Jak Kościuszko, Mickiewicz, Narutowicz, Piłsudski czy Giedroyc. I jak staroświecka ponoć, poniewierana przez tyłu za szybko piszących krytyków i historyków literatury, pani na Hruszowej. Jak jej przodkowie – Czertwanowie Rodziewiczowie wywodzący się z dawnego powiatu oszmiańskiego.

* * *

W 1995 roku ukazała się w Wydawnictwie Dolnośląskim ciekawa książka poświęcona literaturze dwudziestolecia międzywojennego. Tyle pomysłów, tyle mało znanych faktów, tyle tam znakomicie dobranych ilustracji. I tyle błędów. Około setki. Kiedy pierwsi krytyczni czytelnicy dziwili się, że tyle tam niedoróbek, Autor złożył na łamach „Tygodnika Powszechnego” fałszywe – jak się potem okazało – świadectwo: *Kilka błędów literowych, wynikłych z pomyłek moich, składu i niedokładności korekty, usunięto w przygotowywanym właśnie drugim wydaniu* („TP” 1995, nr 37). A w tym drugim wydaniu (Wrocław 1995) znowu tyle nieścisłości pozostało: kompromitujących i Autora, i wydawcę. Próbowałem to i owo sprostować w „Odrze” (1996, nr 7–8).

Trochę lat minęło, książka trafiła do spisu lektur dla studentów polonistyki na jednym z uniwersytetów. A kilka miesięcy temu ukazało się nowe wydanie (trzyecie?, czwarte?, piąte?), jeszcze ładniejsze pod względem typograficznym: czcionka duża, wyraźna, dobry papier, większy format, wysmakowane ilustracje.

Sprawdziłem, czy wzmianki o Żeromskim, które zauważyłem w drugim wydaniu, zostały poprawione. Czytam i nie mogę się nadziwić: *Na kolumnę Zygmunta mógł spoglądać Stefan Żeromski z okien swojego mieszkania na Zamku* (s. 94). Żeromski nie mógł spoglądać na kolumnę Zygmunta z okien swojego mieszkania. Jego okna wychodziły na Wisłę. Inne wzmianki: *W pierwszych latach niepodległości wielu idących przez Plac Zamkowy przechodniów podnosiło głowę, by spojrzeć w stronę okna z zegarem. [...] Naprawdę mieszkał on [Żeromski] w oficynach. Tam pisał „Snobizm i postęp”, a później swój wciąż aktualny testament: „Przedwiośnie”* (s. 97). Tyle wzmianek i zwyczajnych zmyśleń. W pierwszych latach niepodległości Żeromski nie mieszkał na Zamku, ale na ul.



Dwór w Hruszowej (źródło: Roman Aftanazy, *Dzieje rezydencji...*, t. 7, Wrocław 1993, s. 56)

ul. Wspólnej i Żurawiej. Na Zamku mieszkał pisarz niedługo, niecały rok. Od jesieni 1924 roku do śmierci (25 XI 1925). W baszcie wschodniego skrzydła. Z widokiem na Wisłę. Nie mógł pisać tam ani „Snobizmu i postępu”, ani „Przedwiośnia”. Pierwsza książka została ogłoszona drukiem w 1922 roku (datowana: 1923), druga – „Przedwiośnie” – też już była napisana i wydrukowana (w 1924 roku, z datą: 1925). Na ostatniej stronie powieści widniał napis: *Konstancin, d. 21 września 1924. C. b. d. o.*

I po co rozpowszechniać nieprawdę? Po co pisać tak szybko? Po co wmawiać, gdzie indziej, że zdjęcie przedstawia: *Pokój Żeromskiego w latarni morskiej w Rozewiu. Tu powstał „Wiatr od morza”* (s. 96). Zwyczajne wmówienie. Żeromski nie pisał „Wiatru od morza” w Rozewiu. I nie mieszkał tam. To zmyślenie muzealników. Pisała córka, Monika Żeromska: *Mój ojciec na pewno zwiedzał tę latarnię, bo wszystko go na Wybrzeżu interesowało, ale nie mieszkał tam nigdy, tak jak nie mógłby mieszkać w fabryce, nigdy się z nami podczas pobytów na Wybrzeżu nie rozstawał, zresztą nie było to pomieszczenie mieszkalne* (*Wspomnienia*, Warszawa 1996, s. 171).

W „pomnikowym” (trzecim?, czwartym?, piątym?) wydaniu „Dwudziestolecia literackiego” Autor napisał, że: *Po drugiej wojnie światowej powieści Marii Rodziewiczówny uznane zostały za anachroniczne i egzaltowane czytadła – taką opinię wydała o nich już krytyka Dwudziestolecia. Odważnej rewizji tego przekonania podjął się w roku 1992 Czesław Miłosz...* (s. 206).

Było nieco inaczej. Krytyka dwudziestolecia wcale nie była jednoznaczna. Było miejsce i na paszkwil, i na panegiryk. I na sąd wyważony. Kazimierz

Czachowski w nazbyt może pochlebnej dla popularnej pisarki książce tłumaczył: *Bo jakkolwiek liczne są zarzuty, jakie ze stanowiska artystycznego i intelektualnego postawić można utworom autorki „Dewajtisa”, znakomicie będzie je równoważył jej niewątpliwy talent powieściopisarski. Talent to polegający na zdolności do tworzenia mitów, na umiejętności przekonywającego narzucania czytelnikowi odrębnej atmosfery baśniowej, w której znajduje on zaspokojenie w każdym człowieku tkwiącej tęsknoty do czynów na miarę bohaterską* (*Maria Rodziewiczówna na tle swoich powieści*, Poznań 1935, s. 7).

I jeszcze sztuka zajmującego opowiadania. Znajomość opisywanego świata. Tęsknota do ładu. I wyraziste typy ludzkie. Tadeusz Boy-Żeleński pisał: *kto chce zrozumieć Corneille’a, niech czyta Rodziewiczównę: mówię to bez cienia żartu. Przy całej różnicy tła i skali ideał artystyczny jest ten sam: te charaktery z jednej sztuki, dochodzące do wirtuozerii i sadyzmu w pokonywaniu samych siebie, ta licytacja na heroizm, ten tryumf w o l i wypełniająca wszystkie powieści Rodziewiczówny to cały Corneille* (cyt. za: Kazimierz Czachowski, op. cit. s. 14–15).

A Miłosz (w 1991, nie w 1992 roku) zwracał uwagę na realizm, na duże wartości poznawcze powieści Rodziewiczówny.

Jeszcze jedno dziwne zapewnienie Autora: *W dalszym ciągu poczytnością cieszyły się książki dwu powieściopisarek, które popularność zdobyły jeszcze przed wojną [pierwszą]: Marii Rodziewiczówny i Heleny Mniszkówny. Miały teraz ich powieści po kilkadziesiąt wznowień i po dwie ekranizacje* (s. 206).

Rodziewiczówna i Mniszkówna to naprawdę dwie różne parafie literackie, dwa odmienne piętra literatury. Wymieniać je jednym tchem poważnemu autorowi nie wypada. Nie znam się na pisarstwie Mniszkówny, ale zapewniam Autora tych zmyślonych zdań, że przed wojną ani jedna powieść Rodziewiczówny nie doczekała się kilkadziesiątu wznowień, nie miały też jej powieści po dwie ekranizacje. Zekranizowano tylko trzy utwory: „Między ustami a brzegiem pucharu” (1939), „Wrzos” (1938) i „Floriana z Wielkiej Hłuszy” (1938).

I po co te wmówienia, po co czytelników w błąd wprowadzać?

* * *

Zapomniane cnoty autorów, wydawców, redaktorów, kastygatorów, recenzentów, korektorów.

Adam Wierciński

Spór o uniwersalia

Joanna Matlachowska

Przez pomyłkę

Data drugiego marca
 jest zakreślona w moim kalendarzu
 To nie bagatelka znać daty imiennin
 szacownych ciotek
 wujów tubalnych i drapiących brodą
 dziadka – co tylko z garścią ziemi
 przywieziony po latach
 kuzynek – jak okruchów rodzinnego albumu
 Ale ciocia Hela weszła w mój kalendarz
 przez pomyłkę
 tylko cienką kreską
 jakby na potwierdzenie tego że drobna i krucha
 Przez tę zbawienną pomyłkę
 czy można kochać?

Żadne spośród słów nie istnieje
 i myśli jakby nie było
 Jesteśmy zupełnie w pojedynkę i osobno
 Nie ma w nas słońca wysokiej trawy nagrzanego piasku
 choć potwierdzone stopą ukryte w dłoni
 zamknięte pod powieką
 Czynię jeszcze ostateczną próbę
 przechodząc przez kwitnący krzak głogu
 jak przez ogień
 albo zamknięte drzwi
 Potem oglądam te parę zadrapań na gołym ramieniu
 i dziwię się że tylko tyle

Joanna Matlachowska-Pala

jest lekarzem specjalistą chorób wewnętrznych. Pracuje w Wojewódzkim Centrum Medycznym w Opolu.

Jest członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Publikowała utwory poetyckie i prozatorskie na łamach wielu czasopism literackich. Jest dwukrotną laureatką konkursu poetyckiego im. Romana Brandstaettera. W roku 1991 otrzymała wyróżnienie w IV Konkursie Poetyckim o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego. W roku 1995 wydała tomik „Most dla motyla”, który spotkał się z dużą przychylnością zarówno krytyki, jak i czytelników. W roku 2000 opublikowała następny zbiór wierszy – „Biało-błękitne”. Już niedługo ukaże się nowy tomik poetycki autorki.



Fot. Aleksandra Janik

Ciąg dalszy – ze str. 42

Kiedy upadł Związek Radziecki, baza na Krymie przestała istnieć, mój świat się zawalił. Kogo obchodził bohater nieistniejącego państwa, kogo obchodził Czarnobyl – zresztą, niewiele później w prasie zaczęły się pojawiać publikacje, w których udowodniano, że ta awaria wcale nie była taka groźna, że panika była przesadzona...

Więc kiedy upadł Związek Radziecki, był taki moment, że nie wiedziałem, co robić. Wtedy dotarło do mnie, że jeśli natychmiast czegoś nie postanowię, będę snuł się po ulicach w brudnej kurtce, jak żebrak. Założyłem w Kijowie lotniczą firmę transportu towarowego – pierwsze helikoptery wydzierzawiliśmy od państwa. Wkrótce odszukali mnie Hiszpanie, którzy potrzebowali doświadczonych pilotów i ciężkich helikopterów. W 1995 r. wyjechałem do Hiszpanii, gdzie rozpocząłem pracę w Helicopteros Del Sureste – największej hiszpańskiej firmie, zajmującej się transportem pasażerskim i szeroko pojętym ratownictwem: gaszenie pożarów lasów, ochrona akwenów... Miałem wtedy 40 lat. Sporo, jak na rozpoczynanie nowego życia. W obcym kraju, obcym klimacie... Upały są tam niesamowite: mój pies, z którym pojechałem – żona z synem dojechali później – długo nie chciał wyjść za próg domu.

– W ciągu jedenastu lat pracy w Hiszpanii wyszkolił Pan siedmiu samodzielnych pilotów helikopterów Mi-8 i KA-32, trzech kolejnych zostanie nimi lada moment. Jest Pan szefem kilkudziesięciuosobowej grupy „Kamov”, która zajmuje się głównie gaszeniem pożarów lasów. A więc kolejna, „prawdziwie męska robota”...

– Powiem pani prawdę: raczej dziecinna zabawa w porównaniu z tym, co robiłem za czasów Związku Radzieckiego. W mojej grupie są przede wszystkim hiszpańscy piloci i ukraińscy instruktorzy – bo Hiszpanie latają głównie na lekkich helikopterach, potrzebują więc wielu godzin ćwiczeń, żeby przejść na cięższe maszyny, używane do gaszenia pożarów. Polscy piloci też tam pracują, im łatwiej niż Hiszpanom przejść na ciężkie helikoptery, bo przyzwyczajeni są do pracy na „Sokołach”. Przez osiem miesięcy w roku gasimy pożary lasów. A w Hiszpanii są one ogromne – zwłaszcza w rejonie Galicji i Andaluzji, które są niemal bezustannie w ogniu, akcja trwa kilka dni non stop.

Praca bardzo ciężka, niebezpieczna. Lecisz nad płonącym lasem – wszędzie dym, nic nie widać, trzeba bar-



Akcja gaszenia pożarów w Hiszpanii

dzo uważać, żeby maszyna nie zaczepiła o druty trakcji elektrycznej, a to się zdarzało, helikoptery spadały... Powietrze niesamowicie rozgrzane, bo temperatura nad ogniem ogromna, helikoptery wpadają w turbulencję... I ten duszący smród, nie ma czym oddychać. A ty musisz trafić wodą dokładnie w cel – miejsce, do którego nie mogą dotrzeć strażacy pracujący tam na dole. „Bambu-Bucet” to potężny zbiornik o pojemności 5 tysięcy litrów – tę masę wody trzeba zrzucić na ziemię z wielką precyzją, w najtrudniejszy do ugaszenia żywioł. Dyżur trwa 20 dni – nocujemy w tym czasie w bazie – po czym mamy 10 dni wolnego.

– Cieszy się Pan szacunkiem wśród kolegów-pilotów, hiszpańscy współpracownicy podkreślają – w wywiadach prasowych – Pana profesjonalizm, rzetelność i niezwykle umiejętności... Jeden z nich powiedział: „Mielnik po prostu kocha swoją pracę. To prawdziwy profesjonalista, od którego wiele można się nauczyć. Kiedy chcesz spróbować czegoś nowego, on ci pokaże, jak to zrobić i będzie w ciebie wierzyć”. Czuje się Pan człowiekiem spełnionym?

– Ja po prostu nie mam wyjścia, muszę coś robić. A skoro już robię, robię dobrze, inaczej nie potrafię. W 1994 roku przeszedłem dwie poważne operacje, po których przyznano mi grupę inwalidzką. Lekarz powiedział mi wtedy: jeśli chcesz żyć – musisz się oszczędzać, nie pić, nie palić.

Miesiąc później zdecydowałem, że jeśli mam żyć, to będę żył tak, jak ja chcę, nie będę się ograniczał w niczym. I odtąd robię wszystko dokładnie na odwrót. Poprosiłem komisję lekarską w Kijowie: nic nie piszcie o rencie inwalidzkiej, nie chcę, piszcie: normalny, zdolny do pracy. I pracuję. Jedno wiem: gdybym nie pracował, byłbym dziś, gdzieś w przestworzach, razem z całą moją ekipą z Czarnobyla.

Tęsknię bardzo za Ukrainą. Dziwna i niedziwna ta tęsknota. Wiem, sytuacja gospodarcza jest tam bardzo zła, bez porównania łatwiej jest żyć w Hiszpanii, bo jest dobrze płatna praca, jest ładny dom... Syn ukończył uniwersytet w Hiszpanii, teraz robi doktorat z ekonomiki i reklamy. Zna język hiszpański, francuski, angielski i rosyjski. Ukraińskiego nie zna. Więc nie mam żadnych powodów do narzekań. Ale co ja poradzę, że duszy bliżej do Ukrainy? Już w Polsce czuję się lepiej, ludzie

mi tu bliżsi... Na Ukrainę jeżdżę co roku. I, uczciwie mówiąc, wygląda to tak, że po tygodniu pobytu w Kijowie mam już dość, chcę wracać do Hiszpanii. Wracam – i już po miesiącu tęsknię za Kijowem.

– **Ma Pan obywatelstwo hiszpańskie?**

– Nie. Już dawno mógłbym je dostać. Ale nie chcę, bo wtedy straciłbym ukraińskie.

Mali ludzie z Olesna – nowe fakty

Mój artykuł o rodzinie Glauerów z Olesna, którzy zrobili światową karierą jako kwartet liliputów, wywołał nieprzewidzianą przeze mnie reakcję wielu czytelników. Nie zdałam sobie sprawy, iż tyle osób zwróci uwagę na ten tekst i uzna go za frapującą historię. Jedną z pierwszych, która zareagowała na artykuł o małych ludziach z Olesna była pani **dr Elżbieta Łomna-Bogdanov**, wybitna endokrynolog zajmująca się w swej pracy badawczej od wielu lat przypadkami dziedziczenia chorób wywołujących u ludzi karłowatość. Jest autorką artykułów publikowanych w prasie europejskiej i – jak mnie poinformowała – dotychczas nie знаła przypadku, aby tylu przedstawicieli jednej rodziny w jednym pokoleniu zostało dotkniętych tą chorobą.

Bardzo spontanicznie zareagował na ten tekst również burmistrz Olesna pan **Edward Flak**, który przesłał numer „Indeksu” z rzeczonym artykułem do Osnabrück w Niemczech, do mieszkającej tam

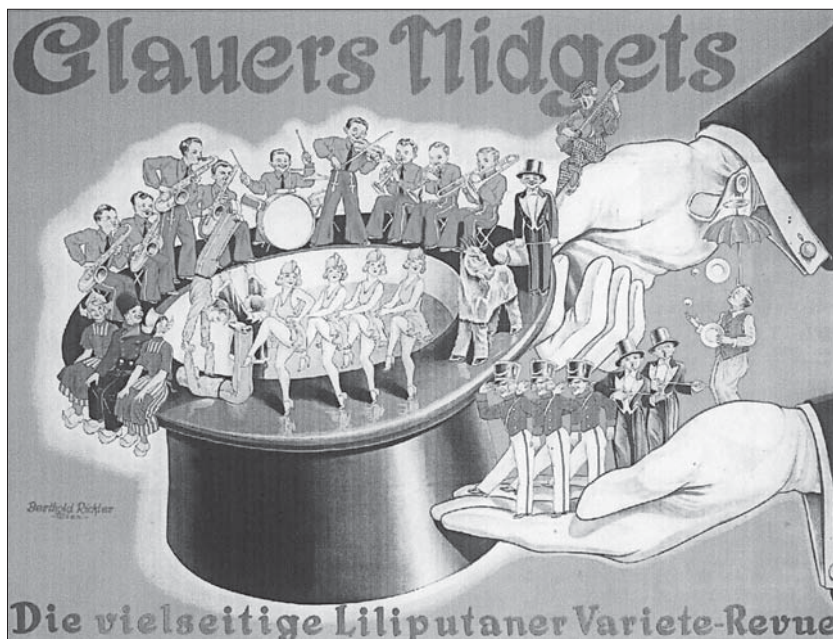
rodziny Glauerów. W efekcie otrzymałam bardzo serdeczny list pani **dr Adelheid Glauer** – krewnej muzyków z Olesna, w którym zwróciła mi uwagę, iż źle przetłumaczyłam słowo *Vetter*. Napisałam bowiem, iż kwartet *Die Rosenberger Glauer-Liliputaner (Glauer-Lilipuci z Olesna)* tworzyło trzech braci i ojciec, powinno być jednak: trzech braci i kuzyn.

Z informacji p. A. Glauer wynika, iż rodzina Glauerów mieszkała w Oleśnie w różnych miejscach. Można przypuszczać, iż w miarę jak stawali się coraz zamożniejsi, zmieniali lokale na lepsze. I tak początkowo mieszkali przy ulicy Szkolnej, potem przy ulicy Kluczborskiej, Lompy, a przed II wojną światową zamieszkali w willi na Małym Przedmieściu, która w styczniu 1945 roku została zburzona.

Glauerowie, którzy byli normalnego wzrostu, mieli siedmioro dzieci – pięciu chłopców i dwie córki. I tylko trzech chłopców: Heinrich, Brunon i Paul było liliputami. O ich niebywałym późniejszym sukcesie zdecydował Felix Glauer, wujek chłopców, który był we Wrocławiu nauczycielem. On dawał im lekcje muzyki, on też prawdopodobnie zachęcił początkowo Heinricha, a potem dwóch pozostałych braci do występowania na scenie i pomógł zdolnym bratankom zrealizować te zamierzenia. Heinrich już 1899



Wszędzie, gdzie się tylko pojawiali z gościnnymi występami, wzbudzali sensację



Plakat zapraszający na występ grupy z Olesna

roku, jako czternastolatek rozpoczął występy. Siedem lat później stworzył duet z Brunonem, a w 1915 roku dołączył do nich najmłodszy z braci Paul oraz kuzyn. I w ten sposób powstał sławny kwartet.

Pierwszym impresario zespołu był Felix Glauer, ale w 1920 roku Heinrich Glauer, najstarszy z braci liliputów, będąc już dojrzałym mężczyzną, bo miał 35 lat, po opanowaniu kilku języków obcych i zdobyciu doświadczeń związanych z organizowaniem imprez widowiskowych, postanowił wziąć w swoje ręce karierę rodziny. Założył zespół „Glauer Liliputaner – Truppe”, który po sukcesach i osiągnięciu znacznej popularności przyjął angielską nazwę „Glauer’s Royal Midget’s”. Zespół liczył – według zachowanych zdjęć – co najmniej 30 osób, a jego repertuar był bardzo szeroki: variete, teatr oraz cyrk z własną orkiestrą, rewia. Mali oleśnianie występowali w wielu krajach świata: Ameryce, Japonii, Rosji, w krajach Skandynawii, we Włoszech, w Turcji, Egipcie itp. *Wujek Heinrich* – wspomina pani A. Glauer – *na nasze pytanie: w jakich krajach występowali, zwykł odpowiadać: „Zapytajcie lepiej, gdzie nie występowaliśmy”*. Glauerowie prezentowali swój program również

przed ostatnim carem rosyjskim Mikołajem II w Petersburgu, co było dla nich wielkim przeżyciem.

1 września 1939 roku wyjechali do Anglii na tournée. Gdy 3 września Anglicy wypowiedzieli Niemcom wojnę, wszyscy członkowie trupy zostali internowani. I to był początek końca ich kariery. Wszyscy przeżyli wojnę, jednak już po jej zakończeniu występowali tylko w Niemczech. Paul zamieszkał w Berlinie, gdzie uczestniczył w życiu artystycznym. Był bardzo uzdolnio-

ny muzycznie, posiadał umiejętność gry na wielu instrumentach oraz był znakomitym dyrygentem. Bruno grał na perkusji.

Glauerowie z Olesna byli spokrewnieni ze słynnym opolskim królewskim fotografem Maksem Glauerem, mającym swoje atelier przy ulicy Krakowskiej.

Pani dr Adelheid Glauer przysłała mi bardzo interesujące artykuły o Maksie Glauerze, opublikowane w połowie XX wieku w piśmie przedświeńców niemieckich „Der Schlesier” w okresie szczytowym „zimnej wojny”. Wówczas to pismo było w Polsce szczególnie zwalczane jako rewizjonistyczne. Artykuły te mają duży ładunek faktograficzny. Pokazują niezwykle biografię wybitnego opolanina.

Otrzymałam również od pani Adelheid Glauer kserokopie znakomitych fotografii, przedstawiających występy słynnej grupy liliputów z Olesna. Niektóre z nich pozwałam sobie tutaj opublikować.

Pani dr Adelheid Glauer posiada ogromny zbiór fotografii i dokumentów słynnej opolskiej rodziny i zamierza opublikować dużą pracę biograficzną o tej zasłużonej dla Śląska rodzinie.

Halina Nicieja

Instytut Studiów Edukacyjnych



Glauerowie na gościnnych występach w miasteczku liliputów Praterstern, obok centralnego cyrku Wiednia – rok 1934 (pocztówka)

Stacja ochrony ptaków w Prószkowie

Pierwszą na Śląsku stację ochrony ptaków założył na początku lat 30. XX w. Constantin Jitschin. Stacja ta znajdowała się przy Instytucie Pomologicznym w Prószkowie i początkowo miała ona charakter prywatny. W 1936 r. wraz z innymi stacjami w Niemczech została uznana przez państwo na mocy prawa o ochronie przyrody.

Twórca stacji i jej pierwszy właściciel – Constantin Jitschin urodził się 31 stycznia 1877 r. w Wierzbicicach koło Nysy w chłopskiej rodzinie, od lat osiadłej na Śląsku. Constantin od najmłodszych lat wykazywał zainteresowanie naturą. Po ukończeniu nauki szkolnej miał uczyć się młynarstwa, by w przyszłości przejąć majątek ojca, który był właścicielem młyna. Udało mu się w końcu uzyskać zgodę ojca i jako 17-latek zapisał się do szkoły podoficerskiej w Poczdamie. W 1904 r. spełnia się jego marzenie – wysłany zostaje do południowo-zachodniej Afryki. Po powrocie z Afryki Constantin Jitschin walczył podczas I wojny światowej na froncie wschodnim. Po wojnie wrócił na Górny Śląsk, gdzie przez rok był kapitanem policji plebiscytowej APO (Abstimmungspolizei). W późniejszych latach był wykładowcą i kierownikiem w Szkole Policyjnej w Ząbkowicach Śląskich. Szybko awansował i został komendantem policji w Zabrze, a w latach 1929–1932 w Opolu. Po przejściu na emeryturę mieszkał wraz z żoną Magdaleną Reimann i dziećmi w Opolu. Gdy wybuchła II wojna światowa Constantin Jitschin powołany został do wojska i wysłany na front wschodni. W wyniku silnego przemęczenia zmarł pod Moskwą 6 października 1941 r. na zawał serca.



Stacja ochrony ptaków w Prószkowie

Constantin Jitschin bardzo zaangażował się w ochronę rodzimych ptaków. Znany był powszechnie jako „Vogelschützer” – ochroniarz ptaków. Bardzo interesowała go kwestia wędrówek śląskich ptaków. Odpowiedź na pytanie, jak badać migracje ptaków, znalazł prof. Thienemann ze stacji badaw-

czej w Rossitten (obecnie Rybaczij) w Rosji. Skonstruował obrączkę z lekkiego metalu z adresem i nr. stacji. Jego metoda obrączkowania stosowana jest w ornitologii do dnia dzisiejszego na całym świecie. W stacji ochrony ptaków w Prószkowie również zaczęto obrączkować ptaki. Prace prowadzono w oparciu



Młode sowy uszate w prószkowskim parku w 1937 r.

o metody odłowów, obrączkowania oraz pomiarów biometrycznych. Każdy złapany ptak otrzymywał na nogę obrączkę z niepowtarzalnym numerem i adresem stacji. Określano jego gatunek, płeć, wiek. Ptaki były ważone i mierzone. Każdy szczególnie zapisywany był w specjalnym rejestrze. Do 1939 r. w stacji w Prószkowie zaobráczkowano ponad 60 000 ptaków. Trasy wędrówek zaobráczkowanych ptaków Jitschin zaznaczał i opisywał na specjalnych mapkach. Dzięki obrączkowaniu ptaków i śledzeniu ich wędrówek opisał on bardzo osobliwy obraz przelotu szpaków *Sturnus vulgaris*. Zaobráczkowane w 1933 r. w Prószkowie szpaki przebyły następującą

trasę – przez północne Włochy, południową Francję i Hiszpanię dotarły do Algierii, Tunezji, a następnie przez Włochy powróciły do Prószkowa.

Stacja ochrony ptaków prowadziła również systematyczne obserwacje ornitologiczne na pobliskim Stawie Nowokuźnickim, który od 1957 r. objęty jest ochroną prawną jako rezerwat przyrody. Jitschin prowadził również badania nad rozmieszczeniem ptaków w prószkowskim parku, w którym wiele lat obserwował liczne łęgi pustułki *Falco tinnunculus*, z których corocznie łącznie wylatywało 30-40 młodych. W 1937 r. w parku zaobserwował łęg sów uszatyh *Asio otus*, które

wyprowadziły 16 młodych. W lasach w pobliżu Prószkowa stwierdził łęgi muchołówek żałobnych *Ficedula hypoleuca*, które składały jaja w budkach łęgowych kosów *Turdus merula*.

Constantin Jitschin był autorem wielu publikacji dotyczących ptaków. Jako znawca i autorytet w dziedzinie ornitologii często brał udział w licznych konferencjach, na których referował pionierskie referaty. Często dołączał też materiały związane z ochroną ptaków do różnego rodzaju wystaw przyrodniczych.

Krzysztof Spalek

Z cyklu: **Wielcy Polacy o Opolu i Śląsku Opolskim**

Wincenty Pol w podróży po Śląsku

W piątym tomie „Dzieł prozą” Wincentego Pola, wydanym we Lwowie w 1878 roku, na stronie 175 znajduje się zapis wrażeń autora „Znasz li ten kraj” z podróży na Śląsk w roku 1847. Warto przypomnieć, jak Wincenty Pol, bardzo popularny w tym czasie pisarz, widział Opolszczyznę przed 160 laty, pisząc o jej walorach turystycznych oraz pracowitości i gospodarności mieszkańców.

Od Koźła rozłożył się w dolinie Odry kraj równy i otwarty szeroko. Przed nami tu i ówdzie po lewej stronie błysły w przelocie malownicze zakręty Odry wiklinami porośłe. Po prawej stronie ciągnęły się długim, płaskim grzbiecie na wielkiej przestrzeni tarnowieckie wyżyny, w starożytnej Polsce tarnowskiemi górami nazwane. Odpustowe miejsce na Górze Św. Anny jest punktem górującym na grzbiecie tych wyżyn; lecz od niego poczyna się obniżać całe pasmo, i przechodząc w kilka

gałęzistych cieklin pomniejszych, sływa na północ łagodnie.

Kraj na całej przestrzeni od Koźła do Opoli jest mało urozmaicony, piaszczysty, często sosnowemi lasami porośły. Gospodarstwo jest wzorowe, uprawa ziemi bardzo staranna, lasy utrzymane jak najlepiej,

lecz roślinność w ogólności biedna, i tylko cywilizującej potędze udało się odkraść naturze pewien wdzięk, i nadać krajowi wyraz cywilizacji zachodniej. Wszakże nie tylko czasy dzisiejsze przyłożyły się do wzniesienia tej krainy. Szląk ma piękną przeszłość, którą odczytać można



Zamek w Kopicach na pocztówce z 1902 r. (ze zbiorów St. S. Niciej)

już nawet w przelocie taboru. Wszędzie lud zamożny i dobrze odziany, w swym stroju lśniącym barwami przeszłości, wszędzie bydło piękne, wszędzie gęsto nasiadłe, miasteczka budowne. Wszędzie wznoszą się wieże piastowych ratuszów, wiekiem ogorzałe korony baszt starych, zamki i klasztory po miastach, a po wsiach odwieczne gotyckie i bizantyjskie kościółki, na pozór starsze niekiedy, niż wszystkie kościoły krakowskie.

Patrząc na ten kraj, gdzie przeszłość w budowlach starych zostawiła dzieje, i na ten lud dzisiejszy jego, na ten lud „pracy i pokoju”, osmutniałem bardzo, i pytałem sam siebie,

czy w tym kącie świata Szlązk jest przedmową do Krakowa, czy Kraków w tym zakątku progiem Europy Zachodniej i ostatnim wielkim pomnikiem jej cywilizacji odwiecznej?

Gdy sobie to pytanie robił, załętnił most pod nami, i przed Opolem przebyliśmy Odrę, i dostaliśmy się na lewy jej brzeg. Tu nagle odmienia się kraj – warstwa bardzo urodzajnej gliny, a nawet czarnoziemi na wielkich, okrywa lewą połąć Odry. W miarę, jak zmieniają się lasy i wszystko jest do razu bujniejsze – bory Górnego Szlązka znikają powoli, a roślinność poczyna być więcej różnaitą, stare dęby zasie-

wają obszerne zielone rozłogi, sady otaczają wioski, a małe dąbrowy i zagajenia brzożowe widać coraz częściej pomiędzy ornymi polami, które się z lekka podnoszą na zachód ku wyniosłościom Środkowej Europy górzystej.

Już od miasta Brzegu – gdzie się gościńce handlowe dawnej Polski schodziły ku Odrze – widać na zachodzie smugę błękitną jakiegoś górzystego grzbieta, który się z każdą chwilą podnosi, i coraz wyraźniejsze przybiera kształty. Są to olbrzymie góry, po czesku Korkonoszami zwane.

Wybrała: **Halina Romuzga**

NASI ABSOLWENCI

Pierwsze lata WSP w Opolu

**Janusz
Michułowicz**

Moje życie nauczyciela akademickiego, pedagoga, zaczęło się w 1954 r., od... Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Jako syn skauta, „Orłęcia” i Sokoła lwowskiego oraz harcerz i drużynowy ZHP w latach 1946-1948 we Wrocławiu nigdy nie miałem oporów wobec służby w wojsku polskim. Wpływ na to miały także rodzinne tradycje, w które wpisany był udział w walkach w obronie Lwowa w okresie wojny polsko-ukraińskiej i wojny polsko-bolszewickiej. Mój wuj był więźniem Kozielska, oficerem II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa, uczestnikiem bitwy pod Monte Cassino, gdzie został ranny. Oczywiście takich koligacji rodzinnych w pierwszych latach PRL nie należało pod żadnym pozorem ujawniać.

W roku akademickim 1953-1954 ukończyłem, w grupie kilkunastu osób, studia rusycystyczne pierwszego stopnia na Wydziale Humanistycznym (później przemianowanym na Filologiczny) Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej we Wrocławiu, działającej zaledwie od 1950 r. W trakcie studiów na PWSP we Wrocławiu wszyscy studenci naszego rocznika – poza kobietami – musieli odbyć szkolenie w uczelnianym Studium Wojskowym, którego kierownikiem był powszechnie lubiany przez wszystkich studentów **mjr Bronisław Wysocki**.

W 1954 r. nasza uczelnia została przeniesiona do

Opola. Tam otrzymaliśmy dyplomy ukończenia studiów pierwszego stopnia, tam też, przed ówczesnym gmachem głównym WSP w Opolu przy ul. Luboszyckiej, odbyła się uroczysta promocja oficerska – okazało się, że swoją edukację wojskową ukończyłem w stopniu podporucznika.

W tamtych latach absolwentów wyższych uczelni obowiązywały tzw. nakazy pracy – ja otrzymałem, z kuratorium w Gdańsku, skierowanie do pracy jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Gdyni-Cisowej. Jakież było moje zdumienie, kiedy w połowie sierpnia, w rektoracie PWSP we Wrocławiu, okazało się, że skierowanie zostało zmienione. Prorektor **dr Witold Kruk-Olpiński**, mój późniejszy wieloletni przełożony w Katedrze Pedagogiki (później – instytucie) powiedział: „Panie Januszu, ministerstwo zmieniło panu nakaz pracy na nasze Studium Wojskowe, jedź pan z nami do Opola”. I w ten sposób zostałem pracownikiem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

Po kilku dniach od tej rozmowy otrzymałem zawiadomienie z uczelni: jadę do Opola w charakterze konwojenta transportu urządzeń i sprzętu uczelni. Kiedy w wyznaczonym terminie zgłosiłem się na Poniatowskiego, gdzie mieścił się rektorat PWSP we Wrocławiu, okazało się, że podobne zadanie dostał mój bliski kolega ze studiów, fizyk **Aleksander Smółka**, nowo zatrudniony w



Dyplom magisterski PWSP we Wrocławiu Janusza Michulowicza

uczelnii – też na podstawie ministerialnego nakazu pracy – w Katedrze Fizyki. Na boisku szkolnym przed gmachem uczelni ładowano właśnie na samochód ciężarowy z przyczepą pierwszą część transportu – wyposażenie Katedry Fizyki i Studium Wojskowego. Ruszyliśmy do Opola, w którym nigdy dotąd nie byłem.

Rozładunek nastąpił na placu szkolnym byłego Liceum Pedagogicznego przy ul. Luboszyckiej 9. Wyposażenie Katedry Fizyki wnoszono do pomieszczeń na pierwszym piętrze, Studium Wojskowego – na drugim. I nagle spostrzegliśmy z Aleksandrem, że główne wejście do budynku pozbawione było drzwi! Później dowiedzieliśmy się, że oba skrzydła zostały zabrane do naprawy. Co więcej – w budynku nie było żadnego dozorczy, obiekt był kompletnie niestrzeżony. Wtedy zdecydowaliśmy, że nie wracamy do Wrocławia – zostaniemy w Opolu pilnować przywiezionego majątku.

Obaj, świeżo upieczeni absolwenci szkoły wyższej, formalnie zatrudnieni w opolskiej WSP, nie otrzymaliśmy jeszcze wynagrodzenia za pracę, byliśmy więc biedni, jak przysłowiowe myszy kościelne. Po dokładnym przeglądzie zawartości naszych kieszeni stwierdziliśmy, że stać nas tylko na kupno ćwiartki bochenka chleba w pobliskim sklepie.

Jako byli harcerze i świeżo mianowani oficerowie mieliśmy mocno ugruntowane poczucie obowiązku, funkcję konwojentów mienia uczelnii traktowaliśmy więc bardzo poważnie. Tę noc spędziliśmy, śpiąc na zmianę w fotelu wystawionym na podeście pierwszego piętra – na wprost schodów. Gdy jeden z nas spał, drugi stał na straży przy wejściu do budynku. Następnego dnia, koło południa, zjawił się zdumiony naszą obecnością portier. W tym czasie dotarł kolejny transport z Wrocławia.

W 1956 r. zostały zniesione rygory nakazów pracy, a ja dostałem przeniesienie do Katedry Języka Rosyjskiego na cywilne już stanowisko lektora. Pracując w

Katedrze Języka Rosyjskiego, a od roku akademickiego 1959/1960 w Katedrze Pedagogiki, podjąłem eksternistyczne studia drugiego stopnia na Wydziale Filologiczno-Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, uzyskując 20 maja 1960 roku tytuł magistra pedagogiki. Moja fascynacja pedagogiką jako dyscypliną naukową wynikała zarówno z moich doświadczeń harcerskich, jak i wykładów z pedagogiki prowadzonych na naszych studiach rusycystycznych we wrocławskiej PWSP przez doktora (późniejszego profesora) Uniwersytetu Wrocławskiego – **Stefana Kaczmara**. Zresztą, sporą część zajęć na moim seminarium magisterskim na Uniwersytecie Wrocławskim również prowadził prof. Stefan Kaczmarek.

Mimo iż w latach moich studiów obowiązywała „jedynie naukowa” pedagogika sowiecka, to jednak profesor Kaczmarek potrafił zręcznie zaanonsować wyniki badań i bibliografię polskich i zachodnich pedagogów.

W opolskiej Katedrze Pedagogiki początkowo prowadziłem ćwiczenia z psychologii i pedagogiki, później otrzymałem uprawnienia do prowadzenia wykładów z zakresu nauk pedagogicznych. W opolskiej WSP obroniłem swoją rozprawę doktorską, prowadziłem seminarium dyplomowe w WSP oraz liczne seminaria magisterskie na Uniwersytecie Śląskim.

Poza obowiązkami naukowo-dydaktycznymi i organizacyjnymi dość często byłem wykonawcą nietypowych zadań. Otóż w październiku 1954 roku ówczesny rektor WSP w Opolu **dr Jan Zborowski** (późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego) wysłał mnie do Fabryki Naczyń Emaliowanych w Częstochowie, gdzie miałem zakupić naczynia i sprzęty kuchenne do uczelnianej stołówki, mieszczącej się wówczas w Domu Studenta przy ulicy Nysy Łużyckiej. W ustalonym terminie wraz z Aleksandrem Smółką i kierownicą ruszyliśmy sześcioposobowym, trzydrzwiowym, jeszcze przedwojennym fiatem do Częstochowy. Pojazd ten, choć jeszcze dość sprawny, był jednak w znacznej mierze wyeksploatowany. Tylko jedne drzwiczki otwierały się bez problemu – pozostałe były na stałe zadrutowane, gdyż brakowało w nich klamek i zawiasów. Takim to rozklekotanym pojazdem wieźliśmy zakupiony towar do Opola – między kuchennymi akcesoriami, na tylnym siedzeniu, ulokował się Aleksander. Mimo że naczynia opakowano nam bardzo troskliwie, w trakcie jazdy te wszystkie pokrywki, chochle i miednice okropnie brzęczały, więc hałas – w połączeniu z tym wytwarzanym przez nasz pojazd – był ogromny. Do tego stopnia, że w wioskach, przez które przejeżdżaliśmy, czasem nas zatrzymywano, prosząc o odsprzedanie jakiegoś wiadra czy konwi na mleko, gdyż w owym czasie były to naczynia trudno

dostępne w sprzedaży detalicznej. Udało nam się cały ten towar przewieźć do opolskiej stołówki – odtąd wszyscy trzej mieliśmy bardzo dobre układy z pracującymi tam paniami. Pochodziły one z podopolskich wiosek i mimo trudności zaopatrzeniowych wyczarowywały stołówkowiczom prawdziwie śląskie jadlo.

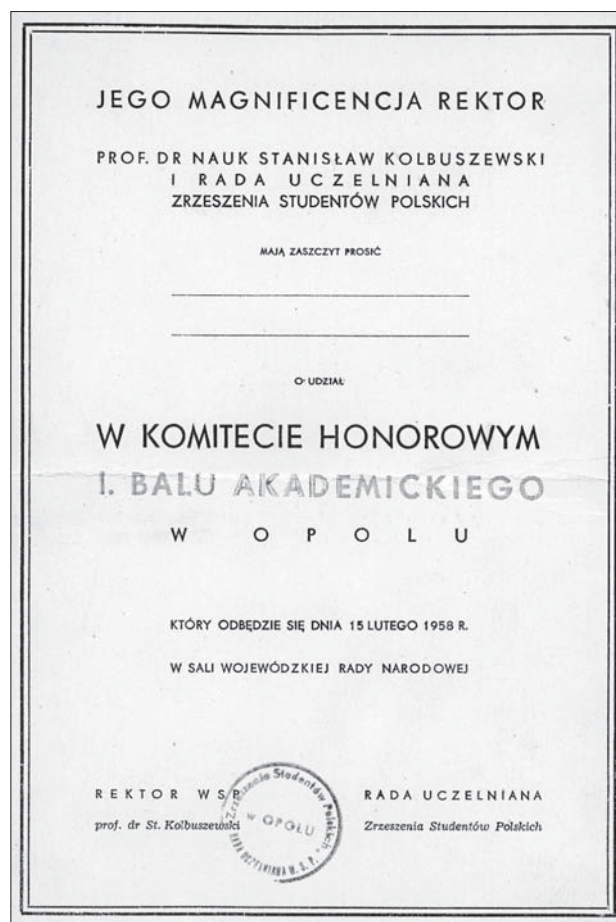
W pierwszych latach działania WSP w Opolu prawie wszyscy pracownicy naukowo-dydaktyczni dojeżdżali na zajęcia z odległych często miejscowości (Wrocław, Katowice, Bytom czy nawet Skoczów) – dlatego niezwykle ważne dla normalnego funkcjonowania uczelni było pozyskanie samodzielnych mieszkań, szczególnie rodzinnych. Osoby samotne, przeważnie była to kadra asystencka, mieszkaly zazwyczaj w pokojach wieloosobowych, tzw. kołchozach w domach studenta lub w pokojach wynajętych przez mieszkańców Opola. W wieloosobowych pokojach w DS-ach nocowali bardzo często profesorowie i starsi nauczyciele akademicy – ci bowiem dojeżdżali do Opola tylko na jeden lub dwa dni. Stopniowo jednak sytuacja poprawiała się, władze miejskie oddawały do dyspozycji uczelni świeżo wyremontowane mieszkania w zniszczonych w czasie działań wojennych domach (budynki wokół Rynku były prawie wszystkie wypalone). Wczesną wiosną 1957 roku ukończono budowę Domu Profesora przy ulicy Matejki 12. Z tym otwarciem wiąże się moja kolejna uczelniana przygoda. Ówczesny rektor opolskiej WSP **prof. dr Stanisław Kolbuszewski** powierzył mi obowiązki przewodniczącego komisji przejmującej od przedsiębiorstwa budowlanego budynek Domu Profesora. W połowie listopada 1957 roku, rano, zebrała się komisja i rozpoczęliśmy protokolarnie przejmowanie obiektu wraz z zapleczem. Zaczęliśmy od piwnic, gdzie nie stwierdziliśmy żadnych usterek, następnie przejęliśmy pomieszczenia sklepowe (późniejszy zakład fryzjerski, którego zaplecze było użytkowane jako mieszkanie przez jednego z pracowników fizycznych uczelni), a później mieszkania. I tu pojawił się problem, byłem bowiem dość skrupulatnym przedstawicielem uczelni w tej komisji i sprawdzałem dokładnie, czy wszystko działa jak należy: zawory wodno-kanalizacyjne, centralnego ogrzewania, gazowe, kontakty elektryczne... Otwierałem każde okna i drzwi. Okazało się, że nie wszystko funkcjonuje prawidłowo: niektóre klamki i zamki nie działają, podobnie jak zawory, a okna są sklejone lakierem i nie dają się otworzyć. Przedstawicielom przedsiębiorstwa budowlanego bardzo zależało na tym, żeby w protokole przyjęcia obiektu wpisać ocenę bardzo dobrą (od tego zależały premie dla pracowników), za komisją – na skutek moich częstych interwencji – szła ekipa budowlanców, usuwających usterki. Tak więc moje wścibstwo okazało się bardzo skuteczne. Protokół podpisałem, 15 listopada 1957 roku lokatorzy dostali klucze do swoich mieszkań.

Pismem z 5 października 1957 roku rektor Stanisław Kolbuszewski powierzył mi „sprawowanie nadzoru nad życiem kulturalnym, moralnym i towarzyskim stu-

dentów WSP zamieszkałych w Domu Studenta przy ul. Katowickiej 81 w okresie od 1 października 1957 do 31 lipca 1958 roku” (później ten okres przedłużono do 30 września). W praktyce pełniłem obowiązki kierownika DS, a sprawy administracyjno-gospodarcze prowadziła bardzo skrupulatnie moja zastępczyni. Ale i przy wykonywaniu tych obowiązków (poza moja podstawową pracą asystenta) przytrafiały się zabawne sytuacje.

Pewnego zimowego wieczoru przybiegł do mnie – a mieszkalem wtedy już w Domu Profesora przy ul. Matejki – przewodniczący Rady Mieszkańców DS z zawiadomieniem, że po schodach żeńskiej części budynku po schodach płynie woda z topniejącego na dachu śniegu. Pobiegliśmy obaj do akademika. Rzeczywiście, po schodach ściekała strugą woda, a portierka i pomagające jej studentki usiłowały opanować sytuację, zbierając ścierkami gromadzącą się w holu wodę. Wydostaliśmy się – przez właz – na dach i razem z przewodniczącym samorządu zaczęliśmy zgarniać łopatami śnieg, który tam się zebrał, tak aby woda nie przedostawała się włazem do wnętrza budynku. Rano akcją odśnieżania dachu – DS-u i budynku uczelni – podjęło kilku innych pracowników.

Również z inicjatywy rektora Kolbuszowskiego 15 lutego 1958 roku w sali obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu odbył się I Bal Akademicki – byłem



Zaproszenie do udziału w Komitecie Honorowym I Balu Akademickiego



Przed warszawą stoją: sekretarka ZSP, portierka, sekretarka dziekanatu mat.-fiz.-chem. Danuta Jędrys-Paciej (z prawej strony)

jednym z organizatorów, mieliśmy m.in. dyskretnie czuwać nad trzeźwością jego uczestników. Było to bardzo trudne zadanie, ale jakoś udało się – bal zakończył się bez incydentów. Na balu, który stał się wydarzeniem dość głośnym w Opolu, bawili się m.in. aktorzy Teatru Opolskiego, dziennikarze, prawnicy, lekarze, urzędnicy władz wojewódzkich i miejskich Opolszczyzny, działacze polityczni i społeczni i oczywiście nauczyciele akademicy oraz bracia studencka naszej WSP. Myślę, że od tego czasu nasza uczelnia została powszechnie zaakceptowana jako część kulturalnego środowiska regionu.

Mimo stopniowo postępującej w kraju odwilży politycznej, ingerencja czynników politycznych (PZPR) oraz służby bezpieczeństwa we wszystkie dziedziny życia była bardzo dokuczliwa, często absurda. Na naszej uczelni też panował niczym nieskrywany nacisk czynników politycznych (KM PZPR i KW PZPR) na wszelkie przejawy działalności dydaktycznej, naukowej, społecznej, organizacyjnej, kadrowej, a nawet ingerencja w życie osobiste nauczycieli akademickich i studentów. Trzeba więc było – przez wiele lat – zachowywać ogromną ostrożność, czasem wręcz stosować kamuflaż polityczny. A sankcje za brak politycznej poprawności były groźne! Szczególnie trudne były okresy przesilen – w latach 1956, 1958, 1968. Jednak mimo groźnych pomruków dochodzących z tzw. białego domu jesienią 1958 r. udało mi się – za namową ówczesnego dyrektora administracyjnego naszej WSP, a równocześnie komendanta Opolskiej Chorągwi ZHP harcmistrza **Stefana Grobelnego**, zorganizować na uczelni drużynę harcerstwa akademickiego. Z gromadą zaprzyjaźnionych studentów przystąpiłem do organizowania drużyny, wykorzystując

doświadczenia przedwojennego harcerstwa akademickiego, jak i własne domowe wychowanie oraz działalność z lat 1946-1948 we Wrocławiu.

Stan liczebny naszej drużyny szybko rósł, opracowaliśmy własną konstytucję drużyny, program działania – na zasadzie szkoły instruktorskiej. Za patrona wybraliśmy „Bohaterów spod Monte Cassino”, a w 1959 r. przyjęliśmy oficjalną nazwę: Harcerski Akademicki Krąg Instruktorski, czyli HAKI. Byliśmy jedną z pierwszych drużyn harcerstwa akademickiego w Polsce. Długo jeszcze słyszałem wymówki ze strony władz politycznych: „Po co harcerstwo w uczelni? I dlaczego imię Bohaterów spod Monte Cassino – przecież wolność przysłała do nas z innej strony. A może jednak zajmiecie się ZMS-em?” ZMS-em się

nie zająłem, a HAKI były moim ukochanym dzieckiem. Bywały lata, kiedy Krąg liczył ponad 170 instruktorek i instruktorów. W dziesiątym roku działalności otrzymaliśmy od władz uczelni sztandar, a od honorowych członków HAKI (uczestników bitwy pod Monte Cassino!) – urnę z ziemią spod Monte Cassino. Celem programowym Kręgu było kształcenie i doskonalenie umiejętności pedagogicznych instruktora harcerskiego oraz wzbogacanie przyszłego warsztatu nauczycielskiego o dorobek metodyczny harcerstwa polskiego. Badanie i upowszechnianie dorobku pedagogicznego harcerstwa stało się podstawowym zadaniem powstałej jesienią 1968 roku pierwszej w Polsce akademickiej placówki naukowej podejmującej tę problematykę. Pracownia Metodyki Wychowania Harcerskiego przy ówczesnej Katedrze Pedagogiki WSP w Opolu spowodowała powstawanie podobnych placówek w kilku innych szkołach wyższych kształcących nauczycieli,



Kucharki ze stołówki mieszczącej się w obecnym „Mrówkowcu”



Zajęcia wojskowe w Winowie, z kapitanem Salą

Wiosną 1967 roku, tuż po doktoracie, ówczesny rektor WSP **prof. dr Maurycy Horn** zlecił mi organizację i dowodzenie Zakładowym Oddziałem Samoobrony WSP w Opolu. W tym okresie bowiem Ministerstwo Obrony, zgodnie z obowiązującą doktryną przeciwatomowej obrony kraju, przystąpiło do powszechnej organizacji takich oddziałów przede wszystkim w większych zakładach pracy, szkołach wyższych i szpitalach. Po tygodniowym kursie w podwarszawskim ośrodku szkolenia kadr samoobrony zacząłem organizować ZOS w naszej uczelni – w skład oddziału weszło kilkadziesiąt osób

– pracowników naukowo-dydaktycznych, administracyjno-gospodarczych i biblioteki, podzielonych na sekcje (medyczne, p. poż., ochronne, chemiczne itp.). Funkcję tę pełniłem do jesieni 1972 roku.

W lutym 1974 roku otrzymałem przeniesienie na Uniwersytet Śląski w Katowicach, początkowo jednak pracowałem w filii UŚ w Cieszynie – tam w różnych okresach pełniłem obowiązki dziekańskie oraz kolejno: kierownika Zakładu Pedagogiki Pracy Kulturalno-Oświatowej, Zakładu Metodyki Pracy Organizacji Młodzieżowych przekształconego następnie w Zakład Teorii Nauczania i Wychowania. W październiku 1983 roku uzyskałem przeniesienie na Wydział Pedagogiki i Psychologii UŚ w Katowicach. I w Cieszynie, i w Katowicach prowadziłem wykłady i ćwiczenia z pedagogiki oraz metodyki wychowania harcerskiego, a także seminaria magisterskie. Na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UŚ pracowałem do emerytury w 1996 roku. Do 2002 roku w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej prowadziłem wykłady i ćwiczenia z zakresu metodyki pracy nauczyciela bibliotekarza, tam też zorganizowałem (i pełniłem obowiązki opiekuna naukowo-merytorycznego) pierwszą w Polsce Pracownię Polskiej Bibliografii Harcerskiej i Skautowej.

Janusz Michulowicz
Fot. **Roman Krajewski**

Mity greckie na dziedzińcu

W dniach 7–14 maja gośćmi naszych studentów byli studenci ośrodków akademickich z Trier (Niemcy) – było to spotkanie w ramach programu „Spotkanie kultur”, który współfinansował Deutsch-Polnisches Jugendwerk z siedzibą w Poczdamie. Niemieccy studenci wspólnie ze studentami Uniwersytetu Opolskiego realizowali w Opolu dwa projekty – spektakl teatralno-muzyczny „Bez słów” oraz, we współpracy z działającą na uczelni rozgłośnią radiową Radio-Sygnaly, projekt „Euro-sygnaly”. W trakcie pobytu w Polsce niemieccy studenci, którym towarzyszyła opiekunka **Martine Charles-Reuch**, zwiedzili Kraków, w Opolu gościli m.in. w Muzeum Diecezjalnym.



Na zdjęciu: Polscy i niemieccy tancerze odtwarzają mity greckie. Fot. Rafał Mielnik



Wspólna fotografia przed Collegium Maius UO

13 maja polsko-niemieckie spotkanie studentów miało swój widowiskowy finał. Wieczorem, na dziedzińcu Collegium Maius odbyły się

pokazy taneczne. Najpierw polscy i niemieccy tancerze, przygotowani przez Dorotę Porowską-Podleśną z Lublina, zaprezentowali taniec

antyczny, odtwarzając gesty figur antycznych i postaci namalowanych na starożytnej ceramice. Sięgając po te środki wyrazu tancerze opowiedzieli m.in. historię Pigmaliona i Galatei oraz mit o potopie deukalinowym. Tańcowi towarzyszyła muzyka stylizowana na antyczną (nagranie) wzbogacona autentycznymi dźwiękami bębna, na którym grał student Uniwersytetu Opolskiego Łukasz Zalewski.

Po występie studentów, na scenie pojawili się tancerze z opolskiej szkoły capoeiry, tańca, za pomocą którego brazylijscy niewolnicy szkolili się w sztuce walki.

Występ studentki UO **Alicji Kalinowskiej**, śpiewającej głównie standardy muzyki popowej, zakończył polsko-niemiecki tydzień wymiany studentów.

BEZ, bas

Dekada Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO 1996–2006

Wydział Historyczno-Pedagogiczny UO jako samodzielna, podstawowa jednostka organizacyjna funkcjonuje od 1 października 1996 roku. Został wydzielony z ówczesnego Wydziału Filologiczno-Historycznego na mocy zarządzenia ministra edukacji narodowej z dnia 31 maja 1996 roku. Strukturę wydziału tworzyły wówczas: Instytut Nauk Pedagogicznych (instytutem kierują od 1995 r.: **dr hab. Zenon Jasiński, prof. UO** – dyrektor, **dr Eryk Holona** – zastępca dyrektora do 31 sierpnia 2005 r.; poprzednio funkcję tę pełniła **prof. dr hab. Józefa Brągiel**, a od 1 września 2005 r. **dr hab. Eleonora Sapia-Drewniak, prof. UO** – zastępca dyrektora), Instytut Studiów Edukacyjnych (instytutem kierował od początku jego powstania **prof. dr hab. Władysław Puśle-**



Uroczysta Rada Wydziału Historyczno-Pedagogicznego. Na zdjęciu od lewej: prorektor UO prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja, rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja, dziekan Wydz. Histor.-Pedag. dr hab. Stefan M. Grochalski, prof. UO

cki, od 1 września 2003 r. – **dr hab. Jadwiga Hanisz, prof. UO**; zastępcy dyrektora: **prof. dr hab. Teresa Borowska, dr hab. Ewa Smak, prof. UO, dr Stanisława Włoch**), Instytut Nauk Społecznych (dyrektorzy instytutu: **prof. dr hab. Jan Korbel, dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO**; zastępcy: **dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO, dr Regina Giermakowska, dr Lech Rubisz**), Instytut Historii (dyrektorzy instytutu: do 31 sierpnia 2005 r. **prof. dr hab. Adam Suchoński**, od 1 września 2005 r. – **dr hab. Leszek Kuberski, prof. UO**; zastępcy: **dr Marta Hatałska-Rygorowicz, dr hab. Leszek Kuberski, prof. UO, dr Andrzej Szczepaniak, dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz, prof. UO, prof. dr hab. Krzysztof Tarka**). Aktualnie strukturę wydziału tworzą następujące instytuty: Instytut Historii, Instytut Nauk Pedagogicznych, Instytut Studiów Edukacyjnych, Instytut Psychologii (dyrektorzy: do lutego 2003 r. **prof. dr hab. Wiesław Łukaszewski, dr Alicja Głębocka** do 31 sierpnia 2005 r., od 1 września 2005 r. **dr Anna Bronowicka**, zastępcy: **dr Zofia Halska, prof. dr hab. Dariusz Doliński, dr Anna Bokszczanin, dr Alicja Głębocka, dr Jarosław Kulbat, dr Małgorzata Kopacz, mgr Zofia Pupin**), Instytut Sztuki (dyrektorami byli kolejno: **dr hab. Leon Podsiadły, prof. UO, prof. dr hab. Janusz Grzonkowski, dr hab. Łucja Piwo-war-Bagińska, prof. UO**, obecnie – **dr hab. Andrzej P. Bator, prof. UO**; zastępcy: **dr hab. Łucja Piwo-war-Bagińska, prof. UO, dr hab. Marian Molenda, prof. UO, dr Aleksandra Janik**), Instytut Politologii (dyrektor: **dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO**; zastępcy: **dr Lech Rubisz, dr Norbert Honka, dr hab. Janusz Sawczuk, prof. UO, dr Krzysztof Zuba**), Instytut Filozofii i Socjologii (dyrektorzy: **dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO** – do 31 sierpnia 2005 roku, od 1 września 2005 roku – **dr hab. Krzysztof Rotter, prof. UO**; zastępcy: **dr Regina Giermakowska, dr Anna Śliz, dr Marek Korzeniowski, dr Grzegorz Francuz**).

Zajęcia w roku akademickim 1996/97, będącym pierwszym rokiem działalności wydziału, studenci rozpoczęli na trzech kierunkach magisterskich: historii, pedagogice (z licznymi specjalnościami), politologii i naukach społecznych, oraz na trzyletnich studiach licencjackich na kierunku wychowanie plastyczne. Obecnie Wydział Historyczno-Pedagogiczny oferuje kształcenie na siedmiu kierunkach magisterskich: historia, pedagogika (ze specjalnościami), politologia, edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych, psychologia, socjologia i filozofia oraz na jednym kierunku licencjackim: stosunki międzynarodowe.

Studia na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym spełniają wszelkie przewidziane prawem wymogi. Są prowadzone według standardów obowiązujących na wszystkich uczelniach w Polsce, co oznacza między innymi, iż wdrożony został system punktów kredytowych ECTS. Wydział jest również przygotowany, zgodnie z systemem bolońskim, do wprowadzenia w roku aka-

demickim 2006/07, studiów trzystopniowych: studia I stopnia – licencjackie, II stopnia – magisterskie oraz studia doktoranckie w zakresie historii i pedagogiki.

W latach 1996 – 2005 liczba wypromowanych absolwentów – magistrów na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym na studiach stacjonarnych i niestacjonarnych łącznie wyniosła 13699 osób. W roku akademickim 2005/06 na wydziale studiuje w systemie stacjonarnym 2522 studentów, a na studiach niestacjonarnych – 2627.

Z dziekanatem wydziału związane były i są następujące pracownice: **Ewa Damasiewicz, Eulalia Knawa, Teresa Terlecka, Czesława Bilińska, Małgorzata Wol-ska, Józefa Pawlak, Anna Wochnik i Anna Śleziona**. Od początku istnienia wydziału funkcję kierownika dziekanatu pełni **Irena Sikorska**.

Wszystkie kierunki magisterskie uzyskały pozytywną ocenę kolejnych Komisji Akredytacyjnych z wyjątkiem filozofii, która takiej ocenie nie była jeszcze poddana. Ważnym segmentem działalności dydaktycznej są liczne studia podyplomowe prowadzone na wydziale. W tym względzie szczególne miejsce zajmują Instytut Nauk Pedagogicznych, Instytut Studiów Edukacyjnych, Instytuty Historii i Politologii.

W ciągu pierwszej dekady wydziałem kierowali: **prof. dr hab. Stanisław Gawlik**, który funkcję dziekana pełnił w latach 1996–1999 (w tym okresie prodziekanami byli: **dr hab. Monika Kamińska, prof. UO, dr hab. Marek Masnyk, prof. UO i dr hab. Stanisław Zagórny, prof. UO**) i **dr hab. Marek Masnyk, prof. UO** (dwie kadencje: 1999–2005). W trakcie trwania pierwszej kadencji dziekana Marka Masnyka jego zastępcami byli: **dr hab. Anna Barska, prof. UO, dr hab. Monika Kamińska, prof. UO i dr Marek Zemła**. W czasie drugiej kadencji (2002–2005) funkcje prodziekanów sprawowali: **dr hab. Anna Barska, dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO i dr Marek Zemła**. Od września 2005 r. funkcję dziekana wydziału pełni **dr hab. Stefan Marek Grochalski** wraz z prodziekanami: **dr hab. Ryszardem Gmochem, prof. UO, dr hab. Danutą Kisielewicz, prof. UO i dr Alicją Głębocką**.

Oprócz obowiązków wynikających z prowadzenia kierunków studiów, Wydział Historyczno-Pedagogiczny w ciągu pierwszej dekady zdobył uprawnienia do nadawania stopni naukowych. W 1996 r. wydział uzyskał uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora nauk humanistycznych w zakresie historii. Rok później – uprawnienia do nadawania doktora nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki. Od 1997 r. wydział posiada też uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego w zakresie historii. W latach 1999–2003 Wydział Historyczno-Pedagogiczny posiadał uprawnienia do nadawania stopnia doktora w zakresie psychologii. Obecnie kończą się prace nad przygotowaniem wniosku o uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora nauk humanistycznych w zakresie filozofii. W latach 1996 – 2006 na wydziale stopień doktora uzyskały

134 osoby, habilitowało się 11 osób, przeprowadzono 6 przewodów profesorskich.

Wydział Historyczno-Pedagogiczny, obecnie największy wydział Uniwersytetu Opolskiego, nie tylko rozwijał się pod względem wzrostu ilości kierunków studiów i ilości studentów (studia stacjonarne i niestacjonarne), ale również pod względem kadrowym. W chwili powstania wydziału zatrudnione były w nim na pełnym etacie 162 osoby, w tym: 20 profesorów tytułarnych, 23 doktorów habilitowanych na stanowisku profesora nadzwyczajnego, 7 doktorów habilitowanych na stanowisku adiunkta, 65 adiunktów. Obecnie zatrudnionych jest na pierwszym pełnym etacie 213 pracowników naukowo-dydaktycznych, w tym: 20 profesorów tytułarnych, 49 doktorów habilitowanych na stanowisku profesora nadzwyczajnego, 82 adiunktów, 62 asystentów i wykładowców.

Nie ominęły nas także smutne wydarzenia. W 1997 r. zmarł **dr Bronisław Cioch** z Instytutu Historii, będący na emeryturze **prof. dr hab. Ignacy Pawłowski** i **dr Kazimierz Wirski**. W roku 1999 - **mgr Dariusz Wyrobek** z ówczesnego Instytutu Nauk Społecznych, w 2003 r. - **prof. dr hab. Wiesław Lesiuk**. W tym samym roku zmarł emerytowany już **prof. dr hab. Jan Korbel**, długoletni dyrektor Instytutu Nauk Społecznych.

Z inspiracji Rady Wydziału Historyczno-Pedagogicznego doktoraty honoris causa Uniwersytetu Opolskiego otrzymało wiele wybitnych osób: **Hendrik Foth** – mecenas kultury i sztuki, znawca europejskiego prawa karnego i spadkowego, **Jerzy Janicki** – wybitny pisarz, prozaik, dramaturg i scenarzysta, znawca Kresów Wschodnich, **Ryszard Kaczorowski** – ostatni Prezydent RP na uchodźstwie, **Wojciech Kilar** – światowej sławy muzyk i kompozytor, **Kazimierz Kutz** – reżyser, scenarzysta filmowy i teatralny, senator RP, **prof. dr hab. Zbigniew Kwieciński** – wybitny polski pedagog, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, **prof. dr hab. Tadeusz Lewowicki** – wybitny polski uczyony, przedstawiciel nauk o wychowaniu, **prof. dr hab. Jaroslav Panek** – wybitny uczyony, znawca stosunków polsko-czeskich i wczesnego parlamentaryzmu, **prof. dr hab. Zbigniew Religa** – światowej sławy kardiochirurg, **prof. dr hab. Janusz Tazbir** – wybitny polski historyk, członek rzeczywisty PAN, **prof. dr hab. Wojciech Wrześniński** – wybitny badacz dziejów Polski i stosunków polsko-niemieckich.

dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO
dziedkan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO

Dni Wydziału Historyczno-Pedagogicznego

W dniach 23–27 kwietnia 2006 roku z okazji dziesięciolecia Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO odbyły się Dni Wydziału. Święto zapoczątkowała wystawa „Oddycham przestrzeni” w Miejskim Ośrodku Kultury oraz w Galerii „Młynek”, której autorami byli pracownicy i studenci pracowni rzeźby Instytutu Sztuki. Obchody zakończyła uroczysta Rada Wydziału Historyczno-Pedagogicznego, w której udział wzięli: rektor UO **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja**, prorektor **prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja** oraz zaproszony na tę uroczystość pierwszy dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **prof. dr hab. Stanisław Gawlik**.

W trakcie święta wydziału odbyły się – przygotowane przez studentów i pracowników – liczne

imprezy, które pokazywały dorobek naukowy pracowników wydziału i wielu kół naukowych, działają-

cych w ramach instytutów. Z inicjatywy samorządu studenckiego w Sali Senatu UO zorganizowano



Na zdjęciu (od lewej): prof. Marek Masnyk (były dziekan Wydz. Historyczno-Pedagogicznego), obecny dziekan prof. Marek Grochalski, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja i były dziekan prof. Stanisław Gawlik

spotkanie władz rektorskich, dziekańskich i samorządu studenckiego z przedstawicielami samorządów uczniowskich szkół ponadgimnazjalnych Opolszczyzny. Młodzież miała okazję poznać uczelnię oraz wydział – przede wszystkim kierunki studiów oferowanych przez Wydział Historyczno-Pedagogiczny. Po spotkaniu uczniowie wysłuchali wykładu **dr. Grzegorza Balawajdera** na temat „Zmieniające się funkcje granic we współczesnej Europie”, uczestniczyli także w warsztatach teatralnych „Pociąg”, prowadzonych przez **mgr Agnieszkę Włoch**, wysłuchali też wykładu **dr Ireny Dzwonkowskiej** pt. „Czy nieśmiały otrzymują taką pomoc, jakiej potrzebują i o jaką proszą?”

Wyjątkowym zainteresowaniem cieszyła się wystawa pt. „Tacy byliśmy jeszcze wczoraj”, prezentująca fotografie rektora, dziekana, prodziekanów, rzecznika UO oraz dyrektorów instytutów z lat, kiedy byli uczniami szkół podstawowych i średnich – zorganizowano konkurs, w którym studenci mieli za zadanie zidentyfikować, kto jest na danym zdjęciu. Konkurs Dziekana Wy-

działu wygrała studentka **Danuta Janas**. Ponadto 25 kwietnia cały dzień poświęcony był prezentacji instytutów Wydziału Historyczno-Pedagogicznego. Instytut Filozofii i Socjologii poprowadził warsztaty przygotowane przez Koło Naukowe Orientalistów. W Collegium Pedagogicum odbyły się warsztaty zatytułowane „Komputer też człowiek...?” przygotowane przez **Jagodę Jasińską** oraz **Małgorzatę Gołębiowską** przygotowane przez Koło Naukowe Terapeutów Instytutu Studiów Edukacyjnych. W tym samym dniu odbyły się kolejne warsztaty „Poznajemy się bliżej – zabawy integracyjne w edukacji wczesnoszkolnej” – przygotowane przez Koło Naukowe Pedagogiki Wczesnoszkolnej. Ta impreza zamknął wieczorny plenerowy pokaz animacji eksperymentalnej z Pracowni Multimedialnej Instytutu Sztuki. Pokaz odbył się na boisku kampusu akademickiego i zgromadził szczególnie dużą ilość osób.

Zwieńczeniem Dni Wydziału był koncert muzyki gospel w wykonaniu „Opole Gospel Choir” pod dyrekcją **Jacka Melnickiego**. Koncert, któ-

ry odbył się w auli prowadziła absolwentka wydziału, redaktor TVP Opole, **Marta Bobowska**. Występ zespołu poprzedziły minikoncerty studentki Instytutu Nauk Pedagogicznych **Elizy Idec** oraz absolwentki Instytutu Nauk Pedagogicznych **Sabiny Golanowskiej**. Licznie zgromadzona publiczność (studenci i pracownicy uczelni) owacyjnie przyjęła występ artystów, którzy z wielkim zaangażowaniem i artystyczną pasją zaprezentowali swój bogaty repertuar. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż artyści zrzekli się należnego im honorarium.

Dni Wydziału były zorganizowane dzięki pracy wielu osób. Pragnąłbym podziękować studentom, zwłaszcza: staroście Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **Łukaszowi Pasternakowi**, **Alicji Kochmańskiej**, **Justynie Smolnik**, **Karolinie Chromczak**, **Małgorzacie Gołębiowskiej**, **Monice Pindur**, **Grażynie Opulskiej**, **Danucie Janas**, **Sebastianowi Wronie**, **Grzegorzowi Kwiatkowskiemu**, **Wojciechowi Stachowiakowi**.

Marek Grochalski

Świat starych śląskich fotografii

Majowe uroczystości

Stało się już w Polsce tradycją, że w maju, w najpiękniejszym miesiącu roku, w środku wiosny odbywają się pierwsze komunie święte, które w rodzinach katolickich są wielkim wydarzeniem. Na Śląsku Opolskim, gdzie przez wieki żyli obok siebie katolicy, ewangelicy i protestanci, te majowe uroczystości miały zawsze, obok świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, najważniejszy wymiar religijny i znalazły odbicie w fotografii, gdyż uroczystość pójścia do pierwszej komunii, a u protestantów konfirmacja były znakomitą okazją,

aby zrobić zdjęcie. Nie szcędzono na to pieniędzy nawet w rodzinach najbiedniejszych, w których fotografowanie było wyjątkową rzadkością.

W biednych chłopskich rodzinach fotografowano się tylko przy okazji ślubów, pobytu w wojsku i właśnie z okazji pierwszej komunii bądź konfirmacji. Podobnie było w rodzinach robotniczych. Jednak podczas specjalnych uroczystości, a pierwsza komunია czy konfirmacja takie były, fotografia przestaje być tylko przywilejem bogatych zie-

mian, fabrykantów i mieszczan, ale staje się obecna w domach chłopskich i robotniczych.

Wykonanie fotografii komunijnej miało jeszcze jedną przyczynę. Dzieci przygotowywały się do tego ważnego dla nich wydarzenia nie tylko duchowo, wewnątrznie, ale otrzymywały nowe ubranie, książeczkę do nabożeństwa, różaniec, świecę. Dlatego ten moment trzeba było zapisać na fotografii.

Od kilku lat zbieram zdjęcia śląskich fotografów – od Bytomia po Wrocław i Zgorzelec, które przed-



Fotografia dwóch sióstr wykonana w atelier Th. Axmanna z Kluczborka

stawiają młodzież śląską w uroczystych odświętnych strojach komunijnych. Oto kilka przykładów.

Najstarsze zdjęcie pochodzi z atelier Th. Axmanna z Kluczborka i przedstawia być może dwie siostry, z których jedna, mająca około 14-15 lat, uczestniczyła w konfirmacji. Warto tu powiedzieć, że w religii katolickiej do pierwszej komunii świętej przystępowały dzieci w wieku 8-9 lat, natomiast w wyznaniu protestanckim w uroczystości konfirmacji bierze udział młodzież w wieku 14-18 lat. Na zdjęciu uwagę zwraca ubiór dziewcząt – odświętny strój śląski: czarna spódnica przepasana białym koronkowym fartuchem i czarny, przyozdobiony dołem haftem kaftanik. Niezwykłości dodają kaftanikowi jesz-



Fotografia z atelier Franza Matzela z Prudnika



Rodzina śląska z Chorzowa na fotografii z zakładu fotograficznego Paula Hildebrandta



Dziewczynka w stroju komunijnym na fotografii wykonanej w bytomskim atelier „Germania”



Fotografia z lat 20-30 ub. wieku. Atelier „Germania”

cze bufiaste rękawy. Uczestnicząca w konfirmacji dziewczyna ma na włosach wianuszek z mirtu, a w dłoniach trzyma książeczkę do nabożeństwa i świecę.

Z tego samego okresu jest zdjęcie z zakładu fotograficznego Franza Matzela z Prudnika. Przedstawia dziewczynkę w długiej białej koronkowej sukni z książeczką do nabożeństwa w lewej ręce i świecą w prawej, która w tym dniu przystępowała do pierwszej komunii. Na gładko zaczesanych do tyłu włosach widać wianuszek z mirtu. Również świeca przyozdobiona jest mirtem – symbolem czystości. Na szyi wyeksponowany jest łańcuszek z krzyżykiem – najczęstszy prezent otrzymywany od matki chrzestnej.

Kolejne zdjęcie przedstawia śląską rodzinę z Chorzowa, która sfotografowała się w znanym tam zakładzie Paula Hildebrandta. Rodzina liczy 6 osób i została przez fotografa pięknie ustawiona. Widać tu dumę

i zadowolenie rodziców, młodsze dzieci są trochę wystraszone i bardzo przejęte. Przyglądając się białej sukni komunijnej, możemy stwierdzić, iż mało różni się wykresem od sukienek, które mają pozostałe dwie starsze dziewczynki: stójka, podkreślona paskiem talia, spódnica w szerokie fałdy rozszerzona ku dołowi. Ponieważ jednak uszyta jest z koronki i przyozdobiona tiulowym haftem na mankietach i stójce, nabiera odświętności i charakteru specjalnego przeznaczenia. Bardzo charakterystyczne są tutaj rękawy wszystkich sukienek. Składają się z trzech części: krótki rękawek, część łokciowo-nadgarstkowa oraz mankiet. Zwracają uwagę również buty wszystkich dzieci – ciemne trzewiki, wyczyszczone, błyszczące. Głowę dziewczynki, która tego dnia, gdy robione było zdjęcie, przyjęła pierwszą komunię, przyozdabia wianek z mirtu. W dłoniach trzyma książeczkę do nabożeństwa i bogato przystrojoną mirtem świecę.

Zdjęcie to może pochodzić z przełomu XIX i XX wieku lub z początku XX wieku. Wtedy bowiem modne były bluzeczki zakończone przy szyi stójką, a dzieci nosiły ubranka z wyraźnymi akcentami stroju marynarskiego, co widzimy u najmłodszego członka rodziny. Pięknym akcentem tej fotografii są kwiaty trzymane przez dzieci: tulipany i biały bez – świadectwo ciepłej wiosny.

Z tego samego okresu pochodzi następna fotografia. Wykonana została w znanym bytomskim atelier „Germania”, mieszczącym się przy dworcu głównym. Zdjęcie posiada niezwykle ciekawą oprawę - bardzo zdobne passpartou, specjalnie wydrukowane na tę okoliczność. Zakład ten dysponował różnymi wzorami takich opraw.

Dziewczynka ma suknię podobną do tej z poprzedniego zdjęcia: stójka, charakterystyczne rękawy, spódnica w szerokie fałdy, ciemne trzewiki.

Z tego samego atelier „Germania” pochodzi kolejne zdjęcie, choć ze znacznie późniejszego okresu – z

lat 20.-30. XX wieku, gdy właścicielem był G. Müller. Krój i długość sukni komunijnej są bardzo charakterystyczne dla tej epoki – epoki charlestone’a: mocno obniżona talia bez zaznaczenia wcięcia w pasie, zakończona dołem falbankami, swą długością sięgająca do kolan. Sukienka jest bardzo skromniutka, bez jakichkolwiek fantazyjnych przyozdobień. Na piersi dziewczynki łańcuszek z serduszkami, w prawej ręce przybrana mirtem świeca, w lewej – książeczka do nabożeństwa oraz różaniec. Na głowie wianuszek z mirtu. Inne jest już obuwie. Zniknęły z nóg trzewiczki, pojawiły się sandaalki. Na taboreciku obok dziewczynki leży gałązka białego bzu. W atelier jest już inna dekoracja.

Ostatnie prezentowane zdjęcie zostało wykonane w zakładzie Karla Kotscha w Raciborzu. Chłopiec nie ma na sobie garnitur, jaki nosi się dzisiaj, ale ciemne ubranko – najprawdopodobniej brązowe. Spodnie swą długością sięgają nieco poza kolana, marynarka typowa, choć uszyta trochę na wyrost, pod spodem kamizelka, biała koszula ze stójką oraz biała muszka na szyi.



Chłopiec w stroju komunijnym – fotografia z zakładu Karla Kotscha w Raciborzu

W prawej dłoni trzyma przyozdobioną mirtem świecę. Na nogach ma sznurowane trzewiki.

Na zaprezentowanych przeze mnie zdjęciach widzieliśmy w miarę skromne suknie komunijne, choć i tu można dostrzec różnice. Z pewnością wybór materiału: koronki, muślinów, jedwabiu czy zwykłego płócienka mógł wynikać z upodobań, ale też mógł wiązać się z zamoż-

nością rodziny. Sądzę, że problem dziewczęcego stroju komunijnego istniał zawsze, jednak dzisiaj nabral on prawie karykaturalnych rozmiarów. Dzieci wymuszają na rodzicach albo sami rodzice zamawiają bogato zdobione, bardzo drogie stroje dla córek. Broniąc się przed tym, Kościół próbuje, z różnym powodzeniem, wprowadzać stroje jednolite, tzw. alby, aby przynajmniej podczas

tej ważnej uroczystości religijnej nie ujawniały się różnice w dostatku rodzin i aby to wydarzenie nie było pokazem mody, a jedynie wielkim przeżyciem duchowym przede wszystkim samego dziecka, ale także jego najbliższych.

Halina Nicieja

Instytut Studiów Edukacyjnych

CYTATY Z IMPORTU

„Śląsk”, 2006, nr 4, s. 94

Nicieja: reaktywacja

Huragany braw i salwy śmiechu w odpowiedzi na błyskotliwe, często politycznie niepoprawne anegdoty Szanownych Laureatów. Uroczystość z okazji nadania doktoratów honoris causa Janowi Miodkowi i Jerzemu Janickiemu przypominała starannie wyreżyserowane show

i była dobitnym przypomnieniem faktu, że prof. Stanisław S. Nicieja pożegnał się z polityką (na razie?) i wrócił na fotel rektora Uniwersytetu Opolskiego.

Nicieja, spec od autokreacji, ma tyłuż wielbicieli, co krytyków. Ale nie sposób mu odmówić skuteczno-

ści w walce o interesy jego wymarzonej Alma Mater, Uniwersytetu Opolskiego. Przy okazji honorowania Miodka i Janickiego wygłosił swego rodzaju laudację na cześć opolskiej uczelni, która faktycznie w ostatnich latach stała się motorem rozwoju Opola. Może nie jest



Posąg św. Krzysztofa sprzed Collegium Minus UO. Rys. Anna Dziemieszyńska

to Heidelberg, a może nawet nie jest to jeszcze Toruń, ale faktem jest, że na tle raczej zwijającego się województwa, opolskie uczelnie, bo nie tylko uniwersytet, radzą sobie całkiem dobrze.

Rzecz jasna nie brak i kłopotów. Jeszcze nie tak dawno istniało realne ryzyko, że w związku z ucieczką kadry z uczelni zniknie ciesząca się sporą renomą psychologia. Nie da się też ukryć, że ostatnio pisało się raczej o kłopotach niż sukcesach uniwersytetu. Bo zagrożenia nadal istnieją: Uniwersytet Opolski, wciąż na dorobku, może mieć kłopot z utrzymaniem obecnego statusu, bo – w myśl przepisów – musi do roku 2010 uzyskać uprawnienia do doktoryzowania w dwunastu dziedzinach (brakuje pięciu). W Opolu rozważa się kilka wariantów, w tym awaryjny, polegający na połączeniu uniwersytetu z Politechniką Opolską. Co pewnie nie nastąpi, bo miałyby posmak wchłonięcia politechniki przez bardziej operatywne go partnera i tym samym wywołałyby oczywisty opór. Podobnie jak

może się nie udać przejście przez rozbudowującą się uczelnię całego Wzgórza Uniwersyteckiego. Choć ambicja uczynienia z tego wzgórz nowego centrum Opolu towarzyszy Nicieji od dawna.

Nicieja, jako się rzekło, ma krytyków, a nawet jawnych wrogów, którzy wbijają mu szpile przy każdej okazji. Wytykają mu na okrągło „zawłaszczanie” na rzecz uczelni ruchomych zabytków (co jego zwolennicy postrzegają z kolei jako tych zabytków ratowanie). W nieskończoność wywlekają mu też młodzieńcze prace na temat ruchu robotniczego czy związki z SLD. Jego powrót na fotel rektora przywiłały nawet komentarze w rodzaju „komunista rektorem”, przy okazji całej opolskiej uczelni próbowano przypiąć łatkę „czerwonej Sorbony”. Choć, żeby było zabawniej, raptem kilka lat temu prof. Maria Szyszkowska (wówczas z SLD) pryncypialnie wytykała Nicieji, dla odmiany, związki z kościelną kruchtą. Bo, jak wiadomo, nie byłoby uniwersytetu, gdyby nie poparcie ze

strony arcybiskupa Alfonsa Nossola dla pomysłu włączenia do tworzonej uczelni wydziału teologicznego. Kto wie, gdyby miało to pomóc uniwersytetowi, to Nicieja byłby pewnie gotów na zawarcie paktu z diabłem.

Ale, powiedzmy sobie szczerze, właśnie kogoś takiego opolska uczelnia potrzebuje. Jeśli rozdaje na prawo i lewo honorowe doktoraty, to nie tylko dlatego, że chce uszczknąć coś ze sławy laureatów. Przy okazji robi też coś innego: buduje koalicję przyjaciół. No i zapewnia dodatkową atrakcję studentom. Bo ci mają dziś taki wybór, że czymś trzeba ich przyciągnąć. Miodkiem od czasu do czasu, a na co dzień marmurami Collegium Maius. Takie są prawa rynku, które – czy tego chcemy, czy nie – obowiązują także w wyższych sferach uniwersyteckich. I Nicieja, ze swoimi ekstrawaganckimi krawatami, zegarkami i lekką megalomanią doskonale to rozumie.

Marek Świercz

Charles Chaplin dzisiaj

W dniach 20–22 marca 2006 r. pod patronatem Naukowego Koła Filmoznawców odbyła się na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Opolskiego studencka sesja naukowa poświęcona życiu i twórczości jednego z największych komików filmowych – Charlesa Chaplina. Podczas trzech dni spotkań zaprezentowano jedenaście referatów i odbyło się sześć projekcji filmowych przybliżających sylwetkę twórczą aktora i reżysera. Wbrew obawom frekwencja dopisała, gdyż studenci mieli rzadką okazję uczestniczenia w przeglądzie filmów w dużej części należących do minionej, niemej epoki kina. Paradoksalnie też, owe filmy oglądane na dużym ekranie, stanowiły dla wielu widzów nowe doświadczenie. Sam Charles Chaplin powszechnie kojarzony jest z mityczną postacią Charliego, trampa o złotym sercu. Drobna postać w meloniku, z nieodłączną laseczką, w za ciasnej marynarce, workowatych spodniach, za dużych butach oznacza dzisiaj popularną, bo zagarniętą przez kulturę masową ikonę. Komiczna niezręczność tej postaci stała się synonimem gestu rodem z martwego gatunku

komedii slapstickowej. Tymczasem dystans historyczno-kulturowy (od premiery pierwszego filmu Chaplina mija 92 lata) pozwala nam przyglądać się dzisiaj owej mitycznej postaci z innej perspektywy. Kunszt pantomimiczny Chaplina przetrwał niemal nienaruszony, a pozornie błahe komedie tchną świeżością i siłą.

Ideą przewodnią sesji było przede wszystkim sprowokowanie dyskusji na temat aktualności przesłania filmów Charlesa Chaplina. Prowokacja z racji braku odzewu przybrała postać milczącej akceptacji i jednocześnie aktualizacji tegoż przesłania, a filmy spełniły rolę interlokutorów, zadziwiająco łatwo wpisując się w kontekst współczesny. W puentującej *Dyktatora* przemowie widzowie mogli, przykładowo, usłyszeć:

*(...) Chciwość zatrzuwa ludzkie dusze
zamyka świat w szponach nienawiści (...)
(...) Nowoczesność zawiodła nas w potrzebie.
Nasza wiedza cynicznie nami manipuluje,
Nasza inteligencja to twardość i niezłucliwość.*

*Za dużo myślimy, a za mało czujemy.
Bardziej niż nowoczesności potrzebujemy człowieczeństwa.
Bardziej niż inteligencji, potrzeba nam życzliwości i szlachetności.
Bez spełnienia tych warunków życie będzie pełne przemocy i wszystko stracimy (...)*

1.

Każdy dzień sesji miał swoją myśl przewodnią. W pierwszym dniu zwracaliśmy uwagę na relację: *Charles i Charlie, czyli osoba i postać*. Sesję rozpoczynał brytyjski biograficzny film dokumentalny zatytułowany *Życie trampa*. W pierwszym bloku wystąpień uczestnicy sesji wysłuchali trzech referatów studentów III roku filologii polskiej i kulturoznawstwa. **Dariusz Wróbel** (III fil. pol.) dowodził w swoim referacie zatytułowanym *Charles Chaplin dzisiaj*, że w przypadku kina Chaplina mamy do czynienia ze sztuką, posiadającą cechy ponadczasowe, a zatem stale aktualne, a przesłanie takiej sztuki zawsze będzie bliskie odbiorcom ceniącym prawdę i głębię przeżyć. Przyjmując punkt widzenia hermeneutyki Gadamerowskiej, autor referatu wpisywał kino Chaplina w paradygmaty gry, święta i symbolu. Osią dyskursu **Agnieszki Rączki** (III kult.) zaprezentowanego w wystąpieniu pod znaczącym tytułem: *Czy „Dzisiejsze czasy” są dzisiejsze? O aktualności tematyki filmu Charlesa Chaplina* były analogie obrazu zarysowanego przez Chaplina w *Dzisiejszych czasach* i obrazów współczesnych typu *Matrix* w reżyserii braci Wachowskich czy *Urodzeni mordercy* Oliviera Stone’a. Śmiałe porównania tak odległych produkcji najlepiej dowodzą, że Chaplinowskie diagnozy kierunku rozwoju cywilizacji okazały się trafne i nad wyraz aktualne współcześnie. **Olga Ptak** (III kult.) w referacie *Krzyk gwiazdy kina niemego* zwróciła uwagę na fakt, że pierwszy film dźwiękowy Chaplina odważnie parodiował postać Hitlera i system totalitarny, a przyjęta strategia oczyszczenia przez śmiech stanowi jedno z najbardziej trafnych rozwiązań artystycznych wszech czasów. Ten referat był też ciekawym prologiem do projekcji filmu *Dyktator*, który zgromadził najliczniejszą widownię w czasie trwania przeglądu sesji. Kameralna dyskusja po zakończonej projekcji rozwinęła się wokół problemu aktualności zagrożenia totalitaryzmem, holokaustem i koniecznością uchronienia zbiorowej pamięci przed zapomnieniem o tych faktach.

2.

Drugi dzień sesji przebiegał pod hasłem: *Komizm Chaplina*. W kolejnym bloku wystąpień dwa spośród nich poświęcone były filmowi *Gorączka złota*, a pierwszy – *Komizm i odwaga* próbował uchwycić analogię pomiędzy mechanizmami rządzącymi snem i komizmem. **Marcin Charlicki** (III kult.) głęboko wniknął w tę problematykę dotyczącą sztuki Chaplina, a ewokowaną przez filmowego Charliego. Na podkreślenie

zasługuje fakt, że autor referatu posłużył się takim stylem wypowiedzi, który uwypuklił siłę dowcipu, jako podstawowego napędu tej sztuki. **Joanna Sokolowska** (IV kult.) w wystąpieniu zatytułowanym: *Katarktyczna moc filmów Charlesa Chaplina na przykładzie „Gorączki złota”* odwołała się do Arystotelesowskiego pojęcia „katarsis” oraz koncepcji psychologicznych preferujących pozbycie się lęków poprzez uzdrawiającą siłę śmiechu. W centrum uwagi **Aleksandry Konopko** (III kult.) znalazł się dualizm komiczny, który autorka uznała za wciąż aktualny i czego starała się dowiedzieć w referacie zatytułowanym: *Refleksje nad aktualnością dualizmu komicznego w „Gorączce złota” Charlesa Chaplina*. Po projekcji wspomnianego wyżej filmu trzeci blok referatów rozpoczął się wystąpieniem **Katarzyny Trojanowskiej** (III fil. pol.). Odczytowi *Czy zostały nam tylko słowa?* towarzyszył pokaz slajdów z Chaplinowskiego filmu *Brzdąc*, który stał się inspiracją dla ostrych w tonie refleksji autorki. Wystąpienie znacznie odbiegało klimatem od wszystkich innych. Napięcie, jakie wytworzyło się w wyniku zderzenia polemicznego tonu referatu z liryczną wymową zdjęć, wzbogaciło dyskurs o nowy wymiar i nadało całości charakter otwarty. **Beata Wróż** (III fil. pol.) w referacie *Prawda o życiu w komizmie filmowym Charlesa Chaplina na przykładzie „Cyrku”* słusznie zwróciła uwagę na elementy autobiograficzne i autotematyczne. Tym samym przygotowała widzów do świadomego odbioru mało znanego filmu bohatera sesji. Refleksje nad naturą komizmu i postawą komika, które wiążą się z samopoznaniem i możliwościami autokspresji podmiotu są jednymi z najcenniejszych, jakie przekazał nam reżyser i aktor. Spontaniczne reakcje publiczności świadczyły najlepiej o aktualności i sile przesłania zawartego w filmie *Cyrk*.

3.

Trzeci dzień sesji miał na celu ukazanie innego Chaplina. Chaplina poważnego, który potrafi porzucić przypisaną mu maskę, uwolnić się od ciasnego gorsetu konwencji burleski, a jednak pozostać sobą, autorem. Referat rozpoczynający czwarty blok wystąpień starał się uchwycić ponadczasowe wartości w kinie reżysera. *W Sztuce równowagi na przykładzie „Światła wielkiego miasta” Charlesa Chaplina* **Anna Chwist** (III kult.) zwróciła uwagę uczestników sesji na sztukę utrzymywania subtelnej równowagi pomiędzy elementami tragicznymi i komicznymi, którą znakomicie odzwierciedla niemy, wyżej wspomniany obraz. Umiejętność subtelnego balansowania między skrajnymi emocjami, cechująca prawdziwy artyzm sztuki filmowej sprawia, że takie właśnie kino się nie starzeje, generując wciąż nowe emocje. **Dariusz Wróbel** w swoim drugim z kolei referacie zatytułowanym *Czy Charlie może nie być Charlim?* dowodzi, że nawet w tak osobliwym filmie, jakim jest czarna komedia *Pan Verdoux*, Chaplin przemawia tym samym co zwykle głosem, mimo iż nie wciela się w postać Charliego. Im bardziej odległa

jest postacią głównego bohatera filmu od Charliego, tym więcej cech wspólnych ma z Charlim, gdy przybiera cechy samego aktora. Nawet w tak krytycznym obrazie świata, jaki kreśli Chaplin w *Panu Verdoux*, odnajdujemy prawdziwie humanitarną postawę artysty przejętego ludzkim losem. Film potwierdza w tym kontekście jednolitość przesłania zawartego w *Dyktatorze*, *Gorączce złota*, *Cyrku*.

Projekcja *Paryżanki*, w którym to filmie Chaplin nie wystąpił, ale którego był reżyserem oraz autorem leitmotywu muzycznego, zamykała trzydniową sesję. W ostatnim referacie, który poprzedził projekcję: „*Paryżanka*” – historia o miłości czy przygoda Charliego z dramatem? **Aleksandra Skulimowska** (III fil. pol.) zwróciła uwagę przede wszystkim na rolę muzyki jako istotnego komponentu konstrukcji dramatycznej całego filmu. Prosty wątek fabularny nie byłby tak emocjonujący, a cały film tak przejmująco prawdziwy, gdyby niememu obrazowi nie towarzyszyła muzyka. Wydawałoby się, że z natury komediowy temperament Chaplina nie odnajdzie się w

dramacie. Tymczasem i ta przygoda okazała się ważnym, choć jedynym doświadczeniem artystycznym Chaplina. Faktem jest, iż ten film został dotknięty zębem czasu najszybciej. Wskazywały na to reakcje publiczności, dla której konwencje niemego dramatu filmowego z roku 1921 są już martwe i co jednoznacznie kwitowała śmiechem.

Spoglądając wstecz na cały trzydniowy cykl spotkań z Chaplinem, trzeba podkreślić, że był to zamysł potrzebny. Zdaniem uczestników sesji, tego typu spotkania pozwalają przyjrzeć się z bliska zjawiskom, które powoli, acz nieubłaganie nikną w pamięci kulturowej. Dzisiejsze młode pokolenie widzów z rzadka przygląda się tak odległym w czasie fenomenom, jakim jest dorobek twórczy bohatera sesji. Tym cenniejsze wydaje się być podtrzymywanie tej pamięci. Dzieło Chaplina jest dla nas klasyką filmowej sztuki komediowej, sztuki ginącej, a przecież pełnej autentycznego żywiołu kina.

Joanna Spalińska-Mazur

Politycy do tablicy

Letni semestr sekcja „Polityków i Mężów Stanu” studenckiego Koła Historyków pod opieką **dr Małgorzaty Świder** i **mgr Adrianę Dawid** rozpoczęła 27 lutego mocnym akcentem – symposium dotyczącym wizji IV Rzeczypospolitej. Mimo zaproszenia przedstawicieli różnych partii politycznych dopisali jedynie politycy Platformy Obywatelskiej: senatorowie **Piotr Wach** i **Ryszard Ciecierski** oraz radny opolski **Janusz Kowalski**. Z ramienia marszałka województwa opolskiego przybyli: **Danuta Humeniuk** – dyrektor Departamentu Edukacji oraz **Janusz Wójcik** – radny powiatu brzeskiego i dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego.

Pierwszą część symposium - dyskusję zatytułowaną „Co rozumiemy przez wizję VI Rzeczypospolitej?” zdominowały pomysły przybyłych polityków na budowę IV RP. Przede wszystkim pojawiły się tematy zajmujące opinię publiczną: sprawa tzw. grubej kreski, lustracji oraz najważniejszych problemów minionych 15 lat.

Jednym z ciekawszych momentów była dyskusja dotycząca niewątpliwego oddalenia elit politycznych od pozostałej reszty społeczeństwa, która ujawniła także niezadowolone młodych ludzi z sytuacji na rynku pracy, a w związku z tym – niemożność planowania własnej kariery. Padały zarzuty powtarzane od wielu lat, których rozwiązanie stanowi jednocześnie kanwę programów wyborczych różnych partii (nawet pojawiające się postulaty udemokratycznienia dostępu do różnych zawodów: prawniczych czy lekarskich, jak dotąd nie zostały spełnione).

Jednak największe emocje wzbudziła sprawa tzw. becikowego. Zauważalny rozdźwięk między opinią studentów a zdaniem reprezentowanym przez polityków doprowadził do ostrego starcia. Szczególnie opornymi na argumenty przedstawicieli PO okazały się studentki. W toku dyskusji pojawiła się również kwestia mądrej opozycji. Pomimo dobrej argumentacji uwypuklającej korzyści wynikające z ustawy

becikowej, przybyli goście nie byli w stanie odeprzeć zarzutu o braku odpowiedzialności politycznej, widocznym w powiększaniu deficytu budżetowego.

Przedstawiciel Młodych Konserwatystów poruszył ważne zagadnienie wychowania patriotycznego w szkole. Jednakże większość obecnych, a szczególnie senatorowie, nie odnieśli się do tego pomysłu entuzjastycznie. Przeważała opinia o zdecydowanie większym wpływie środowiska rodzinnego na kształtowanie postawy patriotycznej.

Krótką przerwą nie ostudziła nastrojów. Mimo że w programie zaplanowano kolejny temat: budżet IV RP i finanse samorządowe, nie udało się go zrealizować. Tocząca się dyskusja ponownie dotknęła tematów z pierwszych stron gazet. Zaproszeni goście próbowali przekonać zgromadzoną brać studencką do osiągnięć III RP. Okazało się to jednak niepotrzebne, gdyż wykształcona część młodego pokolenia docenia zdobycze demokracji po 1989 roku.

Podobne postawy ujawniły się na zorganizowanym 3 marca br. w Instytucie Historii spotkaniu z **Jerzym Szmajdzińskim**, byłym ministrem obrony narodowej i posłem Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Była to kolejna z serii konferencji zorganizowanych przez sekcję „Polityków i Mężów Stanu” studenckiego Koła Historyków.

Pytania dotyczyły pozycji międzynarodowej Polski po interwencji w Iraku. Jerzy Szmajdziński ocenił misję wojskową pozytywnie. Były szef MON wskazywał na zwiększenie bezpieczeństwa międzynarodowego, nieocenione efekty współpracy wojskowej oraz potwierdzenie zdolności polskiego wojska. Pojawiło się oczywiste pytanie o wymierne korzyści tej współpracy z USA. Poseł zaznaczył, iż nie należy postrzegać współdziałania w misji pokojowej jako interesu: skutki współpracy mają być nie tylko finansowe, ale przede wszystkim długofalowe i raczej niewymierne. Druga seria pytań była analizą błędów popełnionych przez rząd Leszka Millera. Gość wskazywał na słabą komunikację polityków ze społeczeństwem, błędy w polityce kadrowej i odstępstwa od realizacji programu wyborczego. Jako powody osłabienia lewicy podawał rezygnację Włodzimierza Cimoszewicza w wyścigu do fotela prezydenckiego oraz powstanie Socjaldemokracji Polskiej Marka Borowskiego. Nie obyło się także bez przypomnienia totalnej krytyki ze strony opozycji oraz głośnych afer – tzw. „Rywingate” oraz „sprawy starachowickiej”. Poseł wskazywał jednocześnie na osiągnięcia lewicowego rządu: wstąpienie Polski do Unii Europejskiej, obniżenie bezrobocia oraz wzrost gospodarczy.

Kolejnym poruszanym zagadnieniem była podwójna podległość WSI. Zaproszony gość negatywnie odniósł się do pomysłu wspólnego nadzorowania Wojskowych Służb Informacyjnych przez ministra obrony narodowej i koordynatora służb specjalnych.

Padło też pytanie o przyszłość lewicy. Szczególne zainteresowanie wzbudziły możliwości połączenia partii Marka Borowskiego z SLD oraz przyszłej roli byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego na arenie międzynarodowej. Choć przewidywanie przyszłości politycznej, zmieniającej się jak w kalejdoskopie, jest zajęciem trudnym, Jerzy Szmajdziński przyjaźnie odniósł się do obu pomysłów.

Spotkanie interesujące, choć być może nie tak emocjonujące jak symposium, pozwoliło również na wartościową wymianę poglądów.

Spotkanie z **Jarosławem Gowinem** – byłym redaktorem naczelnym miesięcznika „Znak”, a obecnie senatorem Platformy Obywatelskiej – zorganizowane przez sekcję „Polityków i Mężów Stanu” 9 marca br. dotyczyło udziału chrześcijan w życiu publicznym. Przedstawiając problemy współczesnej polityki, senator jednocześnie namawiał studentów do pełniejszego udziału w budowie nowej rzeczywistości politycznej. Mówiąc o braku zaangażowania chrześcijan w życie publiczne, Jarosław Gowin wspominał o „dobrowolnym zamykaniu się w getcie”. Wskazywał na po-



Rys. Leszek Ołdak

trzebę zmiany stosunku do polityki. Obecnie – według senatora – ma on charakter egoistyczny, a musi stać się misją. Rozprawiając o udziale Kościoła katolickiego w życiu publicznym, przestrzegał przed instrumentalizacją wiary i Kościoła, traktowaniem „krzyża jak pałki, którą się wali przeciwnika po głowie”. Nie obyło się również bez analizy kondycji politycznej obozu post-solidarnościowego. W kontekście tej sprawy senator Gowin pokusił się o podział współczesnej młodzieży na dwa przeciwstawne obozy: pokolenie JP2 (tego skrótu chyba nie trzeba tłumaczyć) oraz pokolenie AK (Aleksandra Kwaśniewskiego). Marzeniem senatora jest udział pokolenia JP2 w politycznej odnowie moralnej.

Studentów zaciekał szczegól-

nie, przyjęty przez prasę, podział polskiego Kościoła katolickiego na „toruński” i „łagiewnicki” – symbolizujący dwa różne nurty ideologiczne. Zaproszony gość zaznaczył różnorodność środowiska Kościoła powszechnego i przeciwstawił się takiemu podziałowi. Podobną reakcją ze strony studentów wywołał podział młodzieży na pokolenia JP2 i AK. Dyskusja dotyczyła również kryzysu przywództwa w Kościele polskim po śmierci Jana Pawła II oraz problemów niekatolickiej części społeczeństwa. Zakończeniem spotkania był spór o emigrację zarobkową młodych ludzi. Senator zajął tu stanowisko dość jednoznaczne. Mimo iż wykazał zrozumienie dla postaw tysięcy Polaków wyjeżdżających do pracy poza granicę Polski, mówił z żalem o stracie, jaką ponosi

w tym momencie polskie społeczeństwo. Zarysowały się tu dwie bardzo odmienne postawy studentów. Niektórzy deklarowali silne przywiązanie do ojczyzny i związaną z tym decyzję o pozostaniu w Polsce, dla innych decyzja o emigracji nie była tak abstrakcyjna.

Seria spotkań z politykami zorganizowana przez samych studentów wzbudziła duże zainteresowanie nie tylko wśród młodzieży akademickiej. Ujawniła także, jak żywe zaciekawienie wśród młodych ludzi budzi sytuacja polityczna kraju.

Praca członków Koła Naukowego Historyków nie pozostaje bez odpowiedzi. W planach mamy organizację jeszcze kilku podobnych spotkań.

Katarzyna Cała
Joanna Majewska

Od kolęd po koncerty pasyjne

Świąteczne koncertowanie

Opolski Chór Kameralny pod dyrekcją **dra Mariana Bilińskiego** bardzo pracowicie rozpoczął 2006 rok. W styczniu wystąpił kilkakrotnie z koncertem kolęd – śpiewając w opolskich parafiach, dzieciom niepełnosprawnym w Domu Dziecka w Kosorowicach, mniejszości niemieckiej w Opolu, mieszkańcom Zawadzkiego i Opola. W niezwykle bogatym repertuarze kolęd znalazły się pieśni różnych krajów – chórzyci wykonywali je po łacinie, niemiecku, ukraińsku, rosyjsku, hiszpańsku. Koncerty spotkały się z uznaniem słuchaczy.

Koncerty pasyjne w okresie Wielkiego Postu stały się już tradycją. W tym roku Opolski Chór Kameralny zaprosił do wspólnego śpiewania chór „Cantabile” z Dobra Wielkiego pod dyrekcją



Opolski Chór Kameralny pod dyrekcją Mariana Bilińskiego

Huberta Prochoty i chór działający przy Stowarzyszeniu „Metanoya” w Zawadzkiem pod dyrekcją **Sybilli Czech**. Chórom towarzyszyła Orkiestra Dęta PSM w Opolu pod batutą Huberta Prochoty.

Pierwszy koncert odbył się 18 marca w kościele pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Opolu. Chórzyści zaprezentowali opolskiej publiczności pieśni I. Reimanna „Kyrie” i „Agnus Dei” z *Missa brevis Es-dur*, „Justorum animae” M. Brosiga, „Adoramus te Christe” Fr. Rossellego, „Popule meus” L. da Victoria, „Miserere” W. A. Mozarta, Chorał „O Haupt voll Blut un Wun-

den” J. S. Bacha, „In monte Oliveti” Fr. Schuberta, „Crucifigatur” G. Deakbardosa.

Każdy z chórów prezentował swój repertuar (wspólnie wystąpiły na początku i na końcu koncertu). Na uwagę zasługuje niezwykle piękne wykonanie pieśni G. Deakbardosa „Crucifigatur” Opolskiego Chóru Kameralnego pod dyrekcją dra Mariana Bilińskiego. Utwór ten wywarł ogromne wrażenie na słuchaczach. Było to bardzo profesjonalne wykonanie, mimo że w chórze śpiewają amatorzy. Nastrój powagi i smutku potęgowało słowo Pisma Świętego, które wprowadzało

słuchaczy w odpowiedni nastrój – te poetyckie wstawki przygotowała i wygłosiła **Magdalena Wolska**.

Koncert ten został powtórzony w kościele pw. św. Małgorzaty w Krasiejowie 19 marca.

W najbliższym czasie Opolski Chór Kameralny ma w planie cztery pasyjne koncerty i udział w koncercie poświęconym twórczości wielkiego kompozytora M. Brosiga, organizowanym w Lisich Kątach. Chórzyści przygotowują też - z okazji Roku Mozartowskiego – „Requiem” A.W. Mozarta.

Krystyna Świstulińska

„Śląskie spotkania” w Nadrenii Północnej-Westfalii

Nawiązując do dziesięcioletniej już tradycji niemieckie centrum kulturalno-szkoleniowe *Haus Schlesien* tj. „Dom Śląski” w Königswinter-Heisterbacherrott skierowało z początkiem bieżącego roku do studentów Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Opolskiego oraz słuchaczy Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych w Opolu zaproszenie do udziału w dniach 25 lutego – 5 marca br. w seminarium pt. „Śląskie spotkania”. Podobnie jak w poprzednich latach, chętnych do udziału w seminarium nie brakowało, co pozwoliło na szybkie skompletowanie listy 48 uczestników (w tym 30 z IFG UO i 18 z NKJO) i uregulowanie formalności związanych z wyjazdem za granicę.

Podobnie jak poprzednimi razy, tak i tym razem program szkolenia był bardzo bogaty, a przy tym różnicowany. Wiele uwagi poświęcono historii i kulturze Śląska, co podkreśliła kierowniczką ośrodka **Petra Meßbacher**, oficjalnie otwierając seminarium. W swoim

wystąpieniu naszkicowała historię powstania Haus Schlesien uważanego za centrum historii i kultury Śląska, przedstawiła także motywy i cele przyświecające organizowaniu „Śląskich spotkań”.

Tematyce śląskiej poświęcony

był wykład **Nicoli Remig**, która przedstawiła działalność niemieckich instytucji zajmujących się historią i kulturą Śląska, szczególną uwagę zwracając na śląskie fundacje kulturalne oraz zbiory archiwalne, biblioteczne i muzealne



Przed budynkiem parlamentu wspólnoty niemieckojęzycznej w Eupen (Belgia). Na zdjęciu od lewej stoją: dr Jarosław Bogacki, Adrian Sobek – opiekun grupy z Haus Schlesien, mgr Grzegorz Jureczko, dr Daniela Pelka

o tematyce śląskiej. Do ostatnich nawiązywała wizyta w Muzeum Zbiorów Wrocławia w Kolonii oraz w muzeum kulturoznawstwa śląskiego w *Haus Schlesien (Museum für schlesische Landeskunde)*, gdzie uczestnicy szkolenia mieli okazję podziwiać eksponaty obejmujące ceramikę bolesławicką, górnośląskie fajanse, XVIII i XIX-wieczną porcelanę, wyroby ze srebra, cyny oraz szkła, a także obrazy, grafiki, mapy, meble i stroje ludowe stanowiące świadectwo kultury i obyczajowości śląskiej.

Śląskim elementem seminarium były także spotkania z byłymi mieszkańcami Śląska, prezentacja fragmentów manuskryptu książki Rainera Kapsa o dawnym oraz projekcja filmu o współczesnym Śląsku, które każdorazowo kończyły się żywą dyskusją.

Ciekawe były jednak nie tylko punkty programu o tematyce śląskoznawczej: Duże zainteresowanie studentów wzbudził wykład **dr. hab. H. J. Küstersa** dotyczący rozszerzenia Unii Europejskiej oraz wykład **Detleva Dechanta** – pracownika Federalnej Centrali ds. Kształcenia Politycznego (*Bundeszentrale für politische Bildung*) odnośnie zadań, jakie stawia sobie ta instytucja, a do których zaliczyć można m.in. rozwijanie w społeczeństwie zrozumienia zasad funkcjonowania polityki,

wzmacnianie świadomości życia w państwie demokratycznym oraz pobudzanie gotowości do zaangażowania się w działalność polityczną. Ciekawymi punktami programu była wizyta w siedzibie Centrali w Bonn, gdzie studenci mieli okazję zapoznać się z publikacjami wydawanymi przez nią w celu realizacji ww. zadań oraz w Ministerstwie Obrony Narodowej, gdzie major Lars Thiele wprowadził uczestników „Spotkań” w tematykę terroryzmu i – opierając się na własnych doświadczeniach – omówił pokojową działalność Bundeswehry w Dżibuti. Bogatym we wrażeń punktem programu była też wizyta w Domu Adenauera w Bad Honnef-Rhöndorf oraz w muzeum „Dom Historii RFN” (*Haus der Geschichte der BRD*) w Bonn, w którym w obrazowy sposób przedstawiona została historia Niemiec od końca II wojny światowej, a także wyjazd do Eupen w Belgii, gdzie studenci w tamtejszym parlamencie niemieckojęzycznych Belgów mieli okazję zapoznać się z realiami życia tejsze grupy.

Program szkolenia nie opierał się jednakże tylko i wyłącznie na wykładach, seminariach oraz wizytach w instytucjach rządowych i muzeach. Część czasu poświęcono bowiem na zwiedzanie, przy czym dzięki ciekawym uwagom nadzorującego przebieg seminarium **Ad-**

riana Sobka studenci mieli okazję zapoznać się zarówno z bogatą historią okolicy, w której przebywali jak i jej obecną kulturą i tradycjami. Celowi temu służyły m.in. wyjazdy do Koblenz i Rüdeshheim oraz do Kolonii. Kulturalnym elementem programu była też wizyta w operze w Bonn na „Zemście nietoperza” Johanna Straußa.

Jako swój wkład w seminarium studenci zaprezentowali na jego zakończenie opracowane w grupach referaty na następujące tematy: „Wojny na Śląsku i o Śląsk”, „Problem mniejszości”, „Ucieczka i wypędzenie”, „Strony rodzinne – ojczyzna”, „Rozszerzenie Unii Europejskiej na wschód” oraz „Szanse i ryzyka inwestycji zagranicznych w Polsce”. Każdy z referatów, których przygotowanie merytoryczne jak i sposób prezentacji oceniane były przez przysłuchujących się im wraz z resztą studentów **Volkera Knoericha**, Petrę Meßbacher i Adriana Sobka, uzupełniano krótkim komentarzem.

5 marca uczestnicy seminarium wyruszyli w drogę powrotną do Polski. Ich reakcje na tematykę „Śląskich spotkań”, program oraz sposób jego realizacji wskazują, że chętnych do udziału w ewentualnych kolejnych szkoleniach raczej nie zabraknie.

Dr Daniela Pelka

Jeepem do historii

W minionych latach po „enigmatycznych” spotkaniach naukowych (**dr Zdzisław J. Kapera** z Uniwersytetu Jagiellońskiego, **dr Mark Baldwin** z Wielkiej Brytanii wraz z maszyną szyfrową Enigma – model Luftwaffe, **dr Grzegorz Nowik** z Wojskowego Biura Badań Historycznych – „Zanim złamano Enigmę?”); podróżach studyjno-historycznych do Tarnowskich Gór (Instytut Tarnogórski i Muzeum – garnizon 11 pp i 3 puł.),

do Woźnik (pole bitwy z 1939 r.), Mokrej (pole bitwy z 1939 r.), do garnizonu i na poligon 69 pplot. z Leszna Wlkp. (dawny garnizon 55 pp i 17 puł.), połączonego z pokazem sprzętu radiolokacyjno-bojowego, a także wyprawy do Twierdzy Kłodzkiej – również w semestrze wiosenno-letnim 2005 r. odbyło się wiele interesujących zajęć studyjno-dydaktyczno-historycznych dla studentów studiów stacjonarnych

i zaocznych, którzy zapoznawali się z wybranymi zagadnieniami z historii wojskowości.

15 marca 2005 r. na przedpołudniowe zajęcia I i II roku do holu Instytutu Historii wjechał – po demonstatażu lusterek bocznych – jeep Ford GP, 1.4, prowadzony przez dowódcę szwadronu pojazdów historycznych **Marka Dwornickiego**, ze standardowym wyposażeniem jednostek bojowych Polskich Sił Zbrojnych



W trakcie spotkania z przedstawicielami Światowego Związku Żołnierzy AK – Danutą Schetyną i Krzysztofem Wernerem. Fot. J. Stemplewski

na Zachodzie. Przez kilkanaście minut był problem z frekwencją w innych salach wykładowych... Potem studenci obejrzeli film poświęcony gen. Stanisławowi Sosabowskiemu.

W przeddzień rocznicy aresztowania (czerwiec 1943) dowódcy armii Państwa Podziemnego gen. Stefana Roweckiego „Grotą”, ze studentami studiów dziennych i zaocznych spotkali się przedstawiciele Światowego Związku Żołnierzy AK – **Danuta Schetyna i Krzysztof Werner**. W trakcie spotkania odbyła się projekcja filmu w reżyserii G. Królikowskiego (scen. B. Urbankowski) – *O coś więcej niż przetrwanie* (1981) z Ryszardem Filipkim w roli dowódcy Armii Krajowej.

Natomiast 15 czerwca studenci uczący się w systemie stacjonarnym mieli możliwość wyjazdu do Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny – zajęcia nawiązywały do 84 rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego i były połączone z oglądaniem filmu w reżyserii Kazimierza Kutza – *Sól ziemi czarnej* (1969), którego niektóre epizody były nagrywane w okolicach Leśnicy.

Popołudniowe zajęcia poświęcone były 60. rocznicy (1944) operacji lądowo-powietrznej Market-Garden, czyli bitwy pod Arnhem, gdzie walczyła niezwykle ofiarnie (20% strat) 1. Polska Brygada Spadochronowa dowodzona przez gen. Stanisława Sosabowskiego. Przed pokazem filmu *O jeden most za daleko* (1977) z amerykańskim aktorem Genem Hackmanem w roli gen. S. Sosabowskiego, studenci zwiedzili wystawę poświęconą polskiemu spadochroniarstwu wojskowemu, przygotowaną przez mjr. W. Parfieniuka – szefa Komisji ds. Tradycji i Historii Związku Pol-

skich Spadochroniarzy przy współpracy dr. Aleksandra Woźnego.

Miesiąc później, 15 lipca Muzeum Czynu Powstańczego odwiedzili studenci studiów zaocznych, którzy spotkali się (i wysłuchali reminiscencji historycznych) z dwoma weteranami II wojny światowej, żołnierzami najlepszych jednostek bojowych w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, które w latach 1944-1945 wyzwalały Europę Zachodnią – **por./mjr. w st. spocz. Stefanem Heskim**, uczestnikiem bitwy pod Arnhem i podoficerem kompanii łączności z 1. Dywizji Pancerniej dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka – **por. w st. spocz. Józefem Koziarskim**. Przy okazji tego spotkania studenci

mogli obejrzeć jeep z plutonu pojazdów rekonstrukcji historycznej, używany, także przez gości-weteranów, w akcjach bojowych. Należy przypomnieć, że w obu polskich elitarnych jednostkach walczyło także wielu Ślązaków.

Sierpniowe zajęcia z studentami V roku historii zaocznej odbywały się na terenie miasta Opola – w miejscach związanych z prowokacjami granicznymi (lokalny ośrodek decyzyjny SD-Oppeln), które zostały przeprowadzone w ostatnich dniach pokoju 1939 r. i dały pretekst do wybuchu II wojny światowej.

W podróży studyjno-dydaktycznej brały udział grupy studentów prowadzone przez: **dr Barbarę Kubis, dr Małgorzatę Świder i dr Mariusza Patelskiego**.

Zajęcia przygotował i prowadził **dr Aleksander Woźny**.

Wieniawa



Spotkanie z weteranami II wojny światowej. Od lewej: jeep z elementami wyposażenia, studenci III roku (h.z.), B. Gołąbek (PTTK), por. w st. spocz. J. Koziarski (1 DPanc), M. Dwornicki, mjr w st. spocz. S. Heski (1BSpad.), dr A. Woźny. Fot. z arch. A.W.

Final Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy o Prawach Człowieka

Wolność bez tortur

W dniach 7–9 kwietnia 2006 roku odbył się centralny finał Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy o Prawach Człowieka w Toruniu. Olimpiada dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych odbyła się już po raz trzynasty – w tym roku jej tematem przewodnim było prawo do wolności od tortur.

W województwie opolskim organizacją i promocją olimpiady zajmuje się Międzywydziałowy Instytut Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Dyrektor instytutu, **prof. dr hab. Stanisław Leszek Stadniczeńko**, ekspert w dziedzinie prawa ustrojowego i praw człowieka, jest członkiem Komitetu Głównego Olimpiady. Instytut bierze udział we współorganizowaniu finału okręgowego olimpiady, sprawuje też opiekę nad uczniami z naszego województwa, którzy zostali zakwalifikowani się do zawodów centralnych. Idea olimpiady wywodzi się z Torunia, nad jej organizacją czuwa Katedra Praw Człowieka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika pod kierownictwem **prof. dr. hab. Tadeusza Jasudowicza** – eksperta praw człowieka o międzynarodowej sławie.

Komitet Okręgowy działa na terenie całego województwa opolskiego, w roku szkolnym 2005/2006 czuwał nad organizacją olimpiady w 26 szkołach ponadgimnazjalnych. Ta liczba świadczy o rosnącym zainteresowaniu olimpiadą, a także tematyką praw człowieka w naszym województwie. Przewodniczącą komitetu jest **dr Ewa Kozerska** – adiunkt w Zakładzie Doktryn Polityczno-Prawnych i Prawa Rzymskiego (w poprzednich latach pracami opolskiego Komitetu Okręgowego kierował **mgr Janusz Korczyk**). W tegorocznym finale okręgowym do zawodów centralnych zakwalifikowały się cztery osoby: **Piotr Semeniuk** (II LO w

Kędzierzynie-Koźlu), **Olga Sachanbińska** (II LO w Opolu), **Filip Ostrowski** (III LO w Opolu) oraz **Bartosz Maślankiewicz** (II LO w Opolu). Udział w finale centralnym jest równoznaczny z uzyskaniem tytułu finalisty, który zwalnia z egzaminu maturalnego z przedmiotu wiedza o społeczeństwie.

W Toruniu, w eliminacjach ustnych, zawodnicy losowali trzy spośród 240 pytań traktujących o historii najnowszej, naukach o państwie i ustroju oraz o prawach człowieka. Na pytania należało odpowiedzieć przed komisją złożoną z naukowców i praktyków zajmujących się prawami człowieka oraz z przedstawicieli patronów honorowych olimpiady (m.in. rzecznika praw obywatelskich, ministra spraw zagranicznych, ministra sprawiedliwości, pierwszego prezesa Sądu Najwyższego).

W tym roku aż troje spośród opolskich licealistów: Piotr Semeniuk, Olga Sachanbińska i Filip Ostrowski zostało laureatami olimpiady. Ponadto Piotr Semeniuk, który okazał się najlepszy w eliminacjach ust-

nych, zakwalifikował się do grona dziesięciu superfinałistów. Superfinał ma postać procesu wzorowanego na procesie przed Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. Zawodnicy występują w pięciu parach: jedna osoba jest pełnomocnikiem osoby poszkodowanej przez decyzję władz państwowych, druga reprezentuje oskarżone państwo. Każda para czerpie informacje o stronach procesu i okolicznościach z tzw. kazusu, czyli opisu historii omawianej sprawy. Sprawy zawsze koncentrują się na temacie danej edycji – w tym roku na wolności od tortur. Jurorzy, którzy na co dzień zajmują się tematyką ochrony praw człowieka, oceniali logiczność wywodów, umiejętność stosowania prawniczej terminologii oraz efektywność wystąpienia. Poziom tegorocznych wystąpień superfinałistów oceniono jako bardzo wysoki. Reprezentant Opolszczyzny, Piotr Semeniuk, uzyskał w superfinałach III miejsce i brązowy medal olimpijski.

Województwo opolskie plasuje się w czołówce krajowej olimpiady. Od roku 2000 nasz okręg miał 13



Prof. dr hab. Tadeusz Jasudowicz i Piotr Semeniuk – brązowy medalista olimpiady

laureatów, którzy zajęli miejsca od pierwszego do piątego w skali kraju. Dynamiczna praca naszego komitetu została nagrodzona przez Komitet Główny. Prof. dr hab. Stanisław L. Stadniczeńko został uhonorowany

przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu dyplomem uznania za „twórczy udział w pracach Jury Ogólnopolskiego Finału Olimpiady i kształtowanie młodego pokolenia w duchu humanizmu i humanita-

ryzmu”. Jest to wyróżnienie dla społeczności Międzywydziałowego Instytutu Prawa i Administracji i osób zaangażowanych w organizację olimpiady.

Piotr Zamelski

Wymiana książek i racji

Instytut Prawa i Instytut Psychologii Państwowego Uniwersytetu Podkarpackiego w Iwano-Frankowsku (dawny Stanisławów) zorganizował międzynarodowe sympozjum na temat: „Komunikacja Społeczna w Systemach Edukacyjnych”.

W sympozjum uczestniczyli m.in. opolscy naukowcy: **prof. dr hab. Leszek S. Stadniczeńko**,

który mówił o jakości kształcenia młodych prawników jako warunku dobrze funkcjonującego państwa i **prof. dr hab. Józef Podgórecki**, który m.in. podkreślił potencjał intelektualny studentów Uniwersytetu Opolskiego.

Prof. dr hab. W. Basaj, dziekan Wydziału Prawa ukraińskiego uniwersytetu stwierdził m.in., że nie da

się zbudować względnie dobrego państwa, bez mądrego społeczeństwa.

Książki Opolan, biorących udział w sympozjum, trafiły do Biblioteki Uniwersytetu Podkarpackiego, a książki ukraińskich naukowców do Biblioteki Głównej Uniwersytetu Opolskiego.

M. M.

Międzynarodowe Sympozjum Historyczne w Warszawie

Państwo i Kościół

Jaki był wpływ prawa kanonicznego na przemiany praw świeckich? Czy instytucje kościelne były instrumentem wzmacniającym władzę państwową, czy raczej państwo wykorzystywano jako narzędzie do umacniania wpływów Kościoła? Co konstytuuje przednowożytne państwo, więź etniczna, polityczna, gospodarcza – a może religijna? I wreszcie, czy ukształtowana przez historiografię XIX/XX wieku wizja stosunków Kościoła i państwa nie jest wizją ahistoryczną, rzutującą pojęcia z epoki na czasy wcześniejsze, przednowożytne? Te i inne zagadnienia były przedmiotem Międzynarodowego Sympozjum Historycznego zorganizowanego 20 kwietnia br. przez Szkołę Wyższą Przymierza Rodzin w Warszawie.

Doborowi referenci, wśród których nie zabrakło również gości z Czech (**PhDr. Pavel Krafl**, **Dr.**, **PhDr. Aleš Vandrowec**), mierzyli

się z tematyką konferencji w czterech wyszczególnionych działach: „Wzajemne inspiracje”, „Symbioza i partnerstwo”, „Rywalizacja” i „Konflikt”. Poruszone zagadnienia dotyczyły historii Kościoła i państwa nie tylko w średniowieczu, ale także i w czasach nowożytnych, stąd obok referatów „Kościół, państwo, rewolucja papieska. Wokół wizji Harolda J. Bermana” **prof. dr hab. Marka Cetwińskiego** czy „Między polityką a kontemplacją. Kanonicy regularni na średniowiecznym Mazowszu” **dr. Marka Stawskiego** znalazły się wystąpienia **dr. Roberta W. Szweda** „Obóz kłerykalny na pierwszym sejmie Królestwa Polskiego w roku 1818” czy **dr. Tadeusza Krawczaka** „Stosunki Kościoła i władz państwowych w okresie II Rzeczypospolitej”. Nie zabrakło tu także wystąpień przedstawicieli Uniwersytetu Opolskiego, który prężną grupą reprezentowali **prof. dr hab.**

Anna Pobóg-Lenartowicz („Stosunek książąt opolskich do klasztoru franciszkanów w Opolu”), **mgr Wojciech Dominiak** („Kościół w polityce księcia opolskiego Władysława (1246 - 1281)”) i **mgr Michał Cetnarowski** („Święte Oficjum czy ramię świeckie. Przyczynek do historii inkwizycji na Śląsku w średniowieczu”).

Było to pierwsze takie sympozjum zorganizowane przez młodą Wyższą Szkołę Przymierza Rodzin, jednak, jak zapowiadają organizatorzy, nie ostatnie. Jeśli w przyszłości będzie tam panowała równie przyjemna i profesjonalna atmosfera jak w tym roku, znów w Warszawie można spodziewać się zarówno gości z uczelni krajowych, jak i zagranicznych. Nie powinno tam wtedy zabraknąć również przedstawicieli z Opola.

Michał Cetnarowski

Wątpliwe dobrodziejstwo kserokopiarki

„Udało się zbić cenę do 12 gr za odbitkę!” – krzyczy radośnie tytuł artykułu z NTO (2006, nr 45). Po przeczytaniu go nadałabym mu jednak nieco inny kształt: „Udało się przepędzić ostatnich studentów z czytelnii!”. Tytuł równie radosny, ale czyją radość wyraża? Chyba tylko tych, którzy w kserowaniu książek widzą dobry interes. Bo korzyść przynosi student leniwy, który książkę kseruje, a nie czyta. Powiedzmy sobie szczerze, samo kserowanie daje niektórym uczucie wykonania kawała dobrej intelektualnej pracy – książkę trzeba znaleźć na półce, trzeba przewertować stronicę, no i wyłożyć ciężkie pieniądze na jej powielenie. Potem nie trzeba nawet tego czytać, ważne by przynieść na zajęcia i pokazać się z tekstem przed nosem.

Współczesnemu studentowi trudno jest wyobrazić sobie wspomnienia wykładowców, którzy z westchnieniem (żalu czy ulgi?) mruczą: „Za naszych czasów nie było ksera. Człowiek siedział w czytelnii i po prostu czytał”. Owszem – w czytelnii można posiedzieć w trakcie przerwy między zajęciami lub kiedy studencki port-

fel świeci tak rażąco pustką, że nie można sobie pozwolić na wygodę kserowania. Dziś to miejsce, które powinno kojarzyć się z ciszą i atmosferą nauki (albo raczej studiowania), jest jak kafejka. Wstąpmy do czytelnii na Wydziale Filologicznym UO – studenci tłoczą się przy kwadratowych stolikach, dostawiają krzesła obrzucone płaszczami i... rozmawiają, czasem nawet przekrzykują się, zagryzając w międzyczasie kanapkę. Prawdziwa atmosfera naukowa unosi się nad kserem, gdzie sznureczek młodzieży trzyma w rękach książki gotowe do powielenia.

No właśnie – ksero... pokażnych rozmiarów urządzenie, który w tajemniczy (dla humanisty) sposób rozmnaża każdy tekst pisany. I to w dowolnych ilościach! O jak bardzo przydałaby się ta machina w średniowieczu, kiedy to biedni mnisi miesiącami własnoręcznie kopiowali święte księgi. Jak pomocna byłaby w czasie II wojny światowej, gdy poeci w prowizorycznych warunkach powielali tomiki swych wierszy, lub w czasach PRL-u, kiedy kwitł drugi obieg. Jednak nie – dobrodziejstwo ksera spadło na próg

XXI wieku, właśnie teraz, gdy półki w księgarniach uginają się od nadmiaru tytułów (mniej lub bardziej godnych naszego zainteresowania). Czy warto jednak kupić książkę, skoro można ją mieć za połowę ceny?

Umberto Eco w jednym z zapisków na pudełku zapalek pisze z dumą o swojej potężnej bibliotece domowej. Rzeczywiście – książka to przede wszystkim treść, ale także zapach stronic, piękna okładka, przykuwająca uwagę grzbień. Prawdziwy amator lektury nie tylko zagłębia się w treść, ale wchodzi z nią także w kontakt czysto fizyczny! Student, jako samozwańcy przedstawiciel młodej inteligencji, powinien jak najwcześniej zbierać swoją domową bibliotekę – książki, do których powróci po latach lub te, do których będzie zaglądał na bieżąco. Tymczasem wchodząc do studenckiego pokoju, dostrzeżemy kilka wypożyczonych podręczników, parę tanich lektur dołączonych promocyjnie do opolskiego dziennika lub makulaturowe wydania klasyki GW (dobrze, że treść nie jest tak szorstka jak kartki) oraz... wielkie sterty czarno-białych kartek A-4, których jedyną wartością porządkującą są kolorowe spinacze lub zardzewiała zszywka. Przyznamy szczerze, czy ktokolwiek z nas żywi szacunek do kserówek, które wiecznie popadają w stan entropii?

Aneta Mickiewicz

LISTY, POLEMIKI

Grzechy nie tylko uczniowskie

W ostatnim numerze „Indeksu” ukazał się m. in. felieton **Adama Wiercińskiego**, pt. *Grzechy nie tylko językowe*. Tekst, a w szczególności fragment dotyczący „nauczycieli porządných inaczej” wzbudził moje zainteresowanie i skłonił do pewnych refleksji.

Powszechnie wiadomo, że i wczoraj, i dziś, bywa w szkołach różnie. Wszelka krytyka wymierzona jest zazwyczaj w uczniów. Wiadomo: nie wynoszą z domu pewnych zasad, nie szanują kolegów, nauczycieli, nie poświęcają czasu na naukę, cieszą się, kiedy przepadają zajęcia... Ich zdaniem,

nauczyciel, który nie pozwala ściągać, pyta, dba o dyscyplinę, to po prostu zły nauczyciel. Trudno się z tym nie zgodzić, skoro na każdym kroku możemy spotkać się z wypowiedziami młodzieży, potwierdzającymi tę opinię.

W tej ogólnej ocenie jest jeszcze jeden wątek. Mianowicie, w publicznej dyskusji o szkole pominięto dwie kwestie. Po pierwsze, zapomniano o młodzieży, która przychodząc na zajęcia, chce poszerzyć swoją wiedzę i – to po drugie – o nauczycielach, którzy przeszkadzają. Paradoks? Nie, smutna rzeczywistość.

Nikogo nie dziwi już fakt, że prowadzący zajęcia nie zawsze radzą sobie z czasem. Wiadomo: choroba, święto państwowe, wycieczka klasowa, lekcje się nie odbyły. Ale co zrobić w sytuacji, gdy zajęcia przepadają na skutek nieuzasadnionych działań pedagoga? W czteroletnim liceum literaturze romantyzmu poświęcony był cały rok (druga klasa). Wprowadzenie do epoki, manifesty programowe, pierwsze utwory Mickiewicza i nagle pojawia się temat: *Problemy współczesnej młodzieży w tekstach polskich piosenek*. Zagadnienie, owszem, ciekawe, ale dlaczego pojawiło się w czasie lekcji

przeznaczonych na literaturę XIX wieku?

Kolejny przykład. Nauczyciel przynosi na zajęcia kasetę VHS z filmem *Blokersi* i na jego oglądanie przeznacza ponad dwie godziny lekcyjne. Podobnie jak w pierwszym przypadku, film mógł się stać punktem wyjścia doskonałej dyskusji, do szerszego spojrzenia na pewne kwestie, ale czy naprawdę nie można go było zaprezentować po zajęciach, np. w ramach szkolnego Koła Filmowego? Nie wiem. Być może nauczyciel zdał sobie sprawę, że i tak nie zdąży z omówieniem obowiązkowych lektur i zagadnień, więc po co się męczyć?

Niestety, takie sytuacje są na porządku dziennym. Mogę pokusić się o stwierdzenie, że obok kilku modeli nauczania, pojawił się jeszcze jeden wariant, tzw. nauczanie pozorne. Nie jest to jednak dobra metoda. Przy dłuższym stosowaniu może spowodować pewne skutki uboczne, np. brak elementarnych

wiadomości z zakresu literatury, ortografii, kultury słowa. Nauczanie pozorne może także wpłynąć na nauczycieli. Ze zwykłych magistrów, doktorów, etc. mogą zmienić się we wspomnianych wcześniej nauczycieli „porządnych inaczej”. Dlaczego...? Lekcje prowadzone są – przykro mi, ale czasem tak bywa – byle jak, a o dodatkowych zajęciach nie ma nawet co marzyć. Brak czasu, pieniędzy... Nie, chętnych nie. Z doświadczenia wiem, że umiejętne, interesujące przedstawienie tematu, zagadnienia przyciąga wielu wiernych słuchaczy.

Podobnie dzieje się nie tylko w szkołach ponadgimnazjalnych. Sama byłam świadkiem (a może ofiarą?) podobnych metod nauczania. Z lekcji języka polskiego w szkole podstawowej pamiętam niewiele. Bo też i niewiele się działo... Przepisywanie podręcznika do gramatyki nie jest zajęciem inspirującym. Pisanie wypracowań, interpretacja tekstów – o tym mo-

głam tylko marzyć. Obiecałam sobie wówczas, że nigdy nie pójdę na polonistykę...

A zatem, gdzie upatrywać przyczyn takiego stanu rzeczy? Z jednej strony mamy uczniów, którzy szkołę i wymagających nauczycieli traktują jak dopust boży, a z drugiej, możemy obserwować sytuację zupełnie odwrotną...

Pisząc ten tekst, chciałam na to spojrzeć z drugiej perspektywy, z perspektywy ucznia i studenta. Chciałam też zaapelować do nauczycieli, aby starali się dostrzec w młodym człowieku nie tylko rozkrzychanego nastolatka, ale także osobę poszukującą. Niech swoim postępowaniem przyczynią się nie tylko do pogłębiania wiedzy, ale także do dojrzałego spojrzenia na świat. Wiadomo przecież: *Czym skorupka za młodu...*

Urszula Dawczyk

studentka II roku filologii polskiej

Z prac Senatu UO

23 marca 2006 r.

- Przewodniczący Senatu rektor UO **prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja** podziękował za przygotowanie i organizację święta UO, którego głównym punktem były uroczystości nadania tytułów doktora honoris causa Jerzemu Janickiemu i Janowi Miodkowi. Poinformował ponadto o: posiedzeniu Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, które odbyło się w dniach 2–4 marca w Białowieży; o skierowaniu do władz miasta wniosku o przekazanie uniwersytetowi obszaru znajdującego się między Małym Rynkiem a terenem uczelni; o wizycie burmistrza Prószkowa Róży Malik, podczas której rozmawiano o ewentualnym przejęciu przez UO terenów byłej Pomologii dla potrzeb ogrodu botanicznego; o projekcie umowy o współpracy między UO a Muzeum Śląska Opolskiego w sprawie wspólnej ekspozycji muzealnych zbiorów przyrodniczych; planowanym wieczorze autorskim Adama Zagajewskiego w ramach „Złotej Serii Wykładów, a także wyrażeniu przez Janusza Głowackiego zgody na spotkanie w ramach „Złotej Serii” i zaplanowanych na 2 kwietnia uroczystościach związanych z obchodami pierwszej rocznicy śmierci Jana Pawła II.
- Prof. Stanisław Nicieja podziękował też **dr Danucie Berlińskiej**, rzecznikowi prasowemu UO, za zaangażowanie w kontaktach z mediami. Zaapelował też o udział w debatach dotyczących miejsca UO w Opolu i regionie, które organizowane są raz w miesiącu przez profesorów B. Kozere i M. Lisa.
- Prorektor ds. kształcenia i studentów **dr hab. Marek Masnyk, prof. UO** poinformował o prawdopodobnym przesunięciu się na miesiące letnie prac nad programami studiów, co spowodowane jest opóźnieniem w przygotowaniu przez ministerstwo rozporządzeń do ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym”, a także o zakończeniu prac nad regulaminem studiów.
- Prorektor **prof. dr hab. Jerzy Lis** poinformował o zaproszeniu p. Barbary Curyło, pracownika Instytutu Politologii, na wizytę studyjną do Szwecji (zaproszenie zostało wystosowane przez Forum Kultury ze Sztokholmu).

- Prorektor **prof. dr hab. Krystyna Czaja** poinformowała o ostatnim etapie konkursu na stanowisko specjalisty ds. funduszy strukturalnych, a także o pracach nad wstępną listą projektów, które będą mogły ubiegać się o środki z Funduszy Strukturalnych. Prof. K. Czaja przypomniała też o możliwości aplikowania w niektórych dziedzinach nauki o stypendia doktorskie, co może przyczynić się do usprawnienia procesów awansowych. Władze UO zamierzają utrzymać utworzony kilka lat temu własny fundusz stypendialny (tzw. stypendia profesorskie). Pismem z dnia 15 marca br. Zarząd Województwa Opolskiego poinformował o planowanym utworzeniu Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego „Professor Opoliensis”, która byłaby przyznawana za najważniejszą w danym roku pracę naukową. Rozważane jest również wsparcie rozwoju samodzielnej kadry naukowej poprzez uwzględnienie takiego kryterium w ramach dotychczasowej „Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego za szczególne osiągnięcia w rozwoju i upowszechnianiu edukacji” (w ramach takiej nagrody mogłyby być promowane np. osoby uzyskujące stopień naukowy doktora habilitowanego).
- Dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO** przedstawił wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki drowi **Markowi Korzeniowskiemu** za książkę *Religijność pokoleń. Studium przypadku rejonu kędzierzyńsko-kozielskiego* (Zakład Wydawniczy „NOMOS”, Kraków 2005). Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 19, przeciw – 12, wstrzymało się od głosu 13 osób).
- Dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO** przedstawił wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki drowi **Henrykowi Beniszowi**, prof. UO za książkę *O człowieku i nie tylko... Impresje filozoficzne* (Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2005). Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 22, przeciw – 11, wstrzymało się od głosu 11 osób).
- Dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO** przedstawił wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki drowi **Markowi Białokurowi**, adiunktowi w Instytucie Historii UO, za monografię *Mysł społeczno-polityczna Joachima Bartoszewicza* (Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2005), stanowiącą podstawę przewodu doktorskiego. Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 19, przeciw – 14, wstrzymało się od głosu 11 osób).
- Dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO** przedstawił wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Mi-
- nistra Edukacji i Nauki **dr Magdalenie Ujmie** za książkę *Latyfundium Jana Sobieskiego 1652–1696* (Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2005). Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 20, przeciw – 12, wstrzymało się od głosu 12 osób).
- Dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO** przedstawił wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki **drowi hab. Krzysztofowi Kaniastemu, prof. UO** za książkę *Kłeska żywiołowa czy katastrofa społeczna. Psychospołeczne konsekwencje polskiej powodzi 1997 roku* (Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2003), stanowiącą podstawę przewodu habilitacyjnego zatwierdzonego w 2005 r. Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 25, przeciw – 11, wstrzymało się od głosu 8 osób).
- Dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii **prof. dr hab. Katarzyna Halkowska** przedstawiła wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki **prof. dr hab. inż. Krystynie Czai** za monografię *Poliolefiny* (Wydawnictwo Naukowo-Techniczne, Warszawa 2005). Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 40, przeciw – 3, wstrzymała się od głosu 1 osoba).
- Dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii **prof. dr hab. Katarzyna Halkowska** przedstawiła wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki **dr hab. Zdzisławowi Daszkiewiczowi** za monografię habilitacyjną *Aromatyczne nitraminy: synteza, struktura, właściwości, przegrupowanie* (Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2004). Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 23, przeciw – 8, wstrzymało się od głosu 13 osób).
- Dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii **prof. dr hab. Katarzyna Halkowska** przedstawiła wniosek Rady Wydziału o przyznanie Nagrody Ministra Edukacji i Nauki **dr hab. Markowi Wasielewskiemu** za monografię habilitacyjną *Metodologia, teoria i metodyka modernizacji treści i procesu nauczania chemii nieorganicznej w uniwersytetach Polski*, opublikowanej w 2004 roku przez Wydawnictwo Uniwersytetu A. I. Hercena w Sankt-Petersburgu. Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 15, przeciw – 14, wstrzymało się od głosu 15 osób).
- Dziekan Wydziału Przyrodniczo-Technicznego **prof. dr hab. inż. Andrzej Gawdzik** przedstawił wniosek Rady Wydziału o przyznanie zespołowej Nagrody Ministra Edukacji i Nauki **dr. Arkadiuszowi Nowakowi i dr Sylwii Nowak** za cykl trzech monografii katalogujących poszczególne kolekcje zielnikowe zgromadzone w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu: *Katalog zielnika roślin naczyniowych Muzeum Śląska Opolskiego, zbiory z lat 1829–1943 z terenów*

dzisiejszej Polski; *Katalog zielnika roślin naczyniowych Muzeum Śląska Opolskiego, zbiory z lat 1855–1943 z terenów spoza dzisiejszej Polski; Katalog zielnika roślin naczyniowych Muzeum Śląska Opolskiego, zbiory z lat 1951–1976 z terenów dzisiejszej Polski*. Wniosek zatwierdzony został większością głosów (za wnioskiem – 22, przeciw – 15, wstrzymało się od głosu 7 osób).

- Senat w głosowaniu jawnym jednomyślnie podjął decyzję, iż wnioski skierowane do ministerstwa o wyróżnienie Nagrodą Ministra Edukacji i Nauki, w przypadku odrzucenia ich przez MEiN, mogą być – ale nie muszą – zgłoszone przez dziekanów Wydziałów do Nagrody Rektora UO.
- Sprawozdanie z działalności Biblioteki Głównej oraz agend bibliotecznych przedstawiła dyrektor biblioteki **dr Wanda Matwiejczuk**. Wnioski i postulaty z posiedzenia Rady Bibliotecznej, która odbyła się w dniu 2 marca br., zreferował przewodniczący Rady **prof. dr hab. Stanisław Kochman**. Sprawozdanie z działalności Biblioteki Głównej UO zostało przez członków Senatu przyjęte w głosowaniu jawnym jednomyślnie.
- Sprawozdanie z działalności Wydawnictwa UO złożyła **mgr Halina Szczegot**, dyrektor wydawnictwa, sprawozdanie Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego – **ks. prof. Helmut Sobeczko**. Senat w głosowaniu jawnym jednomyślnie przyjął złożone sprawozdania z działalności wydawniczej w 2005 roku.
- Przewodnicząca Samorządu Studenckiego **Beata Olejnik** poinformowała o: udziale UO w II Targach Edukacyjnych organizowanych przez Urząd Marszałkowski (targi unaocniły zupełnie nieprzygotowanie uczelni do promocji: brak materiałów informacyjnych, ulotek, ciągle słaba strona internetowa); o zakończonej Zimowej Gieldzie Piosenki (impresa zorganizowana przez samorząd odbyła się przy całkowitym braku zainteresowania ze strony studentów i pracowników). Wniosek o konieczności utworzenia biura promocji i reklamy poparł prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Marek Masnyk, prof. UO.
- Prorektor prof. Krystyna Czaja poinformowała o aplikowaniu UO do trzech projektów ogłoszonych przez ZPORR. Po zapoznaniu się z przekazanymi informacjami Senat UO w głosowaniu jawnym jednomyślnie podjął trzy uchwały: o podjęciu działań związanych z realizacją projektu: *Promocja przedsiębiorczości na Opolszczyźnie*, projektu *Stypendia dla doktorantów Instytutu Chemii Uniwersytetu Opolskiego* oraz projektu *Kurs zawodowy na administratora sieci rozległych*.
- Dyrektor Instytutu Chemii **dr hab. Piotr Wieczorek, prof. UO** poruszył problem typowania studentów do nagród rektora oraz ciągle nierozwiązane kłopoty z miejscami parkingowymi w kompleksie przy ul. Oleskiej.

- Ks. prof. Helmut Sobeczko zapoznał zebranych ze scenariuszem uroczystości pierwszej rocznicy śmierci papieża Jana Pawła II, a dr Wanda Matwiejczuk zaprosiła na otwarcie wystawy poświęconej Ojcu Świętemu, która zorganizowana została przez pracowników Biblioteki Głównej i Instytutu Historii.

20 kwietnia 2006 r.

- Rektor UO **prof. dr hab. Stanisław Nicieja**, poinformował członków Senatu o pozytywnej decyzji Rady Miasta Opola w sprawie przekazania uniwersytetowi niezagospodarowanego terenu przy Małym Rynku (tzw. skarpy).
- Prorektor ds. nauki i polityki finansowej **prof. dr hab. Krystyna Czaja** poinformowała o udziale w kolejnym spotkaniu dotyczącym możliwości aplikowania do projektów w ramach funduszy strukturalnych, przygotowaniu i złożeniu przez pracowników UO pięciu wniosków w ramach programu INTER-REG, a także o wizycie, wspólnie z dyrektorem Instytutu Chemii, w firmie „Intersilesia” Mc Bride Polska w Strzelcach Opolskich (rozmowy z prezesem firmy Karolem Cebulą dotyczyły możliwości uzyskania stypendiów doktoranckich w zakresie ekonomii i chemii).
- Dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii **prof. dr hab. Katarzyna Halkowska** poprosiła o zatwierdzenie wyniku konkursu otwartego na stanowisko profesora zwyczajnego w zakresie fizyki. Na konkurs swoją kandydaturę zgłosił **prof. dr hab. Piotr Garbaczewski**. Za wnioskiem opowiedziały się 44 osoby, przeciw była 1 osoba. Głosów wstrzymujących się nie było.
- Dziekan Wydziału Przyrodniczo-Technicznego **prof. dr hab. inż. Andrzej Gawdzik** poprosił o zatwierdzenie wyniku konkursu otwartego na stanowisko profesora zwyczajnego dziedzinie nauk biologicznych w dyscyplinie biologia. Na ogłoszony konkurs swoją kandydaturę zgłosiła **prof. dr hab. Olga Zhuk**, aktualnie zatrudniona na stanowisku profesora w Katedrze Biotechnologii i Biologii Molekularnej Wydziału Przyrodniczo-Technicznego. Za wnioskiem opowiedziały się 42 osoby, przeciw była 1 osoba, 2 osoby wstrzymały się od głosu.
- Sprawozdanie dotyczące zagranicznej współpracy naukowej pracowników Uniwersytetu Opolskiego w roku 2005 przedstawiła **mgr Anna Kuczyńska**, kierownik Działu Badań i Współpracy z Zagranicą. Prorektor ds. współpracy z zagranicą i rozwoju kadry **prof. dr hab. Jerzy Lis** uzupełniając przedstawiony Senatowi materiał zwrócił m.in. uwagę na zagadnienie międzynarodowej wymiany studenckiej (dzięki zatrudnieniu dodatkowej osoby wzrosła aktywność w pozyskiwaniu środków z programów międzynaro-

dowych). Senat w głosowaniu jawnym jednogłośnie opowiedział się za przyjęciem sprawozdania ze współpracą z zagranicą w roku 2005.

- W głosowaniu jawnym został przyjęty „Regulamin studiów”.
- **Dr hab. Piotr Wieczorek, prof. UO**, przewodniczący Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju Uniwersytetu przedstawił wypracowaną przez Ko-

misję „Strategię rozwoju Uniwersytetu Opolskiego na lata 2007–2013”.

- **Ks. prof. dr hab. Helmut Sobeczko** poinformował o rozmowach między przedstawicielami Kurii Diecezjalnej oraz Zgromadzeniem Sióstr Szkolnych de Notre Dame w sprawie przejęcia (zamiany na inny lokal) budynku sali gimnastycznej przy ul. Sempolowskiej.

O biblioterapię akademicką w Roku Języka Polskiego

Książka na receptę

Całkiem spory zbiór książek na temat biblioterapii w czytelni Biblioteki Głównej Uniwersytetu Opolskiego jest dobrze wyeksponowany i cieszy oko barwnością okładek oraz nowością wydań. Biblioterapia w Opolu ma też jednak długą i wartą przypomnienia tradycję. To tutejsze biblioteki szpitalne w latach 70. ub. wieku aż do lat 90., kiedy to sukcesywnie zaczęto, ze względów oszczędnościowych, ograniczać ich działalność, należały do najaktywniejszych w Polsce. Często pisały o nich pisma fachowe i społeczno-kulturalne – „Bibliotekarz”, „Poradnik bibliotekarza”, *Kultura i ty*”. W Opolu na konferencjach szkoleniowych spotykali się bibliotekarze z całej Polski zainteresowani obsługą czytelników chorych i niepełnosprawnych.

W archiwach bibliotecznych b. Studium Kulturalno-Oświatowego i Bibliotekarskiego w Opolu są, być może, jeszcze przechowywane prace dyplomowe studentów napisane pod kierunkiem wielce zasłużonej opolskiej bibliotekarki, st. kustosz **Janiny Kościów** na temat ukierunkowanego prozdrowotnie czytania, czyli biblioterapii właśnie. Autorki tych prac sporządzały adnotowane zestawy książek odpowiednich dla czytelników przeżywających różne problemy, wynikające z konkretnego rodzaju schorzeń; a ponieważ były to bibliotekarki pracujące nawet przy łóżku chorego, owe zestawy były przez nie zweryfikowane empirycznie. Zalecane książki pochodziły z ogólnie dostępnych zasobów bibliotecznych. Często była to klasyka światowa i polska, a komentarz metodyczny do wykorzystania danej pozycji bibliograficznej do celów biblioterapeutycznych polegał na wydobyciu i wskazaniu takich cech czy walorów tekstu, które ujawniają się (mogą się ujawnić) przy czytaniu książki przez czytelnika w określonej, niekorzystnej dla niego w danym momencie życia sytuacji życiowej¹.

Podobną zasadą, wynikającą z filozofii Ranganathana, autora praw, z których drugie brzmi: „Każdemu czytelnikowi jego książkę”, a które winny obowiązywać w relacji między czytelnikiem, bibliotekarzem a książką, kierowali się autorzy poradników wydawanych od początku lat 80. przez Ośrodek Czytelnictwa Chorych i Niepełnosprawnych w Toruniu, **Franciszek Czajkowski** i **Maria Skarżyńska**.

Było to więc rzeczywiście leczenie powieścią, ale nie takie, o jakim można przeczytać w artykule pod takim właśnie tytułem, jaki ukazał się w grudniowym numerze z 2005 r. popularnego, i skądinąd reprezentującego wysoki poziom merytoryczny tygodnika „Newsweek”. Wbrew tytułowi jest to bowiem bardzo uproszczony artykuł o pożytkach płynących nie z czytania powieści ale z – jakże ostatnio reklamowanej – bajkoterapii.

I nie byłoby w tym nic złego, poza pewną niezręcznością autora, którego wiedza na temat biblioterapii jest najwyraźniej bardzo powierzchowna, gdyby nie fakt, że w taki właśnie sposób utrwała się niesłuszne przekonanie o uniwersalności, prostocie i skuteczności owej bajkoterapii, traktowanej jako rodzaj biblio – a nawet arteterapii, równie prostej i możliwej do stosowania przez każdego, wobec każdego, z gwarantowanym pozytywnym skutkiem. Przynajmniej takie można odnieść wrażenie, czytając najnowsze, bo z lat 2003, 2004 i 2005 podręczniki – poradniki z zakresu arteterapii i biblioterapii, stojące także na półkach opolskiej księżnicy, a nawet mające opolskiego autora,² choć – na szczęście – bez uniwersyteckiej afiliacji. Ich część tzw. teoretyczna pisana jest metodą „idzie skacząc po górach”, to znaczy tekst odautorski składa się głównie z urywków zdań pochodzących od innych autorów, z bardzo licznymi, ale nie zawsze dobrze skierowanymi odsyłaczami, nie ma zaś ich tam, gdzie być powinny

¹ Zaprezentowałam te zestawienia w poświęconym biblioterapii rozdziale książki pt. „Kulturoterapia. Skrypt dla studentów Wydziału Pielęgniarskiego”. Wyd. AM, Poznań, 1988, s. 51–6.

² E. J. Konieczna, *Arteterapia w teorii i praktyce*. „Impuls”, Kraków 2003; wyd. 2. „Impuls” 2004; *Biblioterapia w praktyce. Poradnik dla nauczycieli, wychowawców i terapeutów* pod red. E.J. Koniecznej. „Impuls” Kraków, 2005.

(brak odsyłaczy „cytat za” we fragmentach tekstu jawnie będących powtórzeniem istotnych ustaleń poczynionych dużo wcześniej i kompetentniej przez innych autorów). Część praktyczna to, wzorem licznych innych publikacji ukazujących się od lat 90., scenariusze zajęć biblioterapeutycznych, pod względem metodycznym nie różniące się jednak od tych, jakie od dawna stosuje się w pracy z dziecięcym czytelnikiem. Jedynie zakładany cel jest inny, ale nie przedstawia się żadnych weryfikowalnych dowodów na potwierdzenie tezy, że oczekiwany pozytywny skutek, mający się wyrazić w zmianie postaw (chodzi głównie o redukcję poziomu lęku), czasem widoczny w zachowaniu dziecka w obecności (bajko)terapeuty jest wynikiem percepcji określonego tekstu, a nie po prostu artefaktem.

Dziwi metoda preparowania do celów terapeutycznych tekstów oryginalnych, np. Pilcha (ciekawe, czy pisarz wie o tym?). Skąd przeświadczenie, że człowiek, dziecko przeżywające jakiś problem, jest automatycznie umysłowo ograniczony i trzeba mu wszystko tłumaczyć z polskiego na nasze? (Osoby z trudnościami w uczeniu się to odrębna kategoria czytelników). Zastanawia śmiałość, z jaką autorka wstępu do „Biblioterapii w praktyce” zachęca studentów do samodzielnego pisanie opowieści („scenariuszy”), które – tak jak te zamieszczone w „Poradniku” – miałyby pomóc chorym na AIDS, na bulimię, a nawet na zdradę małżeńską.

Gdyby na bibliotecznym regale pod hasłem „Biblioterapia” znajdowały się również książki z polskiej „klasyki biblioterapeutycznej”, autorstwa Wandy Kozakiewicz („Biblioteki szpitalne. Poradnik dla bibliotekarzy”), Józefa Szockiego („Biblioteka w procesie rewalidacji dzieci niepełnosprawnych”), Ewy Tomasik „Zagadnienia rewalidacji w literaturze pięknej”, Marii Danuty Gostyńskiej („Terapia Wielkiego Ładu”) i jeszcze kilka innych bez biblioterapii w tytule, ale w spisie treści, np. „Ludzie starsi i chorzy w kościele” z trzema rozdziałami autorstwa ks. Stanisława Pawliny poświęconymi temu zagadnieniu, użytkownik biblioteki zainteresowany biblioterapią mógłby się przekonać, jak niewiele albo zgoła nic nowego znaleźć można w tych nowych książkach z kolorowymi okładkami, którym ponadto i przede wszystkim brakuje systematyzacji materiału. Brak starych książek to nie wina biblioteki, ale wydawców, którzy z jednej strony nie są zainteresowani wznowieniami dawniej wydanych książek, niezależnie od ich wartości, a z drugiej nie są wrażliwi na plagiatowy charakter nowości. Regułą np. stało się zawłaszczanie bibliografii sporządzonej przez innych, wcześniej wypowiadających się na dany temat autorów, przede wszystkim pozycji zagranicznych, ale i tych ogólnie dostępnych, co – prócz mylnego obrazu postępów w nauce – powoduje czasem powielanie błędów w



Biblioteka Instytutu Filologii Angielskiej UO

opisie (adresie) bibliograficznym.³

Obawiam się jednak, że nawet tam, gdzie są jeszcze dostępne książki starych autorów, nie ma nimi zainteresowania – przecież już starożytni Rzymianie zauważali, że zły pieniądz wypiera dobry. Niska kultura literacka, masowe czytelnictwo kolorowych magazynów, napędzane, a więc źle tłumaczonych z języków obcych, powoduje zanik wrażliwości na urodę języka polskiego. Widać to również w piśmiennictwie na temat biblioterapii. Żywiolowo rozwijające się bajkopisarstwo terapeutyczne pod hasłem: „każdy bajki pisać może” też jest tego dowodem. Entuzjaści bajkoterapii zapominają jednak, że bajka to gatunek literacki, różniący się od pogadanki dydaktycznej, w której wszystko jest dokładnie wyłożone i że posługiwanie się metaforą jest sztuką, którą nie każdy posiadał.

Słowo bajkoterapia, jeśli nawet nie jest zawarte w tytułach, to na pewno w treści większości książek z działu „Biblioterapia” opolskiej księżnicy i odzwierciedla stan upowszechnianej od lat 90. wiedzy na temat biblioterapii. Jest to, niestety, najczęściej wiedza z drugiej, a nawet z trzeciej ręki, nie tylko daleka od oryginalności, ale o wiele płytsza od tego, co w Polsce w epoce przedinternetowej napisano na temat biblioterapii.

Najlepszym dowodem jest najwyraźniej zapomniany bardzo piękny i mądry tekst (bez jednego przypisu!) pt. „Biblioterapia jako problem teoretyczny i praktyczny”⁴, autorstwa znakomitego polonisty i bibliotekoznawcy,

³ np. definicja biblioterapii przytoczona w ww. „Poradniku” w przypisie nr 1 nie jest mojego autorstwa, jak podaje E.J. Konieczna, ale pochodzi z Encyklopedii współczesnego bibliotekarstwa polskiego. PWN, Warszawa 1986, co zaznaczyłam w rozdziale IV pt. Biblioterapia książki pt. „Kulturoterapia. Wykorzystanie sztuki i działalności kulturalno-oświatowej w lecznictwie”, AM Poznań, 1994, s. 33.

⁴ J. Trzynadłowski, Biblioterapia jako problem teoretyczny i praktyczny”. W: Czytelnictwo niewidomych, niedowidzących oraz osób starszych. Materiały pod red. F. Czajkowskiego i M. Skarżyńskiej. Toruń 1985, s. 53–60

profesora Jana Trzynadlowskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego, jednego z pierwszych doktorów honoris causa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, poprzedniczki Uniwersytetu Opolskiego.

Uniwersytet Opolski ma w gronie swoich doktorów honorowych jeszcze innych wybitnych filologów: anglistę, **prof. dr hab. Jacka Fisiaka** i najlepszego znawcę mowy polskiej, **prof. dr hab. Jana Miodka**. Źródła do biblioterapii jako nauki pochodzą z angielskiego (niemieckiego również) obszaru językowego i nie można ich nie znać (a taką znajomością, wnio-

skując z publikowanych tekstów, wykazują się tylko nieliczni wypowiadający się na temat biblioterapii), sama zaś biblioterapia de facto jest literaturoterapią i wymaga posługiwania się przez tych, którzy ją stosują – formą i językiem literackim. Są zatem przesłanki do tego, by właśnie w Uniwersytecie Opolskim nastąpiło odrodzenie biblioterapii jako dyscypliny z prawdziwego zdarzenia akademickiej.

Dr hab. Wita Szulc
Uniwersytet Wrocławski

Działalność Biblioteki Głównej i bibliotek specjalistycznych UO w 2005 r.

Współczesne społeczeństwo informacyjne stawia coraz większe wymagania w zakresie dostępu do nowoczesnych źródeł wiedzy, wywiera też duży wpływ na potrzebę zmian w działalności tradycyjnych księżnic wiedzy, bibliotek publicznych, szkolnych, a przede wszystkim naukowych. W tej sytuacji biblioteki szkół wyższych poddają się szybko procesom transformacji informacyjnej i usługowej. W ustawie z dnia 27 lipca 2005 r., – *Prawo o szkolnictwie wyższym*, w art. 88 znalazł się następujący zapis: „W uczelni działa system biblioteczno-informacyjny, którego podstawę stanowi biblioteka.”¹ W myśl tej ustawy biblioteki szkół wyższych stają się instytucjami ważnymi w procesie dostępu do informacji.

System biblioteczno-informacyjny Uniwersytetu Opolskiego to Biblioteka Główna i dziesięć bibliotek specjalistycznych (wydziałowych, instytutowych i przy katedrze), które powstawały wraz z rozbudową struktur uniwersytetu i rozwijają się zgodnie z nimi. Biblioteka Główna jako jednostka centralna gromadzi,

opracowuje i udostępnia materiały biblioteczne zgodnie z kierunkami kształcenia i potrzebami środowiska naukowego uniwersytetu. Wszystkie biblioteki w uniwersyteckim systemie biblioteczno-informacyjnym podłączone są do komputerowej sieci internetowej, dzięki której użytkownicy mają swobodny dostęp do katalogów bibliotecznych oraz specjalistycznych i wielodzielnicowych baz danych.

Zorganizowanie powszechnego dostępu do informacji elektronicznej to obecnie najważniejsze zada-

nie dla pracowników biblioteki. Rok 2005 był okresem projektowania i wstępnego opracowywania nowej struktury organizacyjnej Biblioteki Głównej. Ta nowelizacja jest związana z implementacją nowego zintegrowanego bibliotecznego systemu komputerowego. Obecnie Biblioteka Główna i biblioteki sieci wykorzystują program SOWA, który w związku z szybkim rozwojem księgozbiorów, udostępnianiem nowych rodzajów zbiorów, takich jak dokumenty elektroniczne, programy multimedialne, przestał spełniać



Biblioteka Główna UO – wystawa z okazji 25. lecia „Solidarności”

¹ Ustawa z dnia 27 lipca 2005 r. Prawo o szkolnictwie wyższym, (Dz. U. Nr 164, poz. 1365)

wymogi i oczekiwania stawiane programom służącym do zarządzania i udostępniania zbiorów bibliotek naukowych. Wdrożenie nowego programu umożliwi wprowadzenie usług *on-line* w zakresie dostępu do katalogów i wypożyczeń. Oczekiwania naszych użytkowników wiążą się z zapewnieniem łatwego dostępu do szczegółowych informacji o zbiorach i do usprawnienia procesu udostępniania, w tym także zdalnego składania zamówień do wypożyczalni.

Podstawą nowoczesnego, szybkiego przepływu informacji o źródłach wiedzy i dostępu do wyników prac badawczych, publikowanych w czasopiśmie zagranicznych są elektroniczne serwisy baz danych czasopism pełnotekstowych. Aktualnie, w sieci lokalnej Uniwersytetu Opolskiego, udostępnianych jest trzynaście zagranicznych baz z różnych dziedzin wiedzy oraz pięć polskich baz bibliograficznych. Dzięki uczestnictwu w konsorcjach polskich bibliotek naukowych, biblioteka organizuje dostęp do ponad 36 500 pełnotekstowych wersji zagranicznych czasopism naukowych wydawnictw: Springera, Kluwera, Elsewiera i Academic Press, a także projektów EIFL/EBCO i Proquest.

W minionym roku z różnych źródeł nabycia: kupno, egzemplarz obowiązkowy, wymiana, dary, zbiory biblioteczne powiększono o 36 385 wol. książek, 7 150 wol. czasopism oraz 475 jednostek zbiorów specjalnych.

Stan zbiorów bibliotecznych na koniec 2005 r. wynosił łącznie 703 797 wol./jedn., w tym zbiory Biblioteki Głównej to 376 308 wol./jedn., bibliotek specjalistycznych 327 489 wol./jedn.

Z zasobów i usług Biblioteki Głównej i bibliotek specjalistycznych korzystało w ubiegłym roku 20 316 użytkowników, którzy wypożyczyli na zewnątrz 162 064 wol. książek. Ponadto biblioteka udostępniała swoje zbiory w czytelnich: Biblioteki Głównej i bibliotek specjalistycznych. W 2005 roku czytelnie Uniwersytetu Opolskiego

odwiedziło 154 819 użytkowników, którzy na miejscu korzystali z 904 368 wol./jedn. zbiorów. Łącznie półki biblioteczne w ubiegłym roku wielokrotnie czasowo opuścił 1 066 432 woluminy zbiorów bibliotecznych. Rokrocznie z tej formy udostępniania zbiorów korzysta coraz więcej użytkowników. Jest to związane z utrzymującą się tendencją powiększania księgozbioru w czytelnich z wolnym dostępem do zbiorów i dążeniem, aby każdy tytuł zamawianej książki naukowej był w jednym egzemplarzu dostępny zawsze w czytelniku.

Do obowiązków biblioteki, obok działalności w sferze gromadzenia i udostępniania, należy profesjonalna informacja naukowa, wychodząca naprzeciw oczekiwaniom czytelników. Sprawne, kompetentne i przyjazne służby informacyjne ułatwiają poruszanie się w gąszczu nowoczesnych technologii teleinformatycznych. Zamierzeniem biblioteki na najbliższe lata jest ciągły rozwój i ulepszanie usług w tej dziedzinie.

Kolejną sferą aktywności biblioteki jest organizacja wystaw i ekspozycji okolicznościowych promujących ważne wydarzenia w działalności Uniwersytetu Opolskiego. Wśród wystaw tematycznych i okolicznościowych na uwagę zasługują: wystawa towarzysząca uroczystościom nadania tytułów dok-

torów honoris causa **prof. Jackowi Fisiakowi** oraz **prof. Hubertowi Orłowskiemu**, wystawa związana z uczczeniem 25-lecia NSZZ Solidarność pt. „Solidarność 1980–1989: proza, poezja, publicystyka”, wystawa fotograficzna poświęcona **Ryszardowi Kaczorowskiemu**, prezydentowi RP na Uchodźstwie, zorganizowana z okazji nadania mu tytułu Honorowego Obywatela miasta Opola.

W ramach regionalnej współpracy bibliotek naukowych, publicznych, pedagogicznych i szkolnych w 2005 r. Biblioteka Główna zorganizowała kolejne IV seminarium dla środowiska bibliotekarskiego Opolszczyzny: „Bibliotekarz – jego rola i miejsce w nowych warunkach upowszechniania kultury i wiedzy”. W jednodniowym seminarium uczestniczyło 80 bibliotekarzy, którzy wysłuchali siedmiu referatów i podjęli dyskusję nad przyszłością zawodu bibliotekarza w nowoczesnej bibliotece. Biblioteka była również gospodarzem spotkania dyrektorów bibliotek naukowych Wrocławia i Opola. Spotkanie poświęcone było nawiązaniu współpracy w dziedzinie udostępniania zbiorów i wypożyczeń międzybibliotecznych.

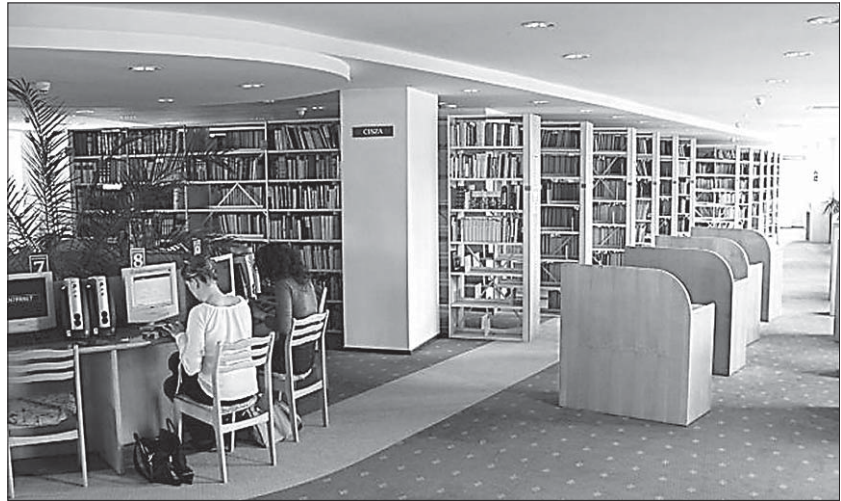
Kolejny już raz biblioteka włączyła się w nurt popularyzacji wiedzy i nauki w ramach Opolskiego Festiwalu Nauki. W ubiegłym roku



Biblioteka Wydziału Mat.-Fiz.-Chem. UO

zainteresowanie tematem „Jak poszukiwać materiałów do pracy semestralnej i maturalnej?” przeszło oczekiwania organizatorów. Zaprezentowane tradycyjne i elektroniczne źródła informacji w postaci elektronicznych słowników, serwisów edukacyjnych okazały się bardzo pomocne w procesie zdobywania wiedzy. Przedstawione sposoby poszukiwania informacji z wykorzystaniem internetowych stron www bibliotek naukowych były szczególnie interesujące i wzbudziły dużą ciekawość wśród uczniów szkół średnich Opolszczyzny.

Biblioteka uzyskuje duże wsparcie ze strony Rady Bibliotecznej, która w omawianym okresie odbyła dwa posiedzenia. Na posiedzeniu 3 marca 2005 r. obok spraw poświęconych bieżącej pracy biblioteki, tj. omówieniu sprawozdania rocznego, planu gromadzenia zbiorów, konieczności wymiany programu komputerowego SOWA, dokonano podsumowania działalności Rady Bibliotecznej w kadencji 2002–2005. Posiedzenie Rady w dniu 30 listopada 2005 r. dotyczyło przede



Biblioteka Wydziału Teologicznego UO

wszystkim przedstawienia zadań Rady w nowej kadencji, wyborów przewodniczącego oraz zdania sprawozdania z przebiegu prac nad zakupem nowego systemu komputerowego do obsługi bibliotek i działalności informacyjnej. Przewodniczącym Rady Bibliotecznej na kadencję 2005–2008 został wybrany **prof. Stanisław Kochman**.

Działania Biblioteki Głównej UO w najbliższych miesiącach będą

skierowane na wdrożenie nowego systemu komputerowego do obsługi procesów bibliotecznych oraz rozbudowę własnej bazy komputerowej opisów bibliograficznych. Kolejne zadanie to zorganizowanie cyklu szkoleń dla użytkowników, które będą dotyczyć efektywnego korzystania z elektronicznych źródeł informacji, w tym z zagranicznych baz danych.

Danuta Szewczyk-Kłos

Wydawnictwo promuje naszą uczelnię

Podstawowym zadaniem wydawnictwa jest publikowanie książek naukowych – monografii i prac zbiorowych oraz podręczników i skryptów, których autorami są pracownicy naukowcy naszej uczelni. Działania wydawnictwa nie ograniczają się jednak do samego wydawania książek, ale dużą wagę przywiązujemy do promocji naszych książek.

Dzięki książkom wydanym przez nasze wydawnictwo, w których opublikowane są wyniki badań naukowców, następuje promocja dokonań naukowych społeczności uniwersyteckiej. Wydawnictwo

jest więc jednostką, która aktywnie włącza się w promowanie naszej uczelni. Wiadomo, że zanim dojdzie do sprzedaży książki należy ją umiejętnie zareklamować. Nie jest to zadanie łatwe, kiedy na rynku wydawniczym walczą o klienta liczne wydawnictwa. Wszystkie starają się sprzedać swoje publikacje i w tym celu przeznaczają niemałe środki na profesjonalny marketing, zatrudniając specjalistów, którzy przeprowadzają kampanie reklamowe. Tymczasem nasze wydawnictwo, nie mając sztabu fachowców specjalizujących się w reklamie, i dysponując ograniczonymi fundu-

szami, od dwóch lat z dużym zaangażowaniem i skutecznie pracuje nad obecnością naszych książek na rynku księgarskim.

Początki były skromne. Postawiliśmy na docieranie z informacjami o nowo wydanych książkach do szerokiego kręgu odbiorców. Kserowaliśmy ulotki i oferty handlowe, które dołączaliśmy do każdej zamawianej książki.

Mając świadomość, że tylko zintensyfikowanie działań promocyjnych umożliwi zaznaczenie naszej obecności na rynku księgarskim, u progu 2005 roku wydawnictwo postawiło sobie za cel rozszerze-

nie zakresu promocji. Równolegle z umieszczaniem naszej oferty w Akademickiej Internetowej Księgarni zaczęliśmy od uruchomienia własnego portalu internetowego, na którym zamieściliśmy nowości wydawnicze, ale bez funkcji umożliwiającej sprzedaż naszych książek. Ponieważ trwająca przez kilka lat współpraca z Akademicką Internetową Księgarnią nie spełniała naszych oczekiwań, z powodu zbyt małej liczby zamówień na książki, postanowiliśmy zorganizować własną księgarnię internetową. Zanim do tego doszło, trzeba było rozpisac tak duze przedsięwzięcie na poszczególne zadania, których wykonanie było niezbędne, żeby uruchomić księgarnię. Najpierw określiliśmy zasady jej funkcjonowania, a następnie dzięki fachowemu wsparciu uczelnianego Centrum Informatycznego możliwa była realizacja projektu od strony informatycznej – zaprogramowanie, wykonanie i prawidłowe funkcjonowanie księgarni zgodnie z wspólnie przyjętymi założeniami. Po zaprojektowaniu księgarni przyszła kolej na wprowadzenie do niej całej naszej oferty handlowej, liczącej wówczas przeszło 313 pozycji. Nad realizacją projektu pracowali zarówno pracownicy Wydawnictwa, jak również studenci odbywający praktykę w wydawnictwie. Dzięki dużemu zaangażowaniu wielu osób i efektywnej współpracy projekt został wprowadzony w życie w ciągu jednego miesiąca. Uruchomienie księgarni poprzedzone było okresem próbnym, w trakcie którego przetestowaliśmy wszystkie funkcje sklepu.

Nasza księgarnia internetowa działa od 1 października ubiegłego roku. O jej uruchomieniu poinformowaliśmy wszystkie jednostki uczelniane. Opolskie media również odnotowały ten fakt. A my zaczęliśmy analizować wpływające zamówienia, by zebrać informacje o naszych klientach.

Po pół roku jej funkcjonowania księgarni internetowej pora na pierwsze wnioski. Z pewnością dzięki uruchomieniu księgarni jest

łatwiejsza komunikacja ze stałymi kontrahentami, którzy mają możliwość stałego monitorowania naszych nowości i składania na nie zamówienia. Dawniej te zamówienia wpływały do wydawnictwa drogą pocztową lub telefonicznie. Niebagatelną rolę odgrywa zamieszczenie krótkich notek o poszczególnych książkach, ułatwiający podjęcie decyzji zakupu książek. Zauważyliśmy, że księgarnie i hurtownie zamawiają przede wszystkim nowości, natomiast pojedynczy internauci (studenci, pracownicy naukowcy), instytucje naukowe i biblioteki zamawiają oprócz nowości sporo pozycji z lat poprzednich.

Po uruchomieniu księgarni internetowej zaczęli się kontaktować z wydawnictwem nowi kontrahenci, którzy wcześniej dzięki księgarni mogli się zapoznać z naszą ofertą wydawniczą. Obecnie współpracujemy z 86 księgarniami i hurtowniami specjalizującymi się w literaturze naukowej. Dzięki tak rozległym kontaktom handlowym nasze pozycje są do nabycia we wszystkich ośrodkach akademickich, łącznie z opolskim. Staramy się bowiem w pierwszej kolejności docierać z książkami do księgarni Opola i regionu opolskiego, by z naszej oferty mogli korzystać zarówno

studenci, jak i pracownicy naukowcy. Te bezpośrednie kontakty z opolskimi księgarniami umożliwiają nam szybkie realizowanie zamówień na książki.

Zgodnie z założeniami księgarnia internetowa zdynamizowała promocję naszego wydawnictwa. Bezsprzecznie wzrosło zainteresowanie naszymi książkami od czasu, gdy udostępniłmy w księgarni internetowej pełną ofertę handlową, liczącą obecnie 337 pozycji, o szerokim zakresie tematycznym i o dużych walorach estetycznych. Jak wielkie jest zainteresowanie naszą ofertą, niech świadczy liczba wizyt internautów z Polski i z zagranicy na naszym portalu, które monitorujemy na bieżąco za pomocą programu stat.pl, i tak w październiku ubiegłego było ich 2121, listopadzie – 2662, a grudniu – 2047. Efektem tych wizyt są spływające zamówienia na nasze książki. O dynamice tych zamówień świadczy liczba wystawionych przez wydawnictwo faktur za sprzedane książki: w roku 2005 wystawiono 903 faktury, a dla porównania w roku 2004 – 108 faktur. Warto odnotować fakt, że księgarnia internetowa funkcjonowała zaledwie przez trzy miesiące w zeszłym roku (X–XII). W roku bieżącym liczymy na wzrost dynamiki zamówień.



W dniach 3-5 listopada 2005 r. odbyły się XII Krajowe Targi Książki Akademickiej ATENA 2005. Wśród 60 wydawców nie zabrakło Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego oraz Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego. Targi odwiedziło ok. 10 tys. osób: studentów, pracowników naukowych, bibliotekarzy, księgarzy i hurtowników

Dowodem na to, że działania promocyjne prowadzone przez wydawnictwo są skuteczne, jest przychód z tytułu sprzedanych książek na podstawie wystawionych faktur z uwzględnieniem udzielonych rabatów, który w 2005 roku wyniósł 242 429 zł (dla porównania w roku 2004 – 229 429 zł).

Uruchomienie księgarni internetowej nie wyczerpuje wszystkich działań promocyjnych. Nie rezygnujemy z obecności na targach książki. W ubiegłym roku po raz pierwszy nasze wydawnictwo wraz z Redakcją Wydawnictw Wydziału Teologicznego uczestniczyło w trzech znaczących w środowisku akade-

mickim ogólnopolskich imprezach targowych we Wrocławiu, Krakowie i Warszawie raz w III Opolskim Festiwalu Nauki. Opracowaliśmy także dwa katalogi wydawnictw oraz wiele ulotek reklamowych, z którymi dotarliśmy do szerokiego kręgu potencjalnych odbiorców. Zorganizowaliśmy dwie kampanie reklamowe z udziałem studentów-praktykantów.

Kompleksowe rozwiązanie procesu wydawniczego od redakcji po promocję i sprzedaż przynosi wymierne efekty, na które składa się również praca 8-osobowego zespołu pracowników wydawnictwa, czuwających nad wysokim merytorycznym

poziomem książek, profesjonalnie wykonujących czynności redakcyjne i składu komputerowego oraz promocyjne i ekspedycyjne. Należy pamiętać, że dzięki wykonanej przez pracowników wydawnictwa pracy promocyjnej nasze książki trafiły do wielu nabywców z różnych części Polski i Europy. W roku 2006, kiedy to przypada 50 rocznica funkcjonowania wydawnictwa w strukturze naszej uczelni, wydawnictwo będzie nadal aktywnie pracowało na rzecz promocji naszej uczelni oraz nad utrzymaniem wysokiej pozycji na rynku księgarskim.

Halina Szczegot

NOWOŚCI REDAKCJI WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO UO

Bokwa Ignacy, Jaskóła Piotr, Link-Wieczorek Ulrike (red.), *Nie podzieleni i nie zjednoczeni* (seria *Colloquia Theologica*, nr 7), Opole, 2006, 371 s., cena 25,00 zł



Jest to praca zbiorowa, dwujęzyczna, która powstała na drodze niemiecko-polskiej ekumenii, ku świętowaniu wspólnej Wieczery Pańskiej i Eucharystii. Książka ta uznaje encyklikę *Ecclesia de Eucharystia* papieża Jana Pawła II z 2003 roku za okazję do przeprowadzenia bilansu pośredniego w zakresie badań ekumenicznych nad

Eucharystią. W tym celu przekłada artykuły powstałe z myślą o niemiecko-polskim sympozjum ekumenicznym, przeprowadzonym w Instytucie Teologicznym w Radomiu, w maju 2005 r.

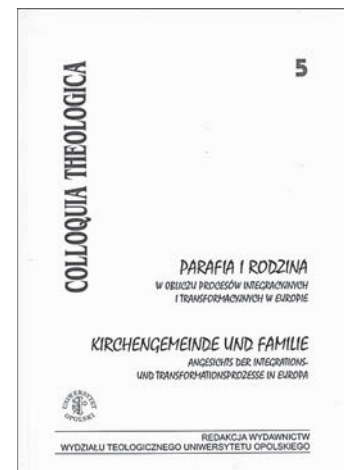
Widok Norbert (red.), *Sąd Piśmiennictwa Teologicznego*

(Czasopismo – PPT, rok XI nr 2(22)), Opole, 2005, 256 s., cena 17,00 zł

Jest to czasopismo o charakterze bibliograficznym, które zamieszcza opisy książek wydanych w Polsce. Zawiera recenzje i omówienia książek z teologii oraz dyscyplin pokrewnych tj. filozofii, psychologii religii, kultury i sztuki, historii Kościoła itp. Czasopismo to jest dużą pomocą dla studentów i pracowników naukowych, którzy zbierają materiały do swoich prac naukowych.

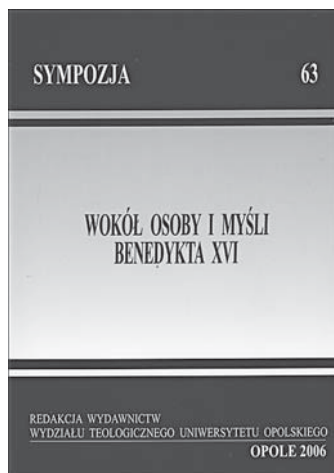
Tarliński Piotr, Knobloch Stefan (red.), *Parafia i rodzina w obliczu procesów integracyjnych i transformacyjnych w Europie /Kir-*

chengemeinde und Familie angesichts der integrations und Transformationsprozesse in Europa (Seria *Colloquia Theologica* nr 5), Opole, 2005, 217 s., cena 15,00 zł



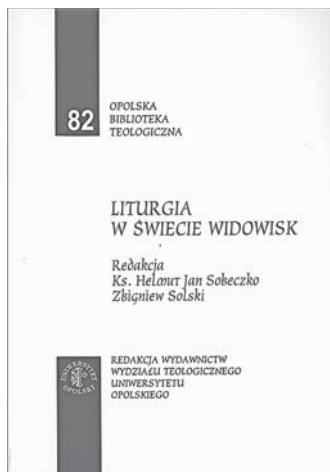
Jest to zbiór materiałów z dwóch spotkań naukowych pracowników i studentów wydziałów teologicznych Moguncji i Opola. Pierwsze dotyczyło problemów wspólnot parafialnych w obliczu wyzwań stawianych przez europejskie procesy integracyjne. Drugie – sytuacji i znaczenia rodziny w procesach przemian dokonujących się we współczesnej Europie.

Glombik Konrad (red.), *Wokół osoby i myśli Benedykta XVI* (Seria *Sympozja*, nr 63), Opole, 2006, 155 s., cena 15,00 zł.



Książka ta ukazuje podstawowe zagadnienia teologiczne J. Ratzingera. Zawarte w niej są myśli i zagadnienia związane z pontyfikatem obecnego papieża. Publikacja ta ukazuje również historyczne znaczenie wyboru Benedykta XVI, filozoficzne fascynacje, podstawowe elementy eklezjologii i eschatologii J. Ratzingera oraz rozumienie przez niego ducha liturgii, Europy i misji na rzecz pokoju na świecie.

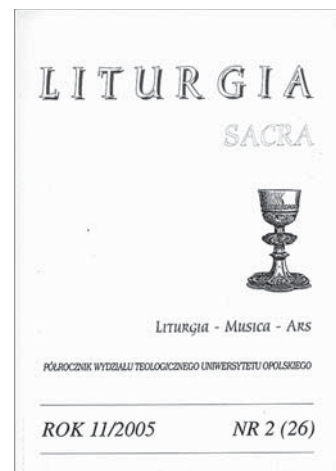
Sobeczko Helmut Jan, Solski Zbigniew (red.), *Liturgia w świecie widowisk* (Seria *Opolska Biblioteka Teologiczna*, nr 82), Opole, 2005, 374 s., cena 32,00 zł



Książka ta podejmuje tematykę obecności transcendentnej refleksji we współczesnej kulturze, zainicjowaną w tomie „Ikony Niewidzialnego”. Jej powstanie poprzedziła konferencja naukowa pod tytułem „Teatr – kultura – liturgia”.

Sobeczko Helmut, Jan (red.), *Liturgia Sacra* (Czasopismo *Liturgia*

Sacra, rok 11/2005 nr 2 (26)), Opole, 2005, 239 s., cena 12,10 zł



Jest to drugi numer z 2005 r., który nawiązuje do obchodów 10-lecia naszego czasopisma „Liturgia Sacra” – zamieszczono w nim materiały z interdyscyplinarnej konferencji naukowej, jaka miała miejsce w Opolu w dniach 12–13 września 2005 r. (obradę odbyły się w trzech sekcjach, odpowiadających poszczególnym działom tematycznym czasopisma: liturgia, muzyka kościelna i sztuka sakralna).

Przygotował: Piotr Juszczyzyn

Problemy zrównoważonego rozwoju

W dniach 24–25 kwietnia br. odbyła się VI Międzynarodowa Konferencja nt. „Obecne problemy zrównoważonego rozwoju”. Konferencję zorganizowali **prof. Joost Platje** oraz **prof. Janusz Słodczyk** z Wydziału Ekonomicznego UO przy współpracy z Europejskim Stowarzyszeniem Ekonomistów Środowiska i Zasobów Naturalnych. Sekretarzem konferencji był **dr Robert Poskart**.

Po uroczystym otwarciu konferencji przez prof. Janusza Słodczyka oraz ogólnej dyskusji na temat teoretycznych problemów zrównoważonego rozwoju, w której udział wzięli **prof. L. Tomiałojć** (Uniwersytet Wrocławski), **prof. L. Preisner** (AGH Kraków), **prof. J. Platje** (Uniwersytet Opolski) nastąpiła bardziej szczegółowa prezentacja takich problemów jak zrównoważony rozwój w Omsku (**prof. S. Kostarev**, Omsk; **prof. J.**

Marquand, Uniwersytet Oxford), niemiecka polityka dotycząca elektryczności (**Verena Holzer**, Uniwersytet Poczdam) oraz zaangażowanie się społeczeństwa w tworzenie zrównoważonego rozwoju (**prof. Girdzi-jauskas**, **prof. Ciegis** i **Dalia Gineitiene**, Uniwersytet Wileński). Studenci z Koła Naukowego Zrównoważonego Rozwoju działającego na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu Opolskiego zaprezentowali studium barier dla wzrostu liczby urodzeń w województwie opolskim, w oparciu o ich własne badania. Inne prezentacje koncentrowały się na lokalnych aspektach zrównoważonego rozwoju, niezrównoważonym rozwoju, kreowaniu polityki zrównoważonego rozwoju, zrównoważonego rozwoju terenów rolnych oraz zaangażowanie biznesu w zrównoważony rozwój.

(s)

NOWOŚCI WYDAWNICTWA UNIwersytetu OPOLSKIEGO

Rotter K., *Gramatyka filozoficzna w dobie sporu o podstawy matematyki. Eseje o drugiej filozofii Wittgensteina,*

ISBN 978-83-7395-156-3, 2006, format B5, 220 s., oprawa miękka, cena 21 zł

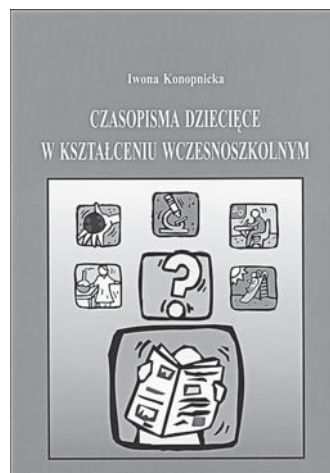


Zawarte w tym tomie eseje poświęcone są genezie i rekonstrukcji drugiej filozofii Ludwiga Wittgensteina, a zwłaszcza jego koncepcji gier językowych. U ich podstaw leżą dwa zasadnicze spostrzeżenia. Po pierwsze, o czym jest mowa w eseju 1, od 1929 roku badania Wittgensteina podporządkowane były projektowi gramatyki filozoficznej – taki wszak tytuł Wittgenstein chciał nadać „swojej książce”. Po drugie, jedynym językiem, który Wittgenstein rzeczywiście badał i z którego wywiódł koncepcję gier językowych, nie był żaden język naturalny, lecz wyłącznie język matematyki w dobie sporu o jej podstawy. Eseje 2–4 poświęcone są stosunkowi Wittgensteina do różnych postaci intuicjonizmu i formalizmu w matematyce, w tym także do idei gier znakowych Johanna Thomaego, z której wywodzi się koncepcja gier językowych. Sięgnięcie do owych logiczno-matematycznych podstaw pozwala wykorzystać koncepcję Wittgensteina do analizy kilkunastu typów niejasności językowych

warunkowanych samym systemem języka, o których jest mowa w eseju 5. Poszczególne eseje składające się na ten tom napisane są tak, by można je było czytać samodzielnie. Książka przeznaczona jest dla filozofów, językoznawców, etnologów i studentów filozofii.

Konopnicka I., *Czasopisma dziecięce w kształceniu zintegrowanym,*

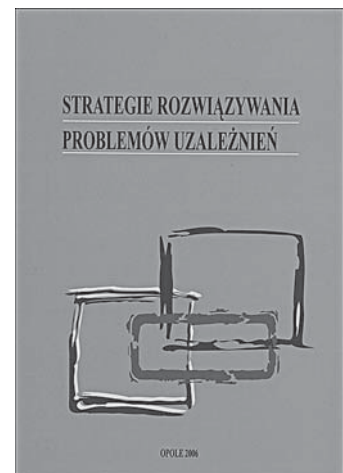
ISBN 978-83-7395-141-9, 2005, format B5, 196 s., oprawa miękka, cena 18 zł



W książce zaprezentowano rozwój współczesnych czasopism dziecięcych, które mogą rozbudzać ciekawość intelektualną, rozwijać zainteresowania i potrzeby młodych czytelników. Omówiono funkcjonowanie prasy w kształceniu zintegrowanym w kontekście edukacji kulturalnej dzieci. Przedstawiono nową klasyfikację prasy dla dzieci oraz zjawisko czasopiśmiennictwa uczniowskiego. Książka adresowana jest do pedagogów różnych specjalności, nauczycieli kształcenia zintegrowanego, studentów – przyszłych nauczycieli, literaturoznawców, prasoznawców, rodziców dzieci w młodszym wieku szkolnym.

Badora S., Mudrecka I. (red.), *Strategie rozwiązywania problemów uzależnień,*

ISBN 978-83-7395-164-8, 2005, format B5, 338 s., oprawa miękka, cena 28 zł

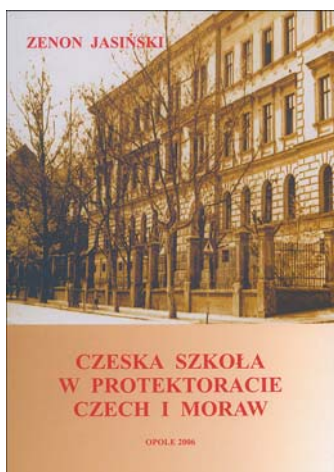


Tom zawiera artykuły teoretyków i praktyków zajmujących się problematyką uzależnień od środków psychoaktywnych w Polsce, Niemczech, Czechach i na Słowacji. Część pierwsza zawiera treści związane z poszukiwaniem mechanizmów uzależnień – ich różnorodnymi przyczynami, trwaniem i skutkami. W części drugiej zebrane zostały artykuły prezentujące zarówno działania profilaktyczne podejmowane w środowisku szkolnym, lokalnym, jak i wyniki badań dotyczące ich skuteczności. Treści zawarte w części trzeciej stanowią prezentację różnego typu rozwiązań w zakresie terapii i rehabilitacji osób uzależnionych od alkoholu i narkotyków. Książka adresowana jest do studentów pedagogiki (szczególnie pedagogiki resocjalizacyjnej), nauczycieli, wychowawców pracujących w szkolnictwie, placówkach opiekuńczo-wychowawczych i resocjalizacyjnych oraz nauczycieli akademickich zajmujących się problematyką uzależnień.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA UNIwersYTETU OPOLSKIEGO



Jasiński Z., *Czeska szkoła w Protektoracie Czech i Moraw*, ISBN 978-83-7395-159-4, 2005, format B5, 391 s., oprawa miękka, cena 37 zł



W pracy omówiono główne problemy szkolnictwa czeskiego Protektoratu Czech i Moraw. Opiszono funkcjonowanie szkolnictwa na obszarze Czech, Moraw i Śląska przed 1938 r., przedstawiono genezę i konsekwencje powstania Protektoratu Czech i Moraw w sferze polityki i gospodarki, omówiono politykę oświatową, jej źródła i cele oraz konsekwencje dla młodzieży i nauczycieli, ukazano zmiany w systemie zarządzania szkolnictwem, zmiany programowe i strukturalne w odniesieniu do różnych rodzajów i stopni szkół oraz ich funkcjonowanie, przedstawiono status szkolnictwa po likwidacji autonomii szkolnej. Ukazano również system oddziaływań germanizacyjnych, jaki był realizowany w szkole w stosunku do młodzieży i nauczycieli przez Kuratorium dla Wychowania Czeskiej Młodzieży Czechach i na Morawach. Przedstawiono również formy oporu czeskich nauczycieli i uczniów wobec polityki germaniza-

cyjnej władz Protektoratu i Rzeszy Niemieckiej. Książka adresowana jest do historyków oświaty, zajmujących się problemami szkolnictwa Czechosłowacji w okresie II wojny światowej.



Kochman St., *Studia nad słownictwem i frazeologią słowiańską*, ISBN 978-83-7395-141-9, format B5, 356 s., oprawa miękka, cena 35 zł



Tom zawiera wyniki wieloletnich studiów autora nad stosunkami językowymi w obrębie języków słowiańskich za szczególnym uwzględnieniem dziejów wzajemnych powiązań językowych i kulturowych polsko-wschodniosłowiańskich i czesko-polsko-wschodniosłowiańskich. Zamieszczono w nim także studia nad wpływami zachodnioeuropejskimi w słownictwie i frazeologii języków słowiańskich w przekroju historycznym, z uwzględnieniem tła

kulturowego. Książka adresowana jest do badaczy wzajemnych stosunków kulturowych, językowych i literackich wewnątrzsłowiańskich, do badaczy związków kulturowych, literackich i językowych słowiańsko-zachodniouuropejskich oraz do studentów kierunków filologii słowiańskiej.

Ponadto ukazały się:

Baron R., *Nad Ostrawicą i Olzą. Działalność społeczno-wychowawcza i oświatowa Towarzystwa Szkoły Ludowej w Zagłębiu Ostrowsko-Karwińskim*, ISBN 1640-5420, 2006, format B5, 145 s., oprawa miękka, cena 14 zł

Filipczak-Kocur A. (red.), *Prace Uczestników Studium Doktoranckiego 8. Historia*, ISSN 1640-5420, 2006, format B5, 145 s., oprawa miękka, cena 12 zł

Informator dla kandydatów na studia w roku akademickim 2006/2007, ISBN 978-83-7395-158-7, format B5, oprawa miękka, cena 5 zł

Platje J., Ślodyczek J. (red.), *Economic and Environmental Studies No. 7/2005. Urban and Rural Agro-Food Systems as a Factor of Local Sustainable Development*, ISSN 1642-2597, 2005, format B5, 263 s., oprawa miękka, cena 21 zł

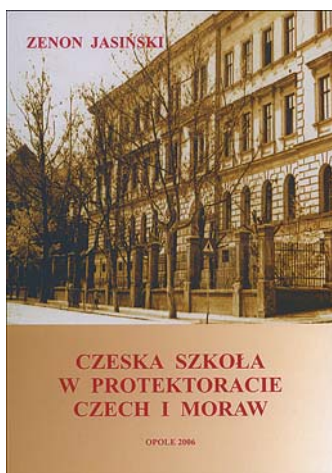
Sapia-Drewniak E., *Z tradycji działalności kulturalno-oświatowej na Śląsku Opolskim*, ISBN 978-83-7395-161-7, 2006, format B5, 152 s., oprawa miękka, cena 14 zł

Ramka:
Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa www.wydawnictwo.uni.opole.pl, tam też działa księgarnia internetowa.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

■ ■ ■ ■

Jasiński Z., *Czeska szkoła w Protektoracie Czech i Moraw*, ISBN 978-83-7395-159-4, 2005, format B5, 391 s., oprawa miękka, cena 37 zł

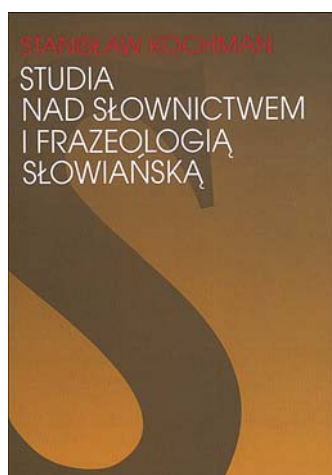


W pracy omówiono główne problemy szkolnictwa czeskiego Protektoratu Czech i Moraw. Opiszano funkcjonowanie szkolnictwa na obszarze Czech, Moraw i Śląska przed 1938 r., przedstawiono genezę i konsekwencje powstania Protektoratu Czech i Moraw w sferze polityki i gospodarki, omówiono politykę oświatową, jej źródła i cele oraz konsekwencje dla młodzieży i nauczycieli, ukazano zmiany w systemie zarządzania szkolnictwem, zmiany programowe i strukturalne w odniesieniu do różnych rodzajów i stopni szkół oraz ich funkcjonowanie, przedstawiono status szkolnictwa po likwidacji autonomii szkolnej. Ukazano również system oddziaływań germanizacyjnych, jaki był realizowany w szkole w stosunku do młodzieży i nauczycieli przez Kuratorium dla Wychowania Czeskiej Młodzieży Czechach i na Morawach. Przedstawiono również formy oporu czeskich nauczycieli i uczniów wobec polityki germanizacyjnej władz Protektoratu i Rzeszy

Niemieckiej. Książka adresowana jest do historyków oświaty, zajmujących się problemami szkolnictwa Czechosłowacji w okresie II wojny światowej.

■ ■ ■ ■

Kochman St., *Studia nad słownictwem i frazeologią słowiańską*, ISBN 978-83-7395-141-9, format B5, 356 s., oprawa miękka, cena 35 zł



Tom zawiera wyniki wieloletnich studiów autora nad stosunkami językowymi w obrębie języków słowiańskich za szczególnym uwzględnieniem dziejów wzajemnych powiązań językowych i kulturowych polsko-wschodniosłowiańskich i czesko-polsko-wschodniosłowiańskich. Zamieszczono w nim także studia nad wpływami zachodnioeuropejskimi w słownictwie i frazeologii języków słowiańskich w przekroju historycznym, z uwzględnieniem tła kulturowego. Książka adresowana jest do badaczy wzajemnych sto-

sunków kulturowych, językowych i literackich wewnątrzsłowiańskich, do badaczy związków kulturowych, literackich i językowych słowiańsko-zachodniouuropejskich oraz do studentów kierunków filologii słowiańskiej.

Ponadto ukazały się:

Baron R., *Nad Ostrawicą i Olzą. Działalność społeczno-wychowawcza i oświatowa Towarzystwa Szkoły Ludowej w Zagłębiu Ostrowsko-Karwińskim*. ISBN 1640-5420, 2006, format B5, 145 s., oprawa miękka, cena 14 zł

Filipczak-Kocur A. (red.), *Prace Uczestników Studium Doktoranckiego 8. Historia*. ISSN 1640-5420, 2006, format B5, 145 s., oprawa miękka, cena 12 zł

Informator dla kandydatów na studia w roku akademickim 2006/2007, ISBN 978-83-7395-158-7, format B5, oprawa miękka, cena 5 zł

Platje J., Ślodeczyk J. (red.), *Economic and Environmental Studies No. 7/2005. Urban and Rural Agro-Food Systems as a Factor of Local Sustainable Development*. ISSN 1642-2597, 2005, format B5, 263 s., oprawa miękka, cena 21 zł

Sapia-Drewniak E., *Z tradycji działalności kulturalno-oświatowej na Śląsku Opolskim*. ISBN 978-83-7395-161-7, 2006, format B5, 152 s., oprawa miękka, cena 14 zł

Przygotowała: Lidia Działowska

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa www.wydawnictwo.uni.opole.pl tam też działa księgarnia internetowa



Wybuchowe „Piastonalia”

Podczas tegorocznych „Piastonaliów” nie obyło się bez wybuchów. Najpierw, w pomieszczeniach Instytutu Chemii doszło do falstartu – eksplozji przygotowanych na pokazy fajerwerków. Wybuchowo – od emocji – było też podczas licznych zmaganiach sportowych: rozegrany został m.in. mecz piłki nożnej o puchar prorektora **Marka Masnyka**, zorganizowano maraton aerobiku o puchar kwestor **Marii Najdy** i konkurs w wyciskaniu sztangi o puchar kanclerza UO **Andrzeja Kimli**.

Studenci bawili się na dyskotekach i koncertach. Odbyła się też impreza teatralna pod hasłem „Nie tylko piwo”.

„Piastonalia” zakończyły się tak, jak się zaczęły – mocnym akordem: Akademicki Chór „Dramma per Musica” UO pod dyktando **dr Elżbiety Trylnik** oraz Chór „Philadelphia Biblical University Chorale” z Uniwersytetu w Filadelfii wystąpili w koncercie pt. „Od Bacha do współczesności”.

Studenci germanistyki wybrali najlepszego wykładowcę – została nim **dr Magdalena Sutarzewicz**. Wybrany został także najlepszy pracownik dziekanatu – za najsympatyczniejszą studentki uznali **Malgorzatę Wolską** z dziekanatu Wydziału Historyczno-Pedagogicznego.

Fot. Jerzy Mokrzycki